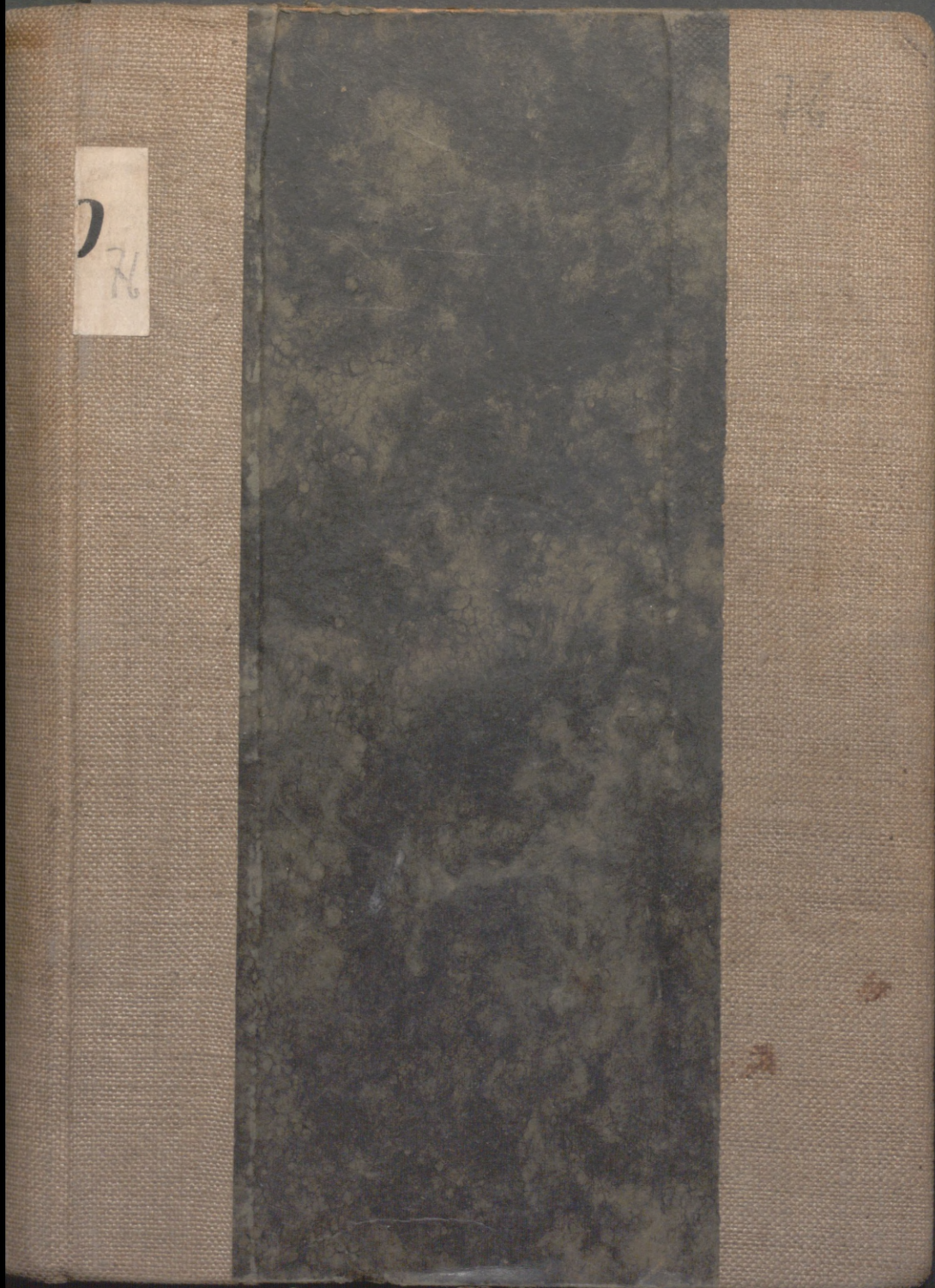
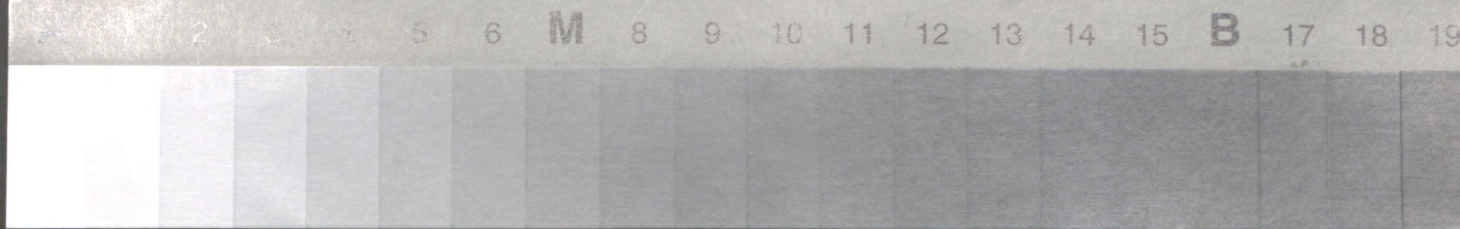


Grey Scale #13



76

Kv.

BIBLIOTEKA
WOJSKOWA



SZKOŁY
PODCHORAŻYCH
PIECHOTY

	23847	1
--	-------	---

ANTONI DĘBCZYŃSKI

DWA LATA W KONGO

(1925—1927)

686

FOTOGRAFJE ZE ZBIORÓW PP.:
R. LAUWENS'A, H. LEMAIRE'A,
K. ZAGÓRSKIEGO I AUTORA

1930
3519



~~oprac. 433/39~~

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

W A R S Z A W A — 1 9 2 8

884-4; 8/980.2/4: 916.

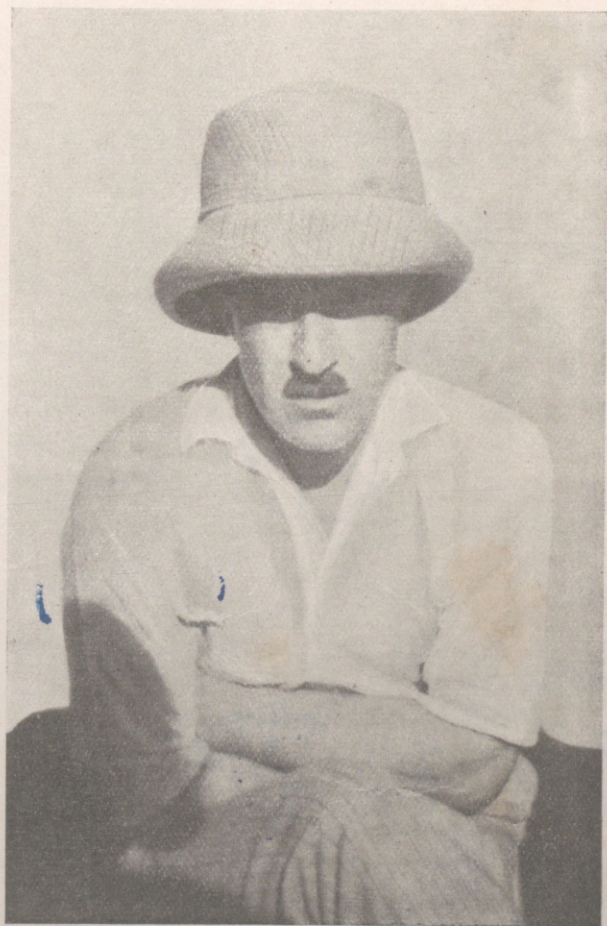
23847/II



9668

1







686



SPIS

Strona 1. Wstęp — 1

Strona 2. Wstęp — 1

Strona 3. Wstęp — 1

Strona 4. Wstęp — 1

Strona 5. Wstęp — 1

Strona 6. Wstęp — 1

Strona 7. Wstęp — 1

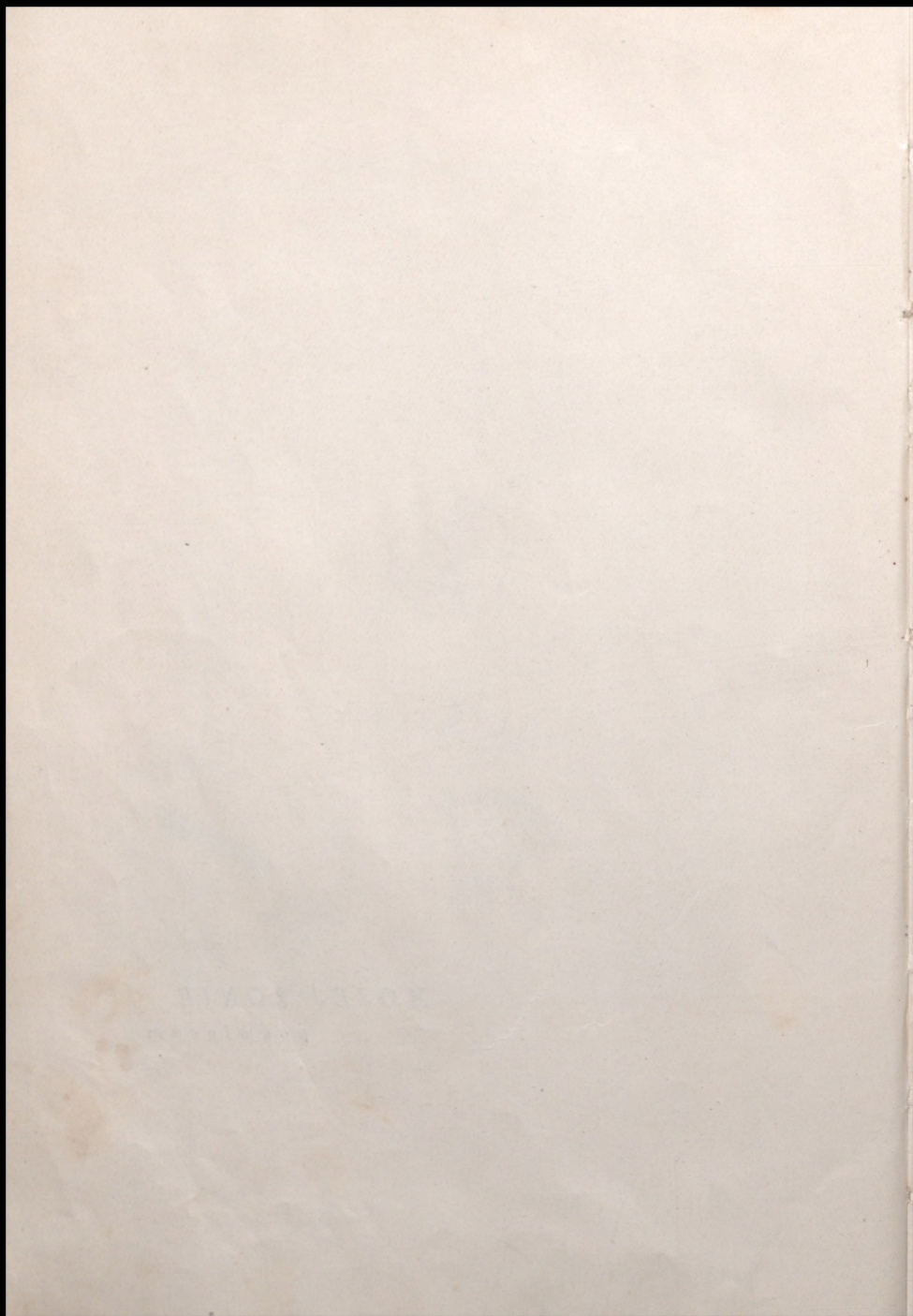
Strona 8. Wstęp — 1

Strona 9. Wstęp — 1

Strona 10. Wstęp — 1

MOJEJ ŻONIE

poświęcam



TREŚĆ

Rozdział I. Antwerpja — Boma

— Kości rzucone! — Casablanka — Wyspy Szczęśliwości — Ku Równikowi — Chrzcist neofitów.

Rozdział II. Na ziemi Kongolańskiej

— Nieco o dziejach Konga — Dno Centralnego Jeziora — Jego klimat i krajobraz — Miasta — Wizyta we „Francji” — Królowa rzek kongolańskich — Jak się w Kongo podróżuje — Na pokładzie „Izery”.

Rozdział III. W domu i pod namiotem

— Moja osada — „Pan cię pozdrawia” — Pierwsza przygoda — Ja u Królów i Królowie u mnie — Sąd — Mój sąsiad — Pogrzeb kolegi — Węże mrówki i motyle — Krokodyli apetyt i krokodyle łzy — Burza na rzece — Kłopoty ze służbą — Wyspa hipopotamów — Ludzie czy zjawy — Sześć miesięcy pod namiotem — Wieś, która wymiera — Narodziny europejskiej osady.

Rozdział IV. Nieco o faunie i polowaniu

— Różne kategorie myśliwych — Łowy w puszczy i stepie — Bawół — Słoń — Hipopotam — Moskit — Tse-tse.

Rozdział V. Tubyłcy

— Pigmeje — Bantu — Ludożercy — Braterstwo krwi — Ludzie-hjeny — Pół i ćwierć-ucywilizowani — Człowiek, rodzina — społeczność.

Rozdział VI. O kolonistach i przedsiębiorstwach

— Dwa typy kolonji — Misje — Władze kolonjalne — Przedsiębiorstwa kolonjalne — Wolność, czy przymus pracy — Rzut oka na stosunki sanitarne — Obserwacje i znaki zapytania.

OBJAŚNIENIE

Polska Piastów, Jagiellonów i Batorych dała wyraz swej tężyzny i siły w walce o szerokie granice i dostęp do morza i przekazała swym synom testament, który w nowych ramach przykazań Wilsona wykonać możemy tylko na polu ekspansji kulturalnej.

Wówczas mieczem torowała sobie Polska drogę do bytu i potęgi. Dziś w żmudnej pracy wszystkich klas społeczeństwa utrwaląc musimy fundamenty wskrzeszonej Ojczyzny, a piórem i słowem do tego wysiłku nawoływać, wskazując nowe drogi, po których rydwan naszej kultury mógłby wejść na światową arenę współzawodnictwa.

Podróż moja w głąb Afryki nie była wycieczką o epizodycznym charakterze klasycznej Robinsonady. Osiedliłem się wśród szczepów kongolańskich, aby z nimi pracować, nimi kierować, aby poznać kraj, ludzi, ich obyczaje i język. Podróżnik, żyjący w zupełnej samotności i oderwaniu od kultury środowiska w którym wyrósł, patrzy na cele i zadania obywatela swego państwa krytyczniej i szerszej. Te obserwacje doprowadzają go do pewnych wniosków, zniewalających do zabrania głosu i zwrócenia uwagi na mało dotąd u nas znane szlaki kariery kolonjalnej jaknajliczniejszych szeregów młodych rodaków, tęskniących do bardziej intensywnego życia.

Nie będzie więc moim zamiarem stawać obok wytrawnych piór Ossendowskich, Lepeckich, Dębickich i dzielić się w Ojczyźnie osobistymi impresjami z podróży odbytej w szybkich etapach.

Moje „Dwa lata w Kongo” mają na celu zaprowadzić czytelnika nad wielkie zlewisko Kasai i Sankuru, aby odsłonić przed nim prawdziwe oblicze tego kraju, bez szminki turystycznego zachwyty, oblicze codzienne, które widzieć jest danem tylko koloniście, żyjącemu miesiące i lata w bezpośrednim kontakcie z rzeczywistością.

I dlatego może książka ta przyda się w niedalekiej przyszłości budowniczym kolonjalnej domeny naszego państwa, a bezimiennych pionierów polskiej kultury na czarnym lądzie zachęci do naśladownictwa.

A. D.

OBJASNIENIE

W tym miejscu należy zaznaczyć, że w tym miejscu nie ma żadnych zmian w stosunku do poprzednich wydań. Wszelkie zmiany zostały już uwzględnione w poprzednich wydaniach.

W tym miejscu należy zaznaczyć, że w tym miejscu nie ma żadnych zmian w stosunku do poprzednich wydań. Wszelkie zmiany zostały już uwzględnione w poprzednich wydaniach.

W tym miejscu należy zaznaczyć, że w tym miejscu nie ma żadnych zmian w stosunku do poprzednich wydań. Wszelkie zmiany zostały już uwzględnione w poprzednich wydaniach.

W tym miejscu należy zaznaczyć, że w tym miejscu nie ma żadnych zmian w stosunku do poprzednich wydań. Wszelkie zmiany zostały już uwzględnione w poprzednich wydaniach.

W tym miejscu należy zaznaczyć, że w tym miejscu nie ma żadnych zmian w stosunku do poprzednich wydań. Wszelkie zmiany zostały już uwzględnione w poprzednich wydaniach.

W tym miejscu należy zaznaczyć, że w tym miejscu nie ma żadnych zmian w stosunku do poprzednich wydań. Wszelkie zmiany zostały już uwzględnione w poprzednich wydaniach.

W tym miejscu należy zaznaczyć, że w tym miejscu nie ma żadnych zmian w stosunku do poprzednich wydań. Wszelkie zmiany zostały już uwzględnione w poprzednich wydaniach.



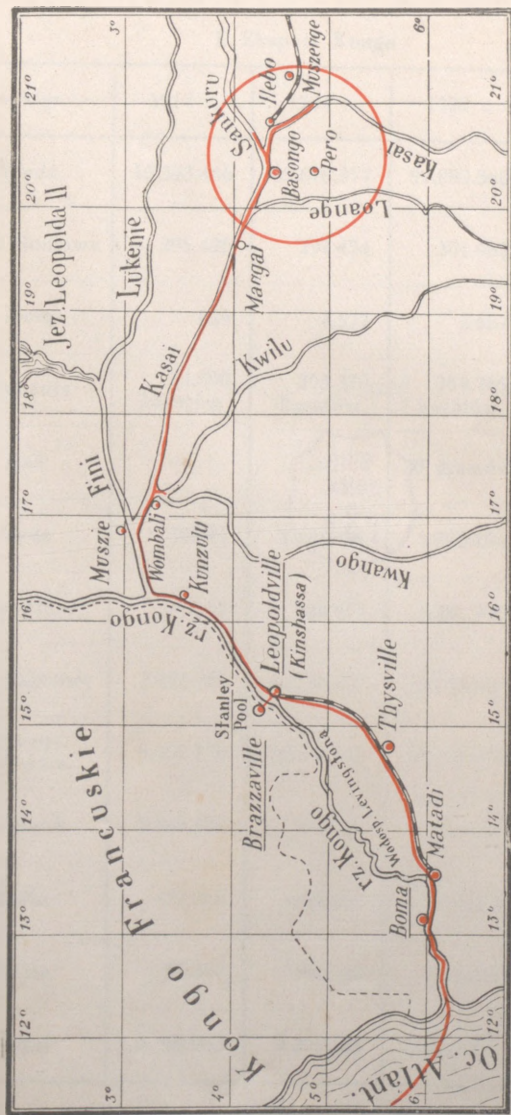
Dwie marszruty: 1924, 1927

Linja czerwona: z Europy do Konga.

„ kreskowana: powrotna do Europy.

23847/-





Z Bony ku ziemiom Baszyle.

----- granica dzieląca kolonje francuskie od Konga belgijskiego.
 Koło oznacza miejsce dwu-i półletniego pobytu autora.

23847/2



TABELE ORJENTACYJNE:

I. Eksport Konga

w kłgr.	1914 r.	1924 r.	1925 r.	1926 r.
Miedź	10.343.466	85.670.377	91.093.560	78.983.310
Kość słoniowa	295.496	297.454	301.962	231.762
Złoto	929	4.577	3.687	5.352
Djamenty	24.000 karatów	393.379 karatów	764.765 karatów	1.076.113 karatów
Rad	—	—	20 gramów	—
Cyna	30.957	2.137.196	1.700.155	1.625.609
Bawełna	55	920.671	1.261.900	2.179.430
Olej palmowy	2.498.386	14.106.797	18.695.600	18.447.270
Orzechy palmowe	8.052.176	47.476.832	74.096.910	70.424.630
Kauczuk	2.248.839	568.088	769.234	1.128.818
Kakao	482.360	834.212	779.375	850.013
Kawa	10.367	190.235	243.407	226.544
Kopal	6.993.063	9.293.156	16.830.970	20.866.410

Cyfry podane przez Min. Kolonji w Brukseli.



II. Wartość eksportu i importu Kongolańskiego

R o k	E k s p o r t		I m p o r t	
	w klgr.	we frs. belg.	w klgr.	we frs. belg.
1914	32 147.195	52.854.756	154.097.289	44.492.138
1922	125.710.184	294.579.315	215.716.413	268.719.988
1926	203.677.870	729.301.977	631.584.109	1.293.197.242

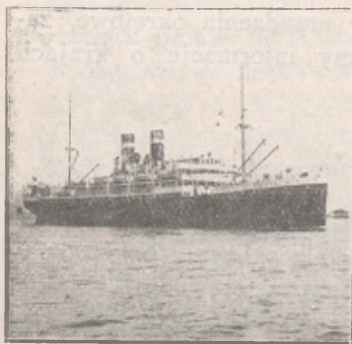
III. Tabelka demograficzna

R o k	Europejczy- ków	w tem Belgów	Polaków	śmiertelność w %
1890	430	175	—	—
1905	2.511	1.501	—	5,7
1910	3.399	2.432	—	3,3
1917	6.265	3.263	—	1,2
1922	9.631	5.513	22	1,6
1925	11.539	6.857	26	1,5
1926	15.242	9.638	34	1,6
1927	18.169	11.898	26	—

Cyfry podane przez Min. Kolonji w Brukseli.

ROZDZIAŁ I.
ANTWERPJA—BOMA

Kości rzucone! — Casablanca — Wyspy Szczęśliwości —
Ku Równikowi — Chrzest neofitów.



25.XI.24. Ostatni sygnał. Statek powoli, bez wstrząsu, odsuwa się od zakutego w granit brzegu.

Tłum odprowadzających powiewa chustkami i wznosi kapelusze. Słysząc łkania; ostatnie: „żegnaj” i „powodzenia” łamią się w krtaniach ściśniętych wzruszeniem

Przedpołudnie chłodne i mgliste. Gęste opary rzeczne otulają „Thysville” i oddzielają nas murem od tych, co nas żegnają. Jesteśmy jakby w próżni, odcięci od świata, w którym dotąd żyliśmy, niesieni na barce przeznaczenia ku dalekim, nieznanyim ziemiom.

Kości rzucone!

Za parę tygodni ujrzę żółte wody Konga, ląd, który jeszcze w połowie ubiegłego stulecia oznaczony był na mapach pustem miejscem. Ujrzę wodospady Lewingstona, które przez szereg wieków broniły wejścia do skarbcza kongolańskiego, ujrzę jeden z etapów Wielkiego Podróżnika: Stanley-Pool, na którym dziś wznosi się nowa stolica kolonii. Ujrzę wreszcie niezbadany dotąd w swych obszarach las ekwatorialny, wzdłuż którego płynąć będę na leniwym afrykańskim statku, bądź ku ziemiom Bangala i Azande, bądź ku siedzibom Baszilele i Baluba.

Pokłady powoli pustoszeją. Schodzę do kajuty za przykładem innych, aby się rozlokować na przeciąg mojej trzytygodniowej podróży morskiej.

Życie na statkach dalekobieżnych nuży monotonością. Jednak pierwsze dni na naszym „Thysville” mijają

względnie szybko. Zwiedzamy urządzenia okrętowe, zawieramy znajomości i zbieramy informacje o krajach egzotycznych.

* * *

27.XI. 1924 r.

U wejścia do Zatoki Biskajskiej spotkał nas storm, nie wróząc nic dobrego. Olbrzymie fale zalewały pokład, pasażerom zabroniono wychodzić poza obręb sal i kajut okrętowych. Do obiadu zjawia się zaledwie połowa podróżnych, nie zdradzających jednak zbyt dużego apetytu. Muzyka przygrywa, ale nikt na nią uwagi nie zwraca. Talerze i szklanki, ustawione w ramach brzęczą nieznośnie, ściany trzeszczą, podłoga kołysze się jak na ruchomej osi. Powracając do kajut, utrzymujemy z trudnością równowagę. Chwytny się więc napotykanym po drodze mebli, a w ich braku poły sąsiada, który, sam nie mogąc opanować swych niesfornych nóg, nie wydaje się bynajmniej zachwycony tą poufałością.

W nocy burza rozszalała na dobre. Bagaże nasze przesuwają się z jednego kąta kajuty w drugi. Z trudnością utrzymujemy się na wąskich kojach.

Krótki przystanek przed portem La Pallice w celu zaopatrzenia pocztą i pasażerów. Wysadzają kilkunastoletniego chłopca, który w czasie ostatniej burzy postradał zmysły.

* * *

29-30.XI. Mijamy przylądek Villano, potem dzikie, skaliste brzegi Hiszpanii, zielone wzgórza Portugalii, białą Lisbonę, którą odgadujemy zaledwie w oddali, wreszcie przylądek św. Wincentego z klasztorem i latarnią morską.

Wielka tęcza ukazuje się na horyzoncie. Wsparta jednym końcem łuku na lądzie Europy, drugim sięga ponad błękitem morza ku marokańskim wybrzeżom i towarzyszy nam aż do zachodu słońca.

Zegnamy Starą Ziemię, która powoli usuwa się w Ocean i wreszcie ginie w mrokach.

Wkracamy w granice świata egzotycznego.

1.XII.24. Otulona srebrnym światłem pogodnego poranku wyłania się z lekko zmarszczonych wód wąska, jasna wstęga lądu afrykańskiego.

Mijamy przylądek El-Hank i wkrótce stajemy przed budującym się jeszcze portem Casablanki. Liczne stateczki i łodzie motorowe, wypełnione wrzaskliwym tłumem przekupniów zbliżają się do „Thysville” i wyrzucają na opuszczone schody statku ten żywy, różnobarwny ładunek. Zjawia się jakiś brązowy gentleman i proponuje bilety na motorówkę, mającą dowieźć nas do portu.

Wąską uliczką, bez znaczenia i charakteru wyruszamy w stronę dzielnicy europejskiej. Szerokie trotuary, ułożone wzdłuż kilkopiętrowych domów mieszkalnych, starannie wyżyrowane ulice, zamożne sklepy, piękne obszernie kawiarne, liczne gmachy publiczne, zbudowane przeważnie w stylu marokańskim, są imponującym dowodem pracy i energii francuskiej. Nie należy bowiem zapominać, że miasto to powstało w ciągu ostatnich kilku lat.

Ulicą kapitana Ihlera podążamy do dzielnicy handlowej. Liczne sklepy i kramy zapełnione są różnorodnymi towarami: piękne talerze obok kubków miedzianych, wyroby ze skóry obok tkanin, poduszki i pantofle suto haftowane oraz niezliczona ilość drobiazgów, których przeznaczenia i użytku nie znamy.

Nie brak i tandety, która pomimo charakteru wschodniego pochodzi podobno z.... Europy.

Kupcy siedzą, lub stoją u progu swych sklepów, paląc długie fajki. Są to przeważnie mężczyźni w sile wieku, urodziwi, o szlachetnym owalu twarzy i orlim nosie. Czarne inteligentne oczy obserwują nas śmiało ale nie natrętnie.

Zbliżamy się do jednego z nich. Wysoki, smagły, okryty brązowym burnusem strzeże, jak inni, wejścia do swego kramu.

Witamy go. Odpowiada nam poprawnie po francusku. Podnosi się żywo, ale bez służalczości i uprzejmym ruchem czystej i kształtnej dłoni wskazuje nam wewnątrz sklepu mówiąc:

— Moja osoba i mój sklep są na usługi Panów.

Ceny towarów są niezwykle wysokie. Jestem zdumiony, że pan F., nasz towarzysz podróży, stary Afrykanin, zdaje się nie zwracać na ten szczegół uwagi. Przyjrzawszy się towarom pan F. zabrał wreszcie głos:

— A więc mój przyjacielu, nabywam: — tu zaczął wyliczać przedmioty wybrane, ofiarowując za nie trzecią część, lub połowę żądanej ceny.

Obrzuciwszy nas badawczym spojrzeniem, marokańczyk wyraził zgodę na propozycję pana F.

— Wierz mi czcigodny kliencie, że tracę, sprzedając ci te piękne towary za tak niską cenę. Chcę jednak zrobić Ci przyjemność i zachęcić do powtórnego zakupu.

— Nie wiem, czy się mnie doczekasz, za dwie godziny odpływam do Konga i dopiero za trzy lata będę mógł z Twych usług skorzystać.

— To nie ma znaczenia — odpowiada z powagą kupiec. Za trzy lata powitam Cię z radością u progów mojego ubożego sklepu.

Jeden, drugi i trzeci zaułek i oto jesteśmy w mieście arabskim Dar-el-Beida.

Ruch tutaj duży. Arabowie, Maurowie, Murzyni i Europejczycy mijają się ciągnąc gęsiego po błotnistych, cuchnących i wąskich uliczkach. Domy przeważnie bez okien a uchylone drzwi ukazują ciemne wnętrza kurytarzą nie budzące zaufania. Często widzi się zawieszoną nad progiem podkowę.

Środkiem ulicy biegną objuczone osły, tragarze, i handlarze wody ze skórzanymi workami na plecach. Kroczą

poważnie zamożni tubylcy w białych i brązowych burnusach, wloką się nędzarze i niewolnicy, podobni do szkiele-
tów, wyniszczeni pracą i chorobami, okryci podniesionymi
ze śmietników strzępami tkanin i worków. Mijamy ko-
biety o szczelnie zasłoniętych twarzach, w suto haftowa-
nych pantoflach, leniwie stąpające po zjeżonych w błocie
kamieniach. Spotykamy samotne młode dziewczęta, bez
zasłon na zniszczonych przedwcześnie twarzach. Brudne,
prawie nagie dzieciaki, natarczywie upominają się o jał-
mużnę. Żebracy, siedząc w błocie pod murem lepianek,
obnażają dla wzbudzenia litości najokropniejsze owrzod-
zenia, rany i kalectwa.

Powracamy do portu nie mogąc dłużej znieść widoku
tych istic dantejskich postaci.

Na Boulevard du 4-e Zouaves i na Place de France do-
rożki, wykwintne dokarty i lśniące auta przebiegają ulicę
w obydwu kierunkach. Bogate wystawy sklepowe nęcą
oko przechodnia. Ocienione tarasy kawiarni wypełnione są
tłumem barwnym i eleganckim: turyści i wojskowi, maro-
kańscy bogacze w tradycyjnych burnusach i piękne ko-
biety...

Jakież dziwny kontrast z tem, cośmy widzieli przed
chwilą!

* * *

Rano dnia 3. grudnia. Santa Cruz na Tenerife.

Dnia tego wstajemy o wschodzie słońca, aby móc ujrzeć
piękne szczątki legendarnej Atlantydy w blasku świtu.

Statek posuwa się wśród lekkiej mgły, która jednak
wkrótce znika, rozerwana promieniami słońca i rozpe-
dzona podmuchami ciepłego wiatru. Niby z poza musli-
nowej zasłony wyłania się przed nami potężny blok wyspy,
słabo jeszcze oświetlonej i dominujący nad nią, pokryty
wiecznym śniegiem szczyt Teyde (3707 m). Blaski wscho-
dzącego słońca stroją go we wszystkie barwy tęczy, ze-
ślizgują się powoli po nagich, szarych jego stokach, scho-

dzą coraz to promienniejsze na zielone przełęcze i doliny i wreszcie, obejmując wielkie przestrzenie wód, ukazują nam, na ciemnobłękitnym tle nieba i Oceanu, — Tenerif, czarną perłę Atlantyku w całym jej przepychu i urodzie.

U podnóża skał, pokrytych lawą od wieków już zastygłą, rozłożyło się białoróżowe Santa Cruz.



Port w Santa Cruz de Tenerife

Samochodem wyruszamy do Laguna, miejscowości położonej na wysokości około 600 m. nad p. m. a w odległości około 10 klm. od Santa Cruz.

Mijamy piękny portowy bulwar-ogród z willami i pałacami, zbudowanymi wśród palm i kwiatów i wydostajemy się poza miasto. Na wysokości paruśet metrów zatrzymujemy samochód, aby rzucić okiem poza siebie.

Stajemy oczarowani widokiem, jaki się przed nami rozciąga.

Santa Cruz, przytulone do błękitnej tafli morza, tonie



w powodzi światła i zieleni. Wokoło wznoszą się, niby mury forteczne, skaliste góry Las-Cadenas. W południowo-zachodniej stronie potężny Pic de Teyde w swym srebrno-sinym chełmie. Wzdłuż dróg ogrody owocowe i kwietne i czyste białe domki i wille. Wszędzie róże, pomarańcze, figi, palmy i kaktusy. Szosą, wylaną asfaltem, idą długim szeregiem kobiety i dziewczęta z koszyczkami, wypełnionymi owocami i jarzynami. Kobiety w czarnych sukniach i śmiesznie małych słomkowych kapelusikach, przypiętych na czubku głowy. Dziewczęta smagłe i śniade, otulone wielkimi hiszpańskimi chustkami, pozdrawiają nas, ukazując w zalotnym uśmiechu rzędy białych, zdrowych zębów. Ciągą małe karawany wielbłądów, mułów i osłów z dzwoneczkami i grzechotkami, uwiązanyymi u szyji, mijają nas co chwila lekkie, dwukołowe dokarty i wykwintne samochody.

Od strony Santa Cruz zbliża się niewielki oddział piechoty hiszpańskiej. Żołnierze w dobrze skrojonych mundurach, czysto wygoleni i dobrani wzrostem, różnią się od prowadzącego ich oficera jedynie brakiem galonów i szabli.

W ciągu całej drogi nie spotykamy ani jednego włoścza, ani jednego żebraka. Wszyscy podążają gdzieś celowo, odziani dostatnio, uśmiechnięci i zadowoleni.

Co za piękny i szczęśliwy zakątek świata!

W czasie, gdy samochód przyszedł nas do Laguna, wspina się na strome wzgórze, pan F., nasz nieodstępny cicerone, informuje nas, że mieliśmy i czekali na dziś Wyspy Kanaryjskie.

Legenda głosi, że wyspy te, podobnie jak i Wyspy Azorskie, są szczątkiem wielkiego lądu, zwanego ongiś Atlantyda. Szereg uczonych obecnej doby nie tylko podaniu temu nie przeczy, ale hipotezę istnienia wielkiej półkuli lądowej, obejmującej Meksyk, Indie Zachodnie i Egipt popiera twierdzeniem, że między budowlami (piramidy, kolumny, wiązania sklepień, ornamentacja) obrządkami

i tradycjami, oraz kalendarzami ludności tubylczej tych krajów istnieje szereg uderzających podobieństw i analogii. Z drugiej strony studia geologiczne wykazały, że kształt pokładów lawy na dnie morskiem, około Azorów, świadczy niezbicie, iż wybuch wulkanu nastąpił nie pod wodą, ale na powierzchni lądu, który następnie się zapadł. Szczątki jego nazwali starożytni Wyspami Szczęśliwości, obszar zaś wód, które pochłonięły Atlantyde — Morzem Śmierci.

Aż do czasów Kolumba istniało wśród ludów żeglarskich podanie, głoszące, że morze to opanowane jest przez złe duchy i że szaleje tam piekielny, nie słabnący ani na chwilę huragan, któremu żaden okręt nie jest w stanie się oprzeć.

Według innego podania miał tam panować wieczny, śmiertelny spokój, nie zakłócony najmniejszym powiewem wiatru. I nikt, aż do wyprawy z Palos, nie ośmielił się zapuścić na te martwe wody, gdyż wśród ciszy, jaka tam panowała najlżejszy żagiel zwisać miał bezwładnie, niby podcięte skrzydło ptaka.

Dawne Wyspy Szczęśliwości, przechrzczone niewiadomo dlaczego na Wyspy Kanaryjskie, obdarzyła natura pięknym klimatem i urodzajną glebą, ale odmówiła im wody. Wyspy te nie posiadając rzek i dostatecznej ilości opadów atmosferycznych, nie mogły być należycie eksploatowane. Plantatorzy zaradzili temu brakowi, prowadząc wodę źródlaną i deszczową ze stoków i szczytów górskich, budując tam olbrzymie baseny betonowe, z których w miarę potrzeby kierują wodę za pomocą rur i ścieków do ogrodów i plantacji, położonych niżej.

W ciągu naszej parogodzinnej wycieczki mieliśmy sposobność oglądania tych irygacyjnych urządzeń wzdłuż całej drogi. Dały one możliwość mieszkańcom Kanarii rozwinięcia ogrodnictwa i zaprowadzenia plantacji bananów na wielką skalę. Setki milionów sztuk bananów eksportuje się rocznie do krajów północnych. Za jeden ha. pro-

sperującej plantacji bananów płaci się do 1.500 funt. sterlingów.

Wyspy Kanaryjskie słyną pozatem z win, wód leczniczych (San Telmo), hodowli bydła i drobiu, kwiatów, jarzyn, owoców, ręcznych koronek, pięknych kobiet i oczywiście... kanarków.

Wszędzie elektryczne oświetlenie, wspańiałe drogi automobilowe i nowoczesne hotele.

Życie dość drogie, z powodu wysokiego kursu waluty hiszpańskiej.

* * *

U wejścia do Laguny spotyka nas deszcz, jesteśmy bowiem w krainie deszczów i basenów irygacyjnych. Temperatura znacznie niższa niż w Santa Cruz, to też Laguna jest jednym z licznych lotnisk kanaryjskich, gdzie mieszkańcy dolin chronią się przed upałami.

Czas już na powrót do portu. Z chmurnych i chłodnych wyżyn zbiega samochód szybko ku jasnym, słonecznym dolinom.

Jesteśmy znów w krainie kwiatów, palm i pomarańcz.

* * *

10.XII. I oto żyjemy znów na naszym „Thysville”. Płyniemy w odległości kilku mil morskich od brzegu Afryki, wzdłuż Rio de Oro, Mauretanji, Senegalji, Gwinei, Liberji i Brzegu Kości Słoniowej. Na całej tej przestrzeni zatrzymujemy się tylko trzy razy: w Dakar, Konakry i Grand Bassam, ale na bardzo krótko i nie wchodząc nawet do portów.

Z Grand Bassam w prostej linii przecinamy Zatokę Gwinejską, zmierzając ku Równikowi i Boma, stolicy Konga Belgijskiego. Statkowi towarzyszą jakiś czas stada marsouins, wyskakujących z wody na wysokość paru metrów, potem na cieplejszych wodach, ryb latających, me-

duż i rekinów, przynęconych resztkami, wyrzucanemi do morza z kuchni okrętowej.

Mamy za sobą z górą dwa tygodnie podróży morskiej i — bądźmy szczerzy — mamy jej dosyć, tembardziej, że począwszy od Tenerifu, jesteśmy uwięzieni na naszym pływającym domu i widzimy ląd jedynie zdaleka.

Jest już bardzo gorąco. Zaczynamy przyjmować obowiązkową, codzienną dawkę chininy. Nie przyzwyczajeni, męczymy się w twardych, niewygodnych kaskach. Spłeen zaczyna nam dokuczać nie na żarty. Wzdychamy do końca podróży.

* * *

Ostatnie dni spędzone między morzem a niebem wypełniły uroczystości, związane z przejściem Równika.

A więc różne konkursy, nie wyłączając bridge'a i pikiet, gry towarzyskie, koncerty amatorskie, maskarady i co wieczór dancinig na „boat-deck” w atmosferze niebezpiecznego flirtu.

Trzeciego dnia zabaw wysłaniec Neptuna, nurek, zwiastuje nam przy odgłosie strzałów armatnich, że jesteśmy na Równiku i że nazajutrz, zgodnie z tradycją, odbędzie się chrzest neofitów, t. j. tych, którzy po raz pierwszy Równik przepływają.

Następnego więc dnia, na górnym pokładzie, gdzie zbudowano olbrzymi basen napełniony wodą, zasiada trybunał pod przewodnictwem Neptuna, mający sądzić i chrzcić neofitów. „Prokurator” w todze i berecie oskarża, wywołując po nazwisku kandydatów.

A więc pan P. oskarżony jest, że stale przegrywa, w bridge'a, pan K., że nakłada sobie zbyt duże porcje deseru, krzywdząc swych sąsiadów przy wspólnym stole, pan D., że ma nazwisko, którego nawet bóg Neptun wymówić nie może, pani F., że tańczy stale z tym samym tancerzem, którym jest... jej własny mąż, itd. itd. w tym samym mniej więcej sensie. Oskarżeni muszą się bronić.

Obronę tę jednak przerywa zazwyczaj siwobrody Neptun uderzeniem wideł w podłogę. Wówczas zbliżają się oprawcy, sadzają delikwenta na krześle, smarują mu twarz papką z maki, nie szczędząc ust i oczów i gołą go... grubą laską. Wreszcie na powtórny znak Neptuna wrzucają nefitę do głębokiego basenu, nie troszcząc się więcej o los jego.

Nic więc dziwnego, że prawie wszyscy panowie zjawiają się przed aeropagiem w pyjamach i rannych pantoflach, wiedząc z góry o oczekującej ich, przymusowej kąpieli.

Panie są oczywiście traktowane z większym pobłażaniem. Kara polega na prysznicu z wody kolońskiej i wrzuceniu kawałka lodu za... dekolci.

Wieczorem obiad gala i bal kostjumowy. Sporo efektownych kostjumów: chińskie kimona foxtrotują obok obwieszonego pistoletami cowboya, arabka w białym burunsie tanguje u boku zaszytego w jedwabie maharadży indyjskiego; przeważają jednak toalety balowe i białe lub czarne smokingi.

Salony „Thysville'a” pustoszeją późną nocą, ale jeszcze o świcie strzelają butelki szampana i dźwięczą kielichy, wychylane za pomyślność pobytu na Czarnym Lądzie...

Dnia 14. grudnia wpływamy na brązowo-rude wody Konga. Mijamy Banana, St. Antonio i w godzinach popołudniowych zarzucamy kotwicę w Boma.

ROZDZIAŁ II. NA ZIEMI KONGOLAŃSKIEJ

Nieco o dziejach Konga — Dno Centralnego Jeziora: jego klimat i krajobraz — Miasta — Wizyta we „Francji” — Królowa rzek Kongolańskich — Jak się w Kongo podróżuje — Na pokładzie „Izery”



ROZDZIAŁ II.
NA ZIEMI KONGOŁAŃSKIEJ

Wojna o dziedziczenie tronu — Dwa Ojczystości — Jakże się
; przebiega — Młodość — Wzrost — Wzrost — Wzrost —
Kongoleńskie — Jak się w Kongoleńskim — W Kongoleńskim —



Pierwsze próby wyważenia drzwi do skarbcza kongolańskiego podjęte były przez żeglarzy portugalskich.

W 1848 roku Diego Cam, admirał portugalski, zapuszcza się w ujście rzeki Kongo, zwanej wówczas Zairo i zarzuca kotwicę w okolicy dzisiejszego Matadi u progów katarakt i wodospadów.

Historja wspomina o pewnym królu Konga imieniem Kakongo, który wraz z rodziną i dworem przyjął już w pięć lat po przybyciu admirała portugalskiego chrzest święty i który „korespondował” z królem Janem II., podpisując: „Z Bożej łaski król Konga”. Prosił on wielokrotnie o przysłanie mu księży, budowniczych i kobiet, któreby umiały robić chleb, jaki europejczycy zwykli jadać. Prosił również o woły, których mięso smakowało mu bardzo. W jakim stopniu te prośby zostały uwzględnione, dokładnie nie wiemy. Faktem jednak jest, że misjonarze napływać tu zaczęli już w tej epoce, a w ślad za nimi... handlarze niewolników i kości słoniowej.

Wyprawa Cama utknęła, jak zaznaczyłem, w Matadi. Wyprawy podjęte przez Franciszkanów w celu przejścia wodospadów i odszukania źródeł Wielkiej Rzeki nie dały wyników. Prawdopodobnie inne szczepy, osiedlone w głębią ładu, mniej były czułe na obiecywane ich naczelnikom tytuły królewskie, na woły, których mięso jest smaczne i na białe kobiety, co posiadają sztukę pieczenia chleba...

Zresztą zapał i zainteresowanie się Kongiem osłabło po odkryciu nowych ładów przez Kolumba.

Uwaga świata zwróciła się ku pięknym ziemiom, urodziwym szczepom i bogactwom Hispanioli.

W końcu XVIII-go stulecia przypominano sobie wreszcie o istnieniu tajemniczego Konga.

Jose de Lacerda e Almeida pierwszy zarzuca dotychczasową marszrutę żeglarzy, usiłujących wejść w głąb lądu Centralnej Afryki od Zachodu.

Wiedząc, że wszedłszy w rzekę Kongo, po przebyciu zaledwie kilkudziesięciu kilometrów, natrafi na katarakty, wodospady i skaliste, trudne do przebycia pasma górskie, kieruje Almeida swą wyprawę nie ku Atlantykowi i ujściu rzeki Kongo, ale ku Oceanowi Indyjskiemu. Wylądowawszy na wschodnim brzegu Afryki, podąża Almeida w stronę jezior Kiwu i Tanganika, gdzie robi szereg pomiarów i studjów dla następnej wyprawy, którą projektuje.

W drodze powrotnej jednak ginie śmiercią tragiczną.

Z wyprawy jego nie pozostał ani skrawek dokumentu, gdyż notatki i mapy Almeidy zostały zniszczone w czasie rzezi, w której sam zginął.

W 1816 r. pewien uparty żeglarz angielski, kapitan Tuckey, pomimo smutnych doświadczeń swoich poprzedników, usiłuje raz jeszcze sforsować katarakty rzeki Kongo. Oczywiście wyprawa jego kończy się fiaskiem i odtąd nikt już na ten szlak się nie zapuszcza.

W 1843 r. portugalczyk Graca, minawszy ujście rzeki, ląduje niżej (w dzisiejszej Angoli) i wdziera się na płaskowzgórze, znajdujące się obecnie w granicach Konga belgijskiego, a położone na południu Kolonii. Odkrywa on tam rasę Lunda, zorganizowaną w potężne państwo, rozpościerające się między górnym biegiem rzeki Kasai a rzeką Lualaba. Szczątki tego murzyńskiego mocarstwa istnieją dziś jeszcze.

W jedenaście lat później (1854 r.) Lewingston, idąc szlakiem Almeidy, dochodzi do Wielkich Jezior, potem kierując się na południe staje u jeziora Dilolo, na ziemi szczepu Lunda, odkrytego już przez Graca.

Wreszcie po wyprawie Camerona (1871—1875 r.) i Stanley'a (1871—1877 r.), który wyrusza na poszukiwania Le-

wingstona, a po jego odnalezieniu przechodzi Kongo od wschodu do zachodu, rozpoczyna się epoka realnych odkryć.

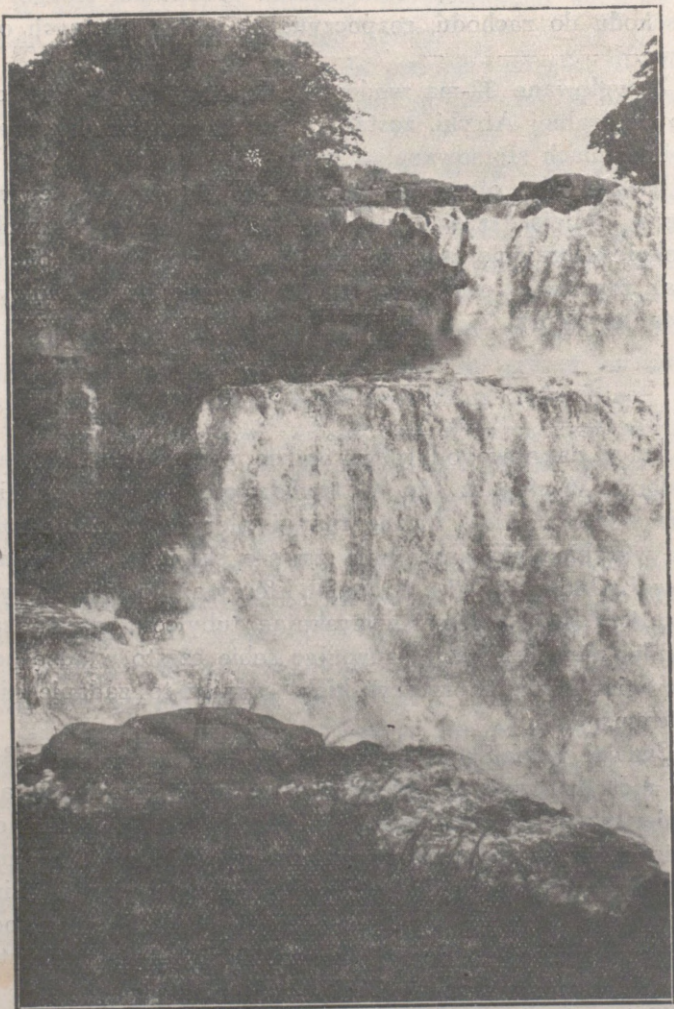
Zaryglowane 32-ma wodospodami rzeki Kongo wejście do Centralnej Afryki, zostało wreszcie po paruwiekowych usiłowaniach sforsowane — od tyłu.

Wodospady otrzymały nazwę Wodospadów Lewingstona. Miejsce zaś, gdzie rzeka Kongo, rozlana szeroko wokół olbrzymiej wyspy, gotuje się do skoku w pierwszą przepaść, ochrzczone zostało imieniem Stanley'a (Stanley-Pool).

Praca na nowo odkrytym lądzie przypadła w udziale Belgom. W ciągu z górą lat dwudziestu jednoczą oni ziemie kongolańskie. Liczne rasy i plemiona, rozproszone na wielkich obszarach, nie zawsze skłonne do uznania nowej władzy, walki z Arabami, którzy aż do serca Afryki zapuścili swe zagony, wyzyskując tubylców, prowadząc handel niewolnikami i uzurpując sobie często władzę nad szeregami plemion murzyńskich, czyniły to zadanie niełatwym.

Czuwał jednak nad losem Konga król Leopold II. Był on nie tylko twórcą i pierwszym suwerenem Konga, ale i pierwszym przedsiębiorcą kongolańskim. Niezależnie od prac i usiłowań, związanych z zapewnieniem nowemu państwu afrykańskiemu bytu politycznego, Leopold II interesuje się również jego gospodarczem rozbudzeniem, oddając na usługi pierwszych kongolańskich przedsiębiorstw wszystkie swoje wpływy i cały swój majątek.

Widmo bankructwa dwukrotnie zagląda do prywatnej szkatuły królewskiej. Parlament nie chce przyjąć z pomocą tej zamorskiej antrepyzje królewskiej. Ciężkie jednak czasy mijają i król wychodzi z labiryntu intryg i przeciwnieństw zwycięzcą. Wycofuje swe kapitały z po-



Wodospady Inkisi

teżnym zyskiem i czyni spadkobiercą Konga naród Belgijski, który jednak tem dziedzictwem czuł się raczej zaambarasowany, nie widząc bezpośrednich korzyści z nabycia tak wielkiego łądu. Pierwsi emigranci ochrzczeni zostali mianem szaleńców, którzy, nie mając nic do stracenia, ryzykują afrykańską awanturę.

Leopold II, pomimo, że w Kongo nigdy nie był, dzięki swemu zamiłowaniu do studjów geograficznych i bezpośredniemu kontaktowi z pierwszymi emigrantami, znał je aż do najdrobniejszych szczegółów. Poświęcił mu dziesiątki lat pracy i życia, spędzonych w atmosferze międzynarodowych targów o tę ziemię, której początkowo nikt zająć nie chciał i upokarzających często pertraktacji z przedstawicielami narodu, którego był głową. W swej wierze w przyszłość Konga był odosobniony, a w realizacji swej wielkiej idei kolonjalnej napotykał na niezliczone przeszkody. Wyrwał jednak do końca, dając tym, co mieli jego dzieło kontynuować, nieśmiertelny przykład energii, optymizmu i silnej woli.

Garstka przyjaciół i pomocników króla Leopolda II., zmarłego wkrótce po aneksji Konga przez Belgię, pracuje nadal bez wytchnienia. Karczkuje się lasy i zakłada plantacje, buduje drogi i bada wnętrze ziemi, udoskonala się organizację administracji i armji kolonjalnej, której tak piękna rola przypadła w czasie Wojny Światowej. Wreszcie wciąga się do pracy tubylców, pogrążonych w dołach fra' niente i tworzy coraz to nowe placówki ekonomiczne.

Wojna światowa, rzuciwszy zarzewie aż na odległy ład afrykański, wstrzymuje na lat kilka gospodarczy rozwój Konga. Normalna eksploatacja podjęta jednak zostaje niezwłocznie po zawarciu pokoju i nabiera takiej intensywności, że już ani dawne środki komunikacyjne, ani dawne sposoby rekrutowania robotnika nie wystarczają na jej potrzeby.

Ongiś Kongo było dnem wielkiego jeziora. Jezioro to objęte pierścieniem wyżyn i gór przebiło sobie jednak drogę poprzez Góry Kryształowe i wylało się do Oceanu Atlantyckiego. Szczątkami jego są dziś jeziora: Leopolda I., Tumba, Moero i Bangwela, oraz najbardziej na północ wysunięty, środkowy bieg rzeki Kongo.

Cały obszar tego dna prahistorycznego morza stanowi dziś t. zw. basen rzeki Kongo.



Pirogi na rzece Kongo

Ustępujące wody pozostawiły osad piasku, gliny i wapnia, dziś pokryty grubą warstwą gruntu, powstałego z rozkładu szczątków roślinno-zwierzęcych. Skład więc gleby kongolańskiej świadczy o jej urodzajności. Nie brak jej ani albuminy, ani krzemienia, ani wapnia. Mniej lub więcej proporcjonalne ustosunkowanie tych trzech elementów decyduje o charakterze i gatunku gleby, odpowiedniej dla tej czy innej uprawy.

Pozatem jednak w dziedzinie rolnictwa ważną rolę odgrywa i klimat.

Strefa klimatu gorącego, w której ramach rozpościerają się niziny, wyżyny, płaskowzgórza i mokradła kongolańskie, składa się z trzech pasów:

Pierwszy, środkowy, ciągnący się wzdłuż Równika po obu jego stronach (między 5 stopniem szerokości północnej a 5 stopniem szerokości południowej) odznacza się obfitością opadów atmosferycznych i wysoką temperaturą. Kawa, kakao, trzcina cukrowa, elais udają się tu wybornie.

Drugi i trzeci pas, położony jeden na północ, drugi na południe od strefy pasu równikowego, posiadają klimat tropikalny, który charakteryzują dwa sezony, ściśle rozgraniczone: deszczów, czyli gorący oraz suchy, zwany również chłodnym; w tych strefach, im dalej od Równika, tem bardziej sezon suchy się przedłuża, a lasy stopniowo zanikają, ustępując miejsca sawannom i stepom. Uprawa bawełny, ryżu i hodowla bydła udaje się tutaj dobrze.

W strefie tropikalnej półkuli północnej (od 5 stopnia do 15 stopnia szerokości) sezon deszczów odpowiada latu w Europie, sezon suchy — zimie.

W strefie klimatu tropikalnego półkuli południowej porządek jest odwrotny.

Sezon deszczów cechują wielkie upały, ulewne, zazwyczaj krótkotrwałe deszcze i gwałtowne burze, które przechodzą nieomal codziennie. Noce duszne i parne nie sprzyjają wypoczynkowi. Osadnik po zażyciu obowiązkowej dawki chininy zasypia skąpany w potach i budzi się w wilgotnej pościeli.

W sezonie suchym ani kropli deszczu. Rano w ciągu paru godzin gęste mgły otulają ziemię. Niebo, prawie do południa lekko zachmurzone, przepuszcza słabe promienie słońca. Orzeźwiający powiewy wiatru na gorących nizinach są częstsze, niż w sezonie deszczów. Noce są zazwyczaj chłodne, im dalej od Równika, tem chłodniejszą. Trzeba wystrzegać się przeziębienia nocnego, które spro-

wadza tu powikłania nieraz bardzo groźne. W sezonie suchym Europejczycy reparaują nadszarpnięte w czasie niezdrowego okresu deszczów zdrowie, polują, robią wycieczki, kolekcjonują fotografie... o ile czas na to pozwala.

Wilgoć, zwłaszcza w sezonie deszczów jest znaczna. Sól przed użyciem należy suszyć na słońcu, zmielony cukier po paru dniach zamienia się w ciecz. Broń rdzewieje, bieleje, zapomniana w szafie, już w ciągu paru tygodni gnije i butwieje. Blaszane kufry należy ustawiać na podstawkach, gdyż w zetknięciu z ziemią pokrywają się rdzą, która przegryza je, niszcząc ich zawartość.

* * *

Szata, w jaką natura przystroiła ziemię kongolańską, jest raczej skromną. Istnieją oczywiście wyjątki, jak np. obszary wschodnie z olbrzymimi jeziorami, rozlaniami u podnóża gór, pokrytych wiecznym śniegiem (Góry Ruwenzori ze szczytem Marguerite — 5130 m.), płaskowzgórza południowe, Góry Kryształowe, okolice Matadi, o bujnej egzotycznej roślinności, ujętej w ramy skalistych wzgórz.

Obszary jednak, które ongiś stanowiły łożysko Centralnego Jeziora, posiadają krajobraz monotony. Są one nizinne, pokryte lasami i mokradłami, które, w miarę oddalania się od Równika, ustępują miejsca sawannom, pokrytym wysokimi trawami i karłowatymi, prawie pozbawionymi liści, drzewami.

* * *

W krajach podrównikowych słońce wstaje i zachodzi o jednej i tej samej porze: jest nią godzina 6-ta rano i wieczorem. Nie ma tu zimy, ani lata w znaczeniu jakie im dajemy na Starej Ziemi, nie ma listopada, gdzie przyroda zamiera, ani maja, nie ma nawet t. zw. szarej godziny, gdyż

przejście dnia do nocy trwa zaledwie kilka minut. Burze, w których przejawia się potężna, nieokiełznana siła przyrody trwają krótko, przypędzone i pognane dalej wicherem, druzgocącym po drodze drzewa i zrywającym dachy. Strumienie wody wylewają się z ciężkich, czarnych chmur, błyskawice o niezwykłym blasku i sile gasną i zapalają się co chwila. Pod uderzeniem piorunów drży ziemia...

Huragan przechodzi. Słońce przerywa ostatnie wałęsające się chmury i rozlewa po sklepieniu niebios i parującej ziemi światło oślepiające. Przyroda, jakby znudzona wysiłkiem, drzemie. Cisza i spokój panuje teraz wszechwładnie, tak na lądzie, w lasach i sawannach, jak i na gładkiej, lśniącej powierzchni rzek i pokrytych wysoką trawą wyspach. Słońce zachodzi krwawo, zachód płonie... puszcza i step się budzi — chór świerszczów rozpoczyna swój nocny koncert, zwierz leśny wychodzi na żer z odległych legowisk...

We wsi rozpalają murzyni ognie. Tam-tam dudni głucho; może wzywa do tańca, może niesie do wsi sąsiedniej jakąś ważną nowinę lub ostrzeżenie.

Wszystko na tym lądzie jest olbrzymie i silne: ptaki, zwierzęta i owady, wody i lasy, słońce i gwiazdy, które płoną tu jaśniej niż nad Starą Ziemią.

Las ekwatorialny zajmuje obszar większy od Polski, szerokość rzeki Kongo wynosi 4 do 10 kilometrów, a nawet i więcej. Największe z pośród jezior kongolańskich, Tanganika, ma 640 klm. długości a 80 szerokości, głębokość jego dochodzi do 650 metrów. Słonie i hipopotamy ważą po parę tonn. Niektóre ptaki posiadają skrzydła 2-metrowej długości.

Wszystko zdaje się być niezmiennie, nieśmiertelne, wieczne, nawet ludzie, bo choć widzi się tu czasem siwowłosego starca, to jednak nigdy w głębi kraju, zdala od zgromadzeń europejskich, nie spotyka się ani cmentarza, ani usypanego grobu.

Człowiek o ciemnej skórze nie stawia śmierci pomników...

* * *

Istnieje w Belgji szereg ciekawych i pouczających książek, poświęconych sprawie Konga. Są one owocem wieloletniej pracy i studjów na terenie kolonji. Nie brak nawet gramatyk i słowników licznych djałektów murzyńskich, a objętość tych wydawnictw i bogata treść są doprawdy imponujące. Jest to jednak materiał raczej naukowy niż informacyjny. Młody emigrant nie mający zazwyczaj pojęcia o tem, czym jest Kongo, gubi się w cyfrach, szczegółach i krytykach, których oczywiście nie rozumie. (Wielkie usługi oddać tu może wyborny podręcznik informacyjny: „Notre Colonie”, par A. Michiels et N. Laude. Edit. A. Dewit, 53, rue Royale, Bruxelles).

Potrzebuje on żywego słowa, ale go nigdzie znaleźć i z nikogo wydobyć nie może. Oczywiście, chętnych do opowiadania niestworzonych rzeczy o tem, co w Kongo widzieli i przeżyli, nie brak. Posiadają oni zazwyczaj audytorjum złożone z młodych, niedoświadczonych emigrantów i bynajmniej nie wywierają na nich dodatniego wpływu. Kongolanie jednak, co Kolonję i ścieżki, prowadzące do powodzenia znają doskonale, zazwyczaj wstrzymują się od udzielania informacji wyczerpujących: „Niech sam sobie radzi, tak jak my sobie ongiś radziliśmy”. Zasada ta może i dobra, bo zmusza emigranta do samodzielności, ale zazwyczaj zbyt silnie trąci egoizmem i daje się boleśnie we znaki mniej doświadczonym i mniej samodzielnym.

Gdy więc statek nasz zawinął do Boma, informacje moje o Kongu były tak niekonkretne, a rady i wskazówki tak sprzeczne, że pojęcie moje o Kolonji było jednym szeregiem znaków zapytania i wykrzykników.

* * *

Kilkadziesiąt kilometrów, które dzielą ujście rzeki Konga od stolicy Kolonji, Boma, przebywamy powoli,



Nad urwiskiem

omiijając mielizny i wyspy i walcząc z potężnym prądem. Brzegi początkowo zaledwie widoczne z powodu wielkiej szerokości koryta, stopniowo zbliżają się do siebie. Są one wysokie i pokryte zieloną trawą oraz grupami palm. Jak okiem sięgnąć, ani jednej wsi, ani jednego znaku ludzkiej egzystencji.

Boma, rozłożone na niskim, pokrytym bujną roślinnością brzegu, wśród palm i potężnych baobabów, robi wrażenie zacisznego letniska. Wystarczy jednak zapuścić się w główną ulicę, aby się całkowicie rozczarować. Domy mieszkalne, z których wiele pamięta podobno czasy Leopolda II, obok chat murzyńskich, góry śmieci w bliskim sąsiedztwie domów mieszkalnych, parę brudnych kawiarni, gdzie przeważają połamane, lub nadwyreżone krzesła. Pałac Gubernatora Generalnego obszerny ale brzydki, zbudowany prawie całokwicie z blachy, także kościół, nieco sklepów, przeważnie portugalskich — oto Boma.

Ta stolica, pogrążona jakby w letargu czyni niewesołe wrażenie. Z lękiem zapytuję, czy i inne miasta podobnie pozbawione są wszelkiego życia i ruchu. Ktoś informuje mnie, że Boma przeżywa swe ostatnie lata zaszczytów stołecznych i że Zarząd kolonji przeniesiony wkrótce będzie do Kinshassa-Leopoldville, miasta, które powstało na sposobie amerykański w ciągu ostatnich lat paru i już dziś jest wielkiem centrum handlu i życia intelektualnego Kolonji.

Boma, pomimo swego śpiącego wyglądu i niezależnie od swego charakteru urzędniczego, jest ważnym punktem tranzytowym i portem dla bogatej, najstarszej i dobrze już zagospodarowanej prowincji nadmorskiej Mayumbe. Wzorowo prowadzone plantacje palm elaisowych, kawy i kakao, połączone siecią dróg automobilowych i związane z Boma linią kolejową, (Na przestrzeni Boma—Tschela długi. 137 klm. zbudowaną została w okresie 1900—1913) stanowią niezaprzeczone bogactwo Kolonji i są jej chlubą.

Statek spędza noc w Boma. Następnego dnia wyrusza-

my do Matadi. Koryto rzeki zaczyna się zężać, Kongo toczy się teraz już w wąskim parusetmetrowym łożu.

„Thysville” dyszy ciężko i posuwa się powoli walcząc z niebezpiecznymi wirami. Parę godzin później lądujemy w Matadi, tym razem już ostatecznie.

* * *

Matadi w języku tubylczym oznacza „kamień”. I rzeczywiście, jest ono miastem, zbudowanym na skale. Nic tu nie przypomina nam zacisznej, otulonej wspaniałą roślinnością Bomy. Kamieniste ulice, o raptownych spadach, piekielny upał na pozbawionym drzew porcie, murowane obszerne hotele, europejskie kawiarnie, wreszcie ruch i intensywna praca, jaka wre na przystani i w warsztatach od świtu do zachodu słońca, są jaskrawym kontrastem tego, co widziałem w Boma.

Matadi jest jedynym portem belgijskim na usługach wielkiej Kolonii. Banana bowiem i Boma posiadają jako porty znaczenie wyłącznie lokalne. Kończy się tu szlak komunikacji morskiej, a rozpoczyna droga lądowa, wiodąca ku przyszłej stolicy Konga: Kinshassa — Leopoldville.

* * *

Kinshassa położone jest podobnie jak i Matadi nad rzeką Kongo, która na przestrzeni, dzielącej te miasta, niestety nie jest spławną. Katarakty i wodospady uniemożliwiają żeglugę. W Kinshassa skupiają się wszystkie linie komunikacji rzecznej, idące z głębi kraju, z Matadi zaś promieniają linie okrętowe morskie w stronę Europy. Jeszcze trzydzieści lat temu te dwa ważne punkty, Matadi i Kinshassa, połączone były jedynie szlakiem karawanowym, uciążliwym i niebezpiecznym. Jedynym środkiem transportowym na tej drodze były plecy ludzkie. W ten sposób przeniesione były pierwsze kotły i motory dla

rzecznych statków kongolańskich, warsztaty i towary, przeznaczone do wymiany, w ten sposób również odbywał się transport bogactw kongolańskich, przeznaczonych na rynki europejskie.

Bez kolei, która by zastąpiła ten szlak karawanowy nie można było nawet marzyć o eksploatacji Kolonii.

Przystąpiono więc do jej budowy w 1890 roku, sprowadzając rękę roboczą z daleka, z kolonii francuskich, nawet z Chin.

Budowa trwała osiem lat i pochłonęła wiele milionów i niejedno życie ludzkie.

Zabójczy upał panujący wśród skał i epidemie, — nie mówiąc o febrze, przeciw której znano wówczas jedynie półśrodki, jak gorącą herbatę z rumem i koc, — miały tu żniwo obfite.

Nic więc dziwnego, że cały ten szlak wybrukowany jest szkieletami ludzkimi, że wzdłuż toru kolejowego i na cmentarzu w Matadi nie brak skromnych żołnierskich grobów tych, co przyszli tu realizować wielką ideję kolonialną swojego króla.

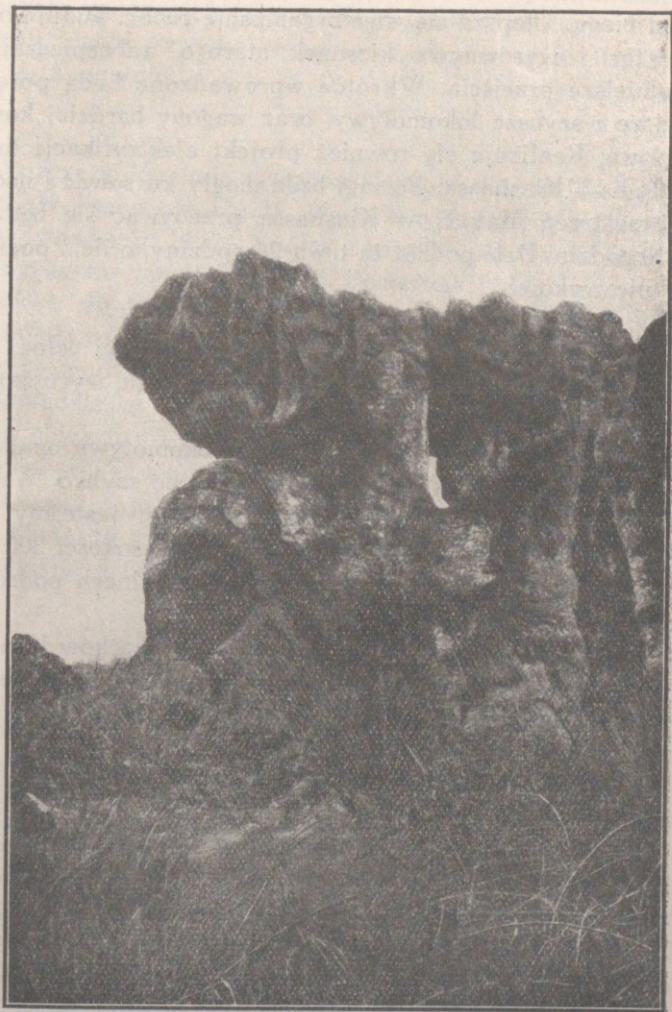
Pewien romansopisarz w swej ostatniej „afrykańskiej” powieści (Mathelin de Pepigny: „Guillaume le Chasseur”) ze smutkiem wspomina, że na każdy podkład kolejowy wypada jeden grób robotnika, a na każdy kilometr — jeden Europejczyka...

Czterysta kilometrów — czterysta grobów...

* * *

Linja Matadi — Kinshassa dziś już potrzeb Kolonii za spokojić nie może. Produkcja Konga z każdym rokiem wzrasta, eksport i import potężnieje w tym samym stosunku.

Potrzeba dziś wielkiej arterji komunikacyjnej o podwójnym torze, po którym wpływ i odpływ towarów mógłby być uskuteczniany bez ograniczenia tonażu.



Zwierzęta skały w Górach Kryształowych

Realizacja planu rozbudowy tej ważnej linii jest w pełnym biegu. Ulepsza się więc organizację ruchu, buduje nowy tor i wyrównywa kierunek starego, zabezpieczając trudniejsze przejścia. Wkrótce wprowadzone będą potężniejsze i szybsze lokomotywy, oraz wagony bardziej komfortowe. Realizuje się również projekt elektryfikacji linii Matadi — Kinshassa. Pociągi będą mogły kursować i nocą, a przestrzeń Matadi — Kinshassa przebywać się będzie w 10 godzin. Dziś podróż ta trwa 24 godziny, o ile... pociąg się nie wykolei.

* * *

Z Matadi więc, gdzie załatwiamy formalności celne, po paru dniach oczekiwania na miejsce w pociągu, wyruszamy dalej.

Pociąg zatrzymuje się często gdyż, lokomotywy opalane są drzewem, którego zapasy wyczerpują się szybko. Wspinamy się ustawicznie: na kilometrze 4-ym jesteśmy na wysokości 62 m, na kilometrze 14-ym na wysokości 300 m, w Thysville, dokąd przybywamy po 12 godzinach podróży i gdzie nocujemy, na wysokości 750 m.

Thysville jest jednym z najzdrowszych zakątków Konga. Temperatura umiarkowana, suche orzeźwiające powiewy wiatru, bujna i bogata roślinność ściąga tu na okres rekonwalescencji chorych z całego Konga.

Jesteśmy w sercu Gór Kryształowych, śpimy bez moskiteryj.

Krajobraz, jaki roztacza się przed oczami podróżnych na całej przestrzeni od morza do Thysville, jest czarujący. Potężne lasy wplatają się i wciskają w skaliste doliny. Wspaniała roślinność tłoczy się wzdłuż strumieni i u źródeł, wdzierając się na szczyty górskie i ześlizgując z nich w przepaście o ścianach z czerwonego granitu.

Opuściwszy Thysville zaczynamy zjeżdżać w dół. Pociąg biegnie szybciej, krajobraz staje się coraz monotoniczniejszy. Lasy i góry znikają, wchodzimy na równinę płaską, trawiastą.

W oddali lśni, popielata i błyszcząca w blaskach zachodzącego słońca, wstęga rzeki Kongo. Biłą się domy i czerwienią dachy szeroko rozpostartego miasta. To Kinshasa — Leopoldville.

* * *

Jeszcze kilkanaście lat temu Kongo nie posiadało miast. Istniały liczne posterunki władz terytorjalnych i siedziby przedstawicieli kilku Spółek handlowych, operujących wówczas na terenie Kolonji. Posterunki te, położone na wielkich drogach wodnych, rozrastały się szybko i przekształciły z czasem we wielkie osady i miasta, oczywiście w znaczeniu afrykańskim.

Kilkadziesiąt domów z gliny, rzadziej z cegły, okolonych obszernymi werandami, w otoczeniu kwiatów i grup palmowych, szerokie drogi wysadzone bananami, mangami, ananaszami i palmami, parę magazynów, czasem kościoł lub obszerny dom i biura dygnitarza terytorjalnego, oto przeciętny gród kongolański.

* * *

Duże miasta posiadają nazwy zazwyczaj zeuropeizowane, nadane dla uczczenia pamięci wielkich budowniczych Konga lub członków rodziny królewskiej. A więc są to różne „Villes”: Stanleyville, Thysville, Coqiatville, Leopoldville, Elisabethville i t. p.

To ostatnie jest największym miastem kongo-lańskim i liczy około 3000 mieszkańców Europejczyków. Odbiega ono swym wyglądem od przeciętnego typu miast kongolańskich, jest pięknie i estetycznie zabudowane, posiada liczne obszerne gmachy użyteczności publicznej, kluby restauracje i kawiarnie, dancingi i bogate magazyny. Elisabethville jest stolicą Katangi, prowincji głośniejszej z kopalni złota, radjum, węgla i miedzi, której pokłady w przybliżeniu oceniane są na... 240 milionów funt. szterl.!

Pięknem, ze względu na malownicze położenie, miastem ma być podobno Stanleyville, stolica Prowincji Wschodniej, ale najwięcej mówi się i dysputuje na temat przyszłej stolicy Kolonii: Kinshassa — Leopoldville.

Spędziłem tam z górą trzy tygodnie i widziałem miasto to, zarówno przy pracy, jak i w dniu świątecznym.

Warto poświęcić mu słów kilka.

* * *

Kinshassa wyrosło z ziemi niby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej.

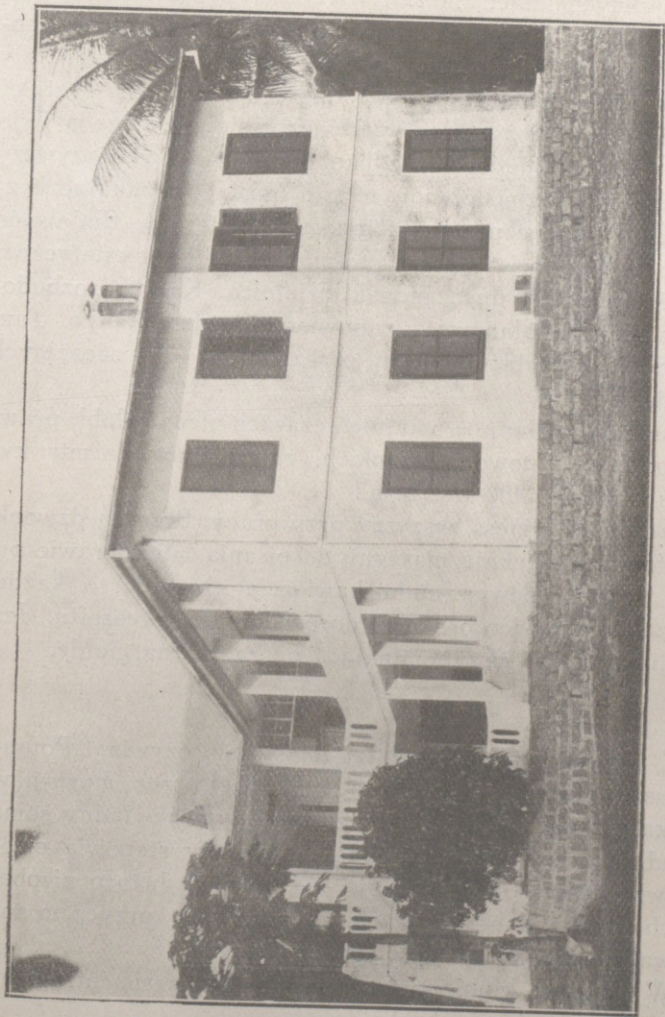
Chcę być szczery: jest to miasto brzydkie. Zabudowane dość chaotycznie, rozłożone szeroko, jeszcze kilkanaście lat temu liczyło niecałą setkę mieszkańców europejskich, rozlokowanych w zacisznych „bungalowach”; parę prymitywnie urządzonych zajazdów dawało gościnę garstce podróżnych, przybywających do Konga, lub powracających do Europy.

W ciągu krótkiego czasu dawna osada zniknęła w powodzi nowych budowli. Dziś cztery hotele dają komfortowe locum podróżnym. Właściciele restauracji, kawiarni i dancinów robią dobre interesy. W godzinach wieczornych drogą wiodącą poza miasto, ku wodospadom, ciągną szereg samochodów, unosząc eleganckie panie i „szoferujących” panów. Podobnie jak w Elisabethville i tu życie towarzyskie jest bardzo rozwinięte. Ten kogo nie stać na wystawne przyjęcia, liczną służbę i własne auto, jest obywatel podlegszego gatunku. To też pieniądź wpływa i odpływa tutaj szerokim strumieniem.

Kongolanie lubią porównywać rozwój Kinshassy do raptownego wzrostu miast amerykańskich.

Jest w tem porównaniu dużo prawdy.

Kinshassa położona jest na progu Konga, przez jej ręce przechodzi lwia część importu i eksportu kolonialnego. Powołana do spełniania roli wielkiego punktu tranzytowego Kinshassa jest pulsem Kolonii.



Banque du Congo Belge. — Domy dla urzędników w Kinshasa.

Niezwykły wzrost sił ekonomicznych Konga, w ostatnich powojennych latach, musiał w rezultacie rozsadzić dawne miasto, którego port, składy, doki i warsztaty, sklepy i hotele już nie wystarczały. Coraz to nowe Spółki zakładały tu swe siedziby. Napływ ludności europejskiej, stałej i przejezdnej wzrastał z każdym miesiącem. Trzeba było budować i to budować szybko. Rząd nie wykończywszy jeszcze ostatecznie planów miasta musiał zaspakajać licznie napływające prośby o koncesje na tereny. Budowano więc jak kto chciał i gdzie kto mógł. Stąd brak estetycznej całości miasta. Nowa jednak dzielnica, Kalina, rozbudowuje się już planowo i zapowiada bardzo dobrze. Tam też mają powstać gmachy, przeznaczone dla naczelnych władz Kolonji.

Ruch budowlany w ostatnich czasach nieco osłabł, prawdopodobnie z powodu wysokich cen na place. Za mtr. kw. żądają 300 — 400 frs. belg.!

We dnie business, wszyscy przy pracy. Brzęczą dzwonki telefoniczne, stukają maszyny do pisania, ulice prawie puste. Jedyne pewna mała kawiarnia gromadzi o każdej porze dnia i wieczoru matadorów handlu i geszeftu. Jest to „instytucja”, przypominająca naszą czarną giełdę.

Z wybiciem godziny piątej miasto się ożywia. „Pousse-pousse” (wózki dwukołowe ciągnięte przez murzynów) znikają z ulicy. Miejsce ich zajmuje wszechwładny samochód. Kawiarnie się zapełniają. Interesy stanowią ciągle główny temat rozmów. Mówi się również dużo o nieobecnych, rzadko dobrze, zazwyczaj jednak źle, przyczem spożywa się alkohol w ilościach poważnych.

W pewnym klubie cudzoziemskim knuje się intrygi miłosne i... gra nieco w karty.

Obok miasta europejskiego rozłożyło się miasto murzyńskie. Ulice wykreślone symetrycznie przecinają się prostopadle, tworząc istny labirynt. Domy są prawie identycz-



„Pousse — pousse”

nych rozmiarów, zbudowane z gliny i cegły, czysto pobielone, z ogródkami. Ludność tego miasta wynosi kilkadziesiąt tysięcy głów.

W niedzielę ruch tutaj niebywały. Co kilkadziesiąt kroków „tam-tam” i grupy tańczących. Nie brak nawet gramofonu. Murzynki w jaskrawych tunikach, lub sukniach o europejskim kroju, w pantofelkach i przeźroczystych pończochach, przechadzają się po ulicach, uśmiechając się do zabłąkanych Europejczyków. Szczytem elegancji jest parasolka, lub nawet zwykły czarny parasol. Półucywilizowany murzyn ubiera się przy święcie również bardzo starannie, często staranniej od swego „mundele” (Pana, Europejczyka).

Ci, którzy okrywają swoją nagość metrem lichego perkaliku, są odsunięci od stosunków z tymi czarnymi gentlemanami i noszą pogardliwe miano „basendzi” (dzikusów).

„Reveillon” Bożego Narodzenia i Noc Sylwestrowa skupiają ludność europejską w ogrodach i salonach dwóch wielkich hotelów kinshassańskich, oświetlonych a góрно.

Panie w toaletach wieczorowych, lub w przebraniu maskaradowem, panowie w białych lub czarnych smokingach (frak nie zdobył sobie obywatelstwa w kolonjach tropikalnych). Ściany sal przybrane flagami państw zaprzyjaźnionych z Belgią. Girlandy z zieleni i lampionów, sztuczne ognie, konfetti i serpentyny, jazz-band...

Motory samochodów warczą u bram gościnnie rozwartych. Coraz to nowi goście napływają. Śladem pań unosi się woń drogich perfum, kroczą nieodstępni adoratorowie i... mąż.

Tegie miny, szeroki, wesoły uśmiech na gładko wygolonych twarzach, pewność siebie, tubalny głos i... ciężki portfel w kieszeni. Szampan płynie strumieniem i tylko szampan...

Przecieram oczy. Gdzież jestem, sapristi!? W sąsiedztwie kopalń złota, czy diamentów?...

Pewnego dnia, wkrótce po przybyciu do Kinshassa, jeden z moich znajomych zaproponował mi wycieczkę do „Francji”.

Widząc moje zdumienie pośpieszył z wyjaśnieniem:

— Mam na myśli Francję afrykańską, po drugiej stronie rzeki Kongo. Pokażę Panu Brazzaville, stolicę Ekwatorialnej Afryki Francuskiej i zrobimy spacer do wodospadów Lewingstona.

Wodospady rozpoczynają się w okolicach Kinshassa i Brazzaville, miasta te zaś leżą na dwóch brzegach rzeki, naprzeciw siebie.

Dorożką samochodową udajemy się do portu, skąd od-



W Kinshasa podczas karnawatu — nawet dzieci się bawią...

pływają stateczki utrzymujące komunikację między dwiema stolicami.

W pół godziny później stajemy już na francuskiej ziemi.

Na przystani w Brazzaville czekają liczne pousse-pousse'y. Sadowimy się w wózkach znacznie wygodniejszych i czystszych niż te, które kursują po ulicach Kinshassy. Murzyni, którzy je ciągną, posiadają rodzaj liberji, czego również brak „dorożkarzom” kinshassańskim, zazwyczaj brudnym i obdartym.

Szeroką, cienistą aleją mkniemy szybko ku miastu. Spodziewamy wkrótce pierwsze domy i sklepy. Wysiadamy, aby przebyć Brazzaville pieszo. Stolica Kongo francuskiego jest również senną jak i Boma. Jest to widocznie już cechą stolic Centralnej Afryki.

Piękne, cieniste i starannie wygracowane aleje czynią z tego miasta rodzaj parku. Czyste, choć nie pierwszej młodości, domki i wille w otoczeniu powodzi róż i ibiskusów tworzą pociągającą całość. Po raz pierwszy od chwili wyładowania widzę kwiaty w takiej ilości. Mimowoli wypowiadam moje myśli i pytam, dlaczego w Boma i Kinshassa...?

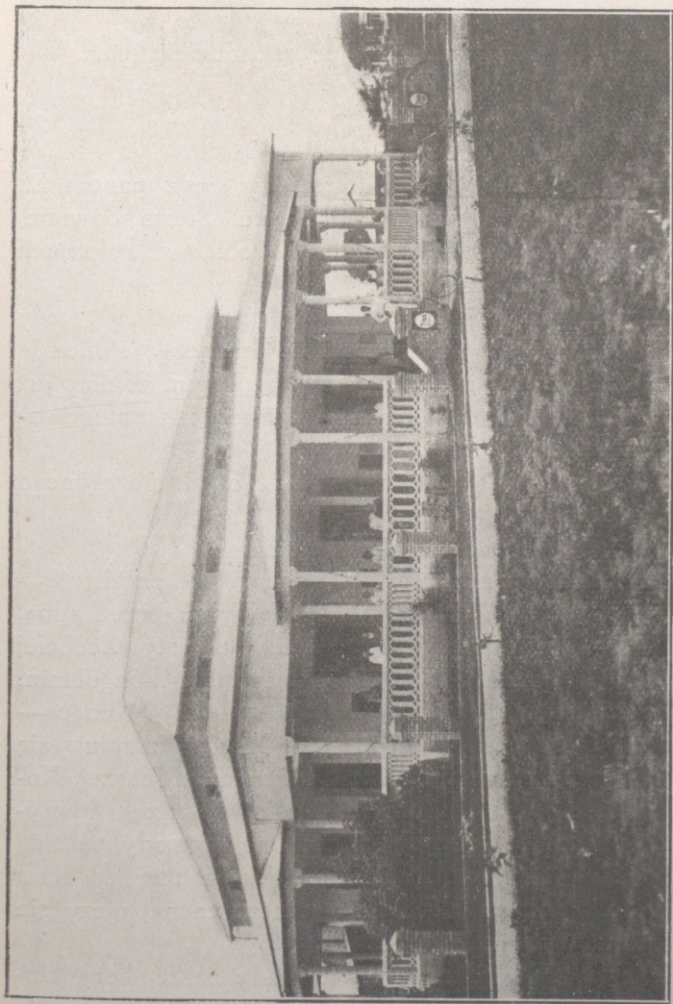
— Ma Pan rację — przerywa mi mój towarzysz — Belgowie posiadają tę wadę, że za mało troszczą się o estetyczny wygląd swojego „lupangu” (zagroda, obejście).

Mijamy szereg gmachów rządowych, ogromny pałac Gubernatora o architekturze nieco banalnej i kierujemy się w stronę Instytutu Pasteura.

Kierownikiem jego jest znany uczony francuski prof. Blanchard, który całe swe życie poświęcił studjom nad letargiem murzyńskim. Padłszy ofiarą tej choroby sam z niej się wyleczył i obecnie pracuje niestrudzenie nad wynalezieniem serum zapobiegawczego.

Po śniadaniu wyruszamy do wodospadów.

Olbrzymie, szerokie koryto rzeki z hałasem wylewa się na skaliste stopnie, ku coraz węższemu łożu.



*Modny dancing — saloon w Kinshassa
(„cher M-me Bouboule”)*

W cieniu altany, podziwiając wspaniały krajobraz. Jaki roztacza się przed nami, spędzamy cenną godzinę myśli...

Wracamy do Brazzaville już po zachodzie słońca.

* * *

Pewnego popołudnia rozlokowaliśmy się z panem L., starym Afrykaninem na tarasie hotelu. Siesta bowiem, przynajmniej półgodzinna, zdobyła sobie w kolonjach prawo tradycji nienaruszalnej.

Przed nami jak okiem sięgnąć, szeroko rozlane wody Konga lśnią w blaskach nielitościwie prażącego słońca.

Byłem w przededniu wyjazdu w głąb kraju. Walizy już spakowane miały być tego samego wieczoru załadowane na statek.

Rzuciłem pytanie, dotyczące jakiegoś drugorzędnego szczegółu podróży.

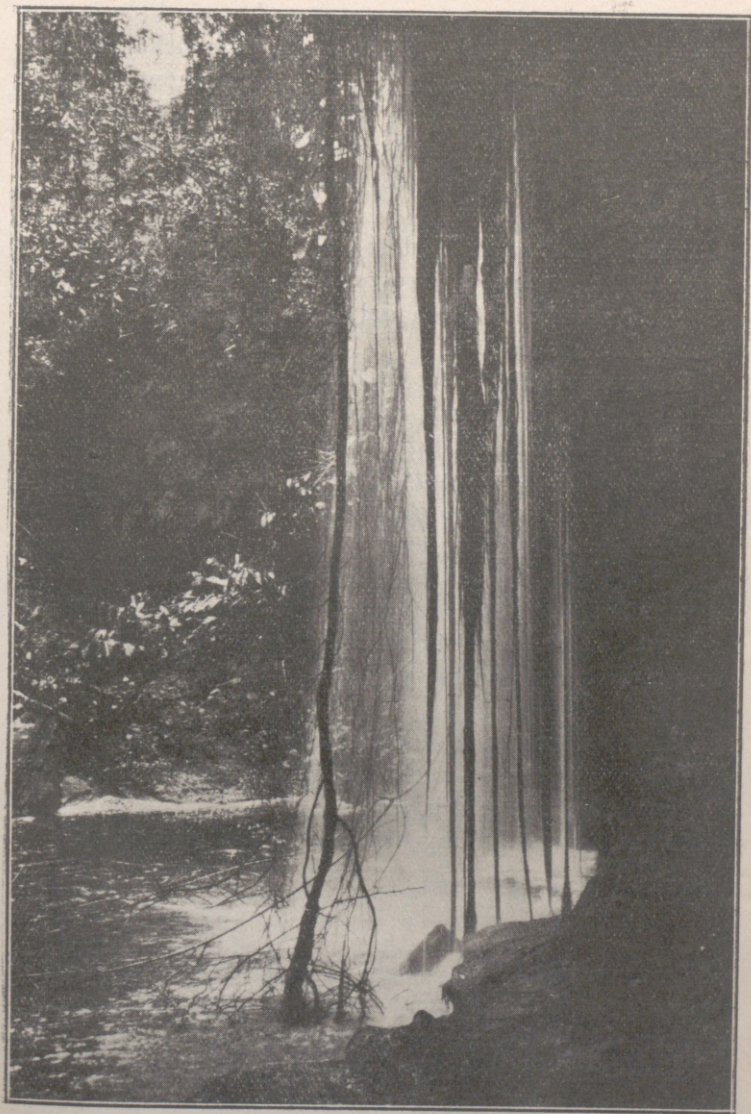
Pan L. odpowiedział mi nie odrazu.

— Wie Pan o czym myślę? — odezwał się po chwili, — myślę o tej kochanej rzece, którą mamy tu przed sobą, a na którą Pan patrzy jeszcze okiem turysty. Zechciej Pan jednak posłuchać, co o niej powie stary kongolanin:

„Nic słusznieszego, jak ta wspólna nazwa — Kongo — nadana ziemi i rzece. W jej korycie bowiem znajdują się wody wszystkich rzek, rzeczek i strumieni naszej Kolonii. Nie brak jednak w łonie tej Królowej - Rzeki i przyszłów z dalekich, obcych stron: są tu wody, co idą i z Angoli, pięknej kolonii portugalskiej i inne, co biorą swe źródło w tajemniczej i mało jeszcze znanej ojczyźnie Nilu, lub na wyżynach Rodezji.

Przedewszystkiem jednak są to wody nasze, kongolańskie. Idą one od złotodajnych pól Uele, od miedzianego płaskowzgórza Katangi i od djamentowych stepów Kasai.

Zbiegają w kaskadach i wodospadach, z pokrytych wiecznym śniegiem gór Ruwenzori ku równinom i sa-



„Grotte de Leo” w okolicach Kinshassa

wannom, kryją się w puszczy równikowej, której wnętrza nie skaziła jeszcze stopa Białego Człowieka. W cieniu tysiącletnich drzew - olbrzymów, oplątane siecią lian i wodorostów, na których igrają małpki o białych brodach i błazeńskich czubach na małych łebkach i gimnastykują się świszcząc wesole, popielato - czerwone papugi.

Przebiegają te rzeki wzdłuż i wszerz kraj cały, we dnie i w nocy, bez przerwy i wreszcie łączą się wszystkie w łonie Królowej Rzek, która dziw, że je wszystkie przyjąć i pomieścić może.

I oto tutaj widzi Pan tę rzekę już bliską swojego celu — morza. Miała ona nielada drogę do przebycia, płynąc raz w wygodnym skalistym łozu, to znów posuwając się z trudem po płytkim piaszczystym dnie, omijając liczne wyspy i wysepki, na których wygrzewają się we dnie krokodyle, a w nocy żerują hipopotamy.

Te wody, które przed nami się toczą są najwytrwalszym pracownikiem, niestrudzonym trażarzem naszej Kolonii. Zbierają one ze wszystkich zakątów kraju jego skarby i na swych barkach niosą ku wielkiej drodze ku Oceanowi i Starej Ziemi.

Olbrzym - rzeka, Królowa - Rzeka! My kongolanie kochamy ją, jak Francuz kocha Sekwanę, Niemiec Ren a wy Polacy waszą szarą Wisłę.

Bez niej Kongo byłoby dziś jeszcze ziemią nieznaną!"

* * *

Komunikacja wodna, dzięki niezwykle pomyślnym warunkom hydrograficznym rokuje na przyszłość rozwój świetny. Długość rzek spławnych i w eksploatacji żeglownej wynosi około 12.000 klm.

Cyfra ta w przyszłości wzrośnie, gdyż projektuje się regulację pewnych odcinków, dotąd nieprzystępnych dla statków.

Najbardziej sensacyjnymi — o ile wolno mi użyć takiego określenia — są projekty uszlusowania odcinka rzeki Kongo między Matadi a Kinshassa. Na tej przestrzeni, około 400 klm., istnieją, jak już wyżej wspomniałem, 32 wodospady. Koryto rzeki jest wąskie i skaliste o niejednolitej głębokości, i prądzie.

Istnieje szereg projektów, między innymi projekt inż. Goldschmidta, który dowodzi, iż eksploatacja dolnego biegu Konga jest możliwą przy pomocy statków ziemnowodnych, (*les bateaux amphibies*) które za pomocą wind byłyby podnoszone w górę na odcinkach nieszlusowanych i ustawiane następnie na szynach o pojedynczym torze. Statki te przy pomocy siły elektrycznej, czerpanej na wodospadach, przesuwano by na miejsca, gdzie żegluga mogłaby być ponownie podjęta. Zrealizowanie tego projektu kosztowałoby 20 milj. fr. złotych.

Inż. B. P. Wall, Anglik, podejmuje się wybudować w pięciu najtrudniejszych odcinkach kanały okrężne, kosztem... 100 milionów fr. złotych.

Inni wreszcie proponują zniszczenie dynamitem katarakt i skał podwodnych, aby w ten sposób ujednolicić głębokość rzeki i uczynić ją szluskową.

Zrealizowanie tych projektów jest kwestją jeszcze dalekiej przyszłości, tak ze względu na wielkie koszty, jak i znaczną ilość ręki robotniczej, którejby wymagało.

Flotyła rzeczna Kolonii powiększa się szybko. Nowe potężne jednostki w ostatnich czasach opuściły doki Leopoldville'u. Zbudowane solidnie i urządzone z komfortem, posiadają silniejszy tonaż od statków dawnych.

Kongo posiada z górą 11 tysięcy klm. dróg lądowych i już parę tysięcy kilometrów dróg automobilowych.

Aeroplany kursują regularnie między Boma - Kinshassa - Elisabethville. Kilkanaście stacji telegrafu bez drutu obsługuje Kolonię.

Kongolanin może więc podróżować statkami, kolejami, samochodami i nawet samolotami.

Statkami i kolejami posługuje się jednak rzadko i tylko wtedy, gdy ma przed sobą podróż daleką: powrót do lub z Europy, zmianę siedziby i prowincji.

Aeroplany i samochody są oczywiście przywilejem wybrańców losu i fortuny. Zazwyczaj więc w głębi kraju osadnik kongolański podróżuje bądź w lektyce, bądź w pirodze, najczęściej jednak „per pedes”, po ciasnych niewygodnych ścieżkach, wydeptanych przez tubylców.

Statek na którym odpłynąłem z Kinshassa pamięta niewątpliwie bohaterskie czasy króla Leopolda. Nic więc dziwnego, że osłabiony wiekiem posuwał się naprzód żółwim krokiem i na przebycie około siedmiuset kilkudziesięciu kilometrów, dzielących Kinshassa od Brabanty, gdzie miałem wylądować, zużył 14 długich, jak nieskończoność dni.

Może sędzę tego weterana żeglugi kongolańskiej zbyt surowo. Nie należy bowiem zapominać, że płyniemy ciągle w górę rzeki o silnym prądzie, licznych wyspach i mieliznach, które należało umiejętnie omijać, że zatrzymujemy się często, parę razy dziennie na t. zw. „poste a bois” w celu załadowania drzewa, gdyż statki kongolańskie podobnie jak i lokomotywy opalane są drzewem, — że wreszcie obciążone poważnym ładunkiem statki te nie mogą należyć do szybkobieżnych.

Nie zmienia to jednak w niczem rzeczywistości: żeglujemy przeciętnie 10 godzin na dobę, z szybkością 5 klm. na godzinę i smażymy się żywcem na tych „tratwach” z kominami, gdzie kajuty, pokład dla pasażerów, jadalnia i kotły ulokowane są na szczupłej płaszczyźnie.

We dnie słońce rozpalone do białości rozlewa na gładką taflę wód, blask oslepiający, który męczy wzrok nasz nieprzyzwyczajony do podrównikowego światła. Brzegi rzeki, wysokie i pokryte lasami lub niskie, trawiaste, dają krajo-

braz monotonny, prawie smutny. Gdy zaś statek zatrzymuje się u brzegów na nocleg, moskity i nocne owady różnego kalibru, barwy i... temperamentu wypędzają nas z pokładu do kajut, ciasnych i dusznych, — jakżeż się więc dziwić, że w tych warunkach my, nowicjusze na afrykańskiej ziemi, czujemy się nieco nieswojo.

Szukamy zapomnienia w trwającym całymi dniami tridże'u, a pociechy w smacznych potrawach, przyrządzanych pod osobistym nadzorem pani kapitanowej.

Z dolnego pokładu dochodzi nas nieustanne dudnienie bębna (tam - tam), wrzaski i monotonny śpiew murzynów.

Jest ich tam blisko setka różnych ras i wieku: załoga statku, podróżni, służba, kobiety, dziewczęta, dzieci przy piersi. Żyją oni wszyscy między szczapami drzewa, skrzyniami i kotłami, gromadząc się po kilkoro przy jednym garnku lub kawałku ryby, śpiąc pokotem jedni obok drugich w pomieszczeniu, jak stado...

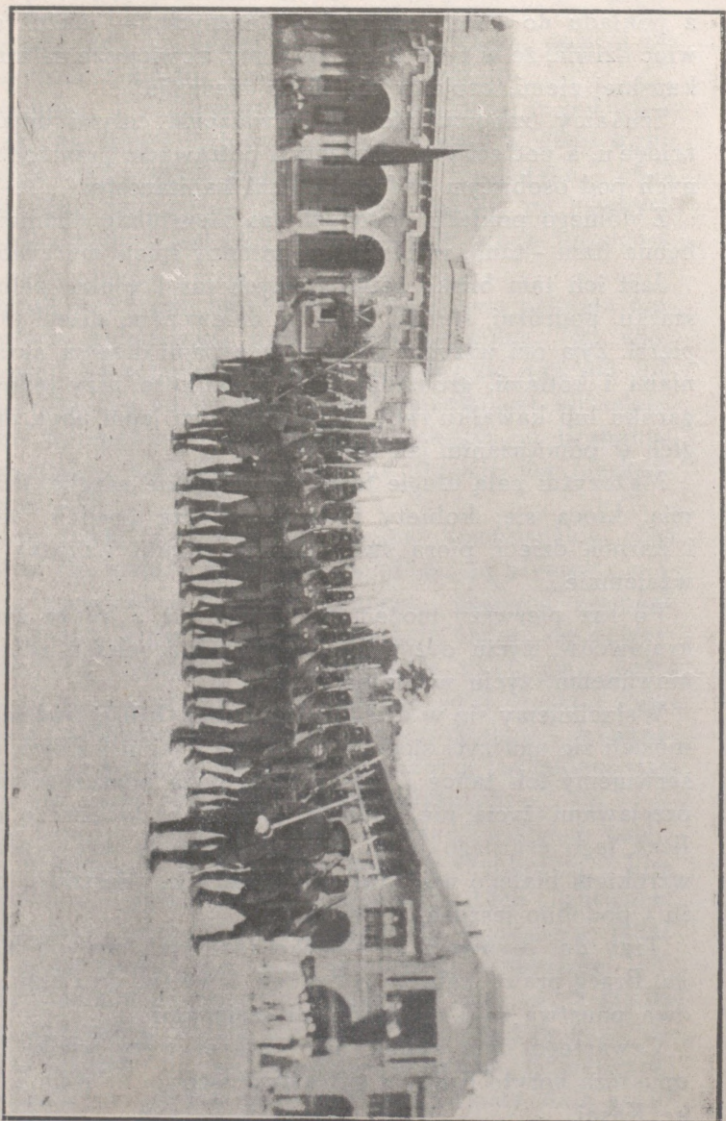
Mężczyźni palą długie fajki i murzyńskie nargile, drzemają, kłócą się; kobiety pracują: warzą posiłek, myją i karmią dzieci, piorą swe jaskrawe tuniki i czeszą się wzajemnie...

Po raz pierwszy możemy przyjrzeć się z bliska życiu krajowców, życiu oczywiście w tych warunkach zdeformowanemu, życiu w klatce.

Wsluchujemy się w dźwięki ich mowy, której będziemy musieli się nauczyć, śledzimy przebieg dysput i kłótni, obserwujemy ich tańce i zaloty, ale poza poszczególnymi przejawami życia nie widzimy jeszcze prawdziwego oblicza tego czarnego ludu, który zazdrośnie kryje przed wzrokiem białego najeźdźcy swe tradycje, wierzenia, myśli i podobno jeszcze.... nienawiść.

Trzy dni płyniemy po szeroko rozlanych wodach Konga. Brzeg prawy należy do Francji, lewy już do Belgji. Te dwa państwa są i tu zgodnymi sąsiadami.

Czwartego dnia statek nasz, zakreśliwszy wielki łuk, opuszcza koryto Konga i wchodzi w George de Kwa i rzekę Kasai.



Oddział wojska Kolonialnego na ulicach Kinshassa

Mijamy w ciągu drogi szereg miejscowości: Kunsulu, pole ćwiczeń t. zw. Force publique, która jest czarną armią kolonialną, dowodzoną przez oficerów europejskich, Mushie, ważny punkt tranzytowy, Wombali — wspaniałe zagospodarowaną misję OO. Jezuitów, Bandundu, Dima, Idiofa, Lubue, wreszcie Brabanta — pięknie zabudowany posterunek Sp. Akc. Huilleries du Congo Belge, eksploatującej palmy elaisowe.

W miarę jak statek posuwa się w głąb kraju zmniejszało się nasze grono. Prawie codzień ktoś z niego ubywał. Przyszła wreszcie kolej i na mnie. Dnia 28. stycznia 1925 r. wylądowałem na ziemi szczepu Baszilele.

ROZDZIAŁ III.

W DOMU I POD NAMIOTEM

Moja osada. — „Pan Cię pozdrawia”. — Ja u królów i królowie u mnie. — Sąd. — Mój sąsiad. — Pogrzeb kolegi. — Węże, mrówki i motyle. — Krokodyli apetyt i krokodyle łyzy. — Burza na rzece. — Kłopoty ze służbą. — Wyspa hipopotamów. — Ludzie i zjawy. — Sześć miesięcy pod namiotem. — Wieś, która wymiera. — Narodziny europejskiej osady.

ROZDZIAŁ III
W DOMU I POD NIAMIOTEM

Mate czeka. — Pan Cio podjechał. — Ja u brzoła i brzoła
u domu. — Sąd. — Mój sąsiad. — Tęgiś i brzoła. — Właś, mój
mój. — Kłopoty sąsiad. — Kłopoty sąsiad. — Kłopoty sąsiad. —
Kłopoty sąsiad. — Wynos. — Wynos. — Wynos. — Wynos. —
Sędziś mój. — Właś, mój. — Właś, mój. — Właś, mój. —
Wynos. — Wynos. — Wynos. — Wynos. — Wynos. — Wynos. —



Mały stateczek, sapiący jak samowar, przyciągnięto do brzegu zapomocą stalowych lin i uwiązano do drzewa. Po wąskiej kładce wydostajemy się na ląd, wspinamy się z trudem po spa-

dzistej drodze, wiodącej ku osadzie i po kilku minutach stajemy przed bambusowem ogrodzeniem bungalowu.

Pan A. wskazuje mi szerokim gestem wieś robotniczą i zabudowania gospodarcze, rozmieszczone na paru hektarach czysto wykarczowanej i zamiecionej przestrzeni i zapytuje, jakie wrażenie czyni na mnie osada, którą ma zamiar mi powierzyć. Muszę przyznać, że to obszerne, równe i czyste jak plac tenisowy podwórze, zamknięte w kole palm olejodajnych i zalane światłem pogodnego dnia, było dla mnie miłem i nieoczekiwanem zjawiskiem.

Wchodzimy do ogródka dość zaniedbanego i do domu, gdzie nieład, brak mebli i puste, brudne ściany świadczyły o bliskim odjeździe „lokatora”.

Ogólny jednak stan domu również wiele pozostawiał do życzenia. Słupy, podtrzymujące werandę, stoczone przez termyty chyliły się to w prawo to w lewo. Szerokie szpary w drzwiach i podarte siatki w oknach dowodziły, iż moskity nie mają tu wejścia wzbronionego. W ciągu dnia, wewnątrz domu trzeba było zachowywać kask na głowie, a w nocy w razie burzy przesuwąć łóżko na miejsce... bardziej suche, gdyż dach, podziurawiony jak rzeszoto, nie zabezpieczał dostatecznie ani od słońca ani od deszczu.

Niech wolno mi będzie zarzucić zastonę na okres z górą półroczny, w ciągu którego przekształcić się musiałem na osadnika afrykańskiego, mając jako wskazówkę na przyszłość krótkie „debrouillez-vous”.

Trzeba było po omacku orjentować się w nowych warunkach pracy, a nie zdradzając się ze swym niedoświadczeniem, często przy pomocy wybiegów zdobywać to niezbędne minimum prestige'u u murzynów, bez którego rządzenie nimi jest niemożliwe.

W okresie tym nie brakło dni smutnych, bez wyjścia, dni zniechęcenia i tęsknoty. Poco więc o nich wspominać, skoro dziś należą do bezpowrotnej przeszłości, zwalczone i usunięte wytrwałością i wysiłkiem dobrej woli, cnotami, które spływają tu nawet na najsłabszych, razem z febrą i piekąciami promieniami słońca kongolańskiego.



Podnoszę zastonę w chwili, kiedy wieś robotnicza, rozrośnięta jak na drożdżach, rozłożyła się w czterech symetrycznych szeregach nowych, czystych glinianek, w chwili, gdy stare, walące się budynki gospodarcze zastąpione zostały nowymi, wznoszącymi swe wysokie spadziste dachy palmowe przeciwko burzom i wicherom podrównikowym.

Mój bungalow bieli się wśród palm i zielonych trawników. Obszerna weranda, biegnąca wzdłuż wszystkich czterech ścian domu wprowadza miły chłód do wnętrza, gdzie ani słońce, ani deszcz, ani moskity dostać się nie mogą.

Nieco wygodnych, koszykowych mebli, ściany, zawieszane zbiorom strzał, łuków, nożów i tkanin tubylczych, nie odstraszą swą nagością i poodtrącanym tynkiem. W oknach firanki, na stolikach serwety, może zbyt jaskrawe, ale „en brousse” trzeba z wielu rzeczy zrezygnować, a słowo komfort wogóle wykreślić z pamięci.

W sypialni wielkie łóżko z baldachimem i muslinową moskiterą. Obok pokój kąpielowy, dalej spiżarnia, gdzie spoczywają cenne produkty rodem z innych lądów, jak: mąka, masło, mleko skondensowane, ser, ryż, sardynki, mięso i jarzyny w puszkach, konfitury, wino i kartofle, stokroć bardziej tu cenione, niż na Starej Ziemi.

Małe podwórko z kuchnią, gołębnikiem, kurnikiem i domami służby, nieco drzew owocowych — oto moja zagroda.

* * *

Spoczywam w leżaku okryty kocami. Obok na stoliku chinina, whisky, gorąca herbata. Pierwsza febra od chwili przyjazdu do Konga złożyła mi swą wizytę. Ból w kościach, mdłości, zawroty głowy od trzech dni uprzykrzają mi życie. Gorączka jednak już ustąpiła. Dobry to znak.

Następnego dnia o świcie zbudził mnie szelest kroków. To mój mały Nilunga i mój boy Bernard niosą mi do łóżka herbatę i sucharki.

Wyciągam się pod kocami, prostuję ręce i nogi z uczuciem błogiej ulgi.

Przypominam sobie, że to niedziela i że dziś przybyć ma do mnie pan G., administrator terytorjum Bakuba. Trzeba więc będzie podnieść się z łóżka. Wołam Bernarda, który czeka za drzwiami i dysponuję:

— Kupesa mi bilamba jonso ja mutoke, na mai kapia bualo na kusukula. Mi kusua kukatuka lelo na bulalu. (Podaj mi białe ubranie i ciepłą wodę do mycia, chcę dzisiaj wstać z łóżka).

Toaletę osadnika afrykańskiego nie należy do skomplikowanych. Męczarnia golenia, zawsze zbyt tępą brzytwą, lub giletką, trzeba tutaj znosić najwyżej raz na tydzień. Koszule nosi się rozpięte na piersiach, a rękawy zawinięte po łokcie. Marynarkę, kołnierzyk i krawat nakłada się na wielkie uroczystości i to z westchnieniem pełnem rezygnacji. Dwa tylko kolory są uprzywilejowane: biały i khaki.

Conajwyżej w pół godziny jestem gotów na przyjęcie zapowiedzianego gościa. Czuję się jednak jeszcze bardzo osłabiony.

Około dziewiątej rano zjawia się przed domem goniec w barwach władz kolonialnych: w czerwonym fezie i granatowo - białym uniformie. Zadyszany i zlany potem, staje na baczność i raportuje:

— Bulamatari na Muszengo kupeca łe mojo. Jandi kusua kulua na musoko apa mu nkaczikaczi na munja. (Naczelnik biały z Muszengo pozdrawia Cię. Przybędzie tutaj w południe).

— Malengela (Dobrze) — odpowiadam, daję gońcowi papierosa i odprowadzam.

Mam zatem trzy godziny czasu. Wyciągam się na łóżku i zasypiam.

Budzi mnie instynktowna świadomość czyjejs obecności. Otwieram oczy. Przed łóżkiem stoi czarny olbrzym w mundurze khaki, w fezie i z karabinem na ramieniu.

— Czego chcesz — pytam.

— Pan pozdrawia Cię, odpoczywa we wsi Sumbu. Będzie tu w południe.

— Dobrze — odpowiadam z anielską cierpliwością, daję żołnierzowi papierosa i odprowadzam.

Morfeusz nie wypuszcza mnie ze swych objęć. Zasypiam bezwiednie. Ale jakież było moje zdziwienie, gdy, zbudziwszy się po pewnym czasie, ujrzałem w drzwiach znów.... czarną głowę i białogranatowy mundur.

Na miłość Boską, kiedy skończy się ta defilada czarnych zwiastunów pana Administratora?! Jestem szczerze zły i mówię widocznie coś bardzo mało uprzejmego do gońca, gdyż znika on jak cień, nie zdążywszy wyrecytować sakramentalnego „Pan Cię pozdrawia”.

Dudnią bosc stopy po ubitej ziemi, wrzaski, nawoływania i monotony śpiew murzyński.

Oczekiwany gość musi już być w pobliżu.

Ściągam zbolełe kości paskiem, z żalem spoglądam na opuszczone łóżko, i wychodzę przed dom.

Pan G. wysiadł z lektyki i szuka mnie wzrokiem.

Pod sekretem muszę bowiem powiedzieć, że przedstawiciele władz kolonialnych lubią być witani owacyjnie i u progu domu, przynajmniej u progu...

Podwórze wypełnia się wnet tłumem trażarzy, żołnierzy i gońców.



„Tipoy”.

Naczelnik z pobliskiej wsi przybywa ze świtą, niosąc kury i jaja. Inny prowadzi kozę, inny jeszcze zjawia się z udem antylopy, zabitej tego ranka. Będziemy mieli na obiad wyborną pieczeń.

W przeddzień odjazdu pana G. otrzymałem wiadomość, na skutek której postanowiłem udać się w głąb kraju Baszilele, do króla Perominenge.

Wyruszamy więc równocześnie, ale w przeciwnych kierunkach.

O wschodzie słońca jesteśmy już na nogach. Wypróżniamy dzbanek gorącej kawy i wychodzimy przed dom, gdzie zgromadzili się już murzyni, wiążąc do drągów bagaże.

Słońce wychyla się z puszczy, osrebrzając pokryte obfitą rosą trawniki, krzewy i palmy. W tym porannym świetle powietrze jest tak przejrzyste, że z łatwością rozróżniamy nie tylko tatuowania na twarzach i lśniących, klasycznie rozwiniętych, torsach, ale i każdy liść, każdą gałązkę na ciemno - zielonym pierścieniu leśnym.

Głosy nawołujących się tragarzy i słowa komendy odbijają się czystym echem w przestrzeni, mieszają się z gwizdem i krzykiem przelatującego ptactwa i zamierają w monotonnym szmerze czarnego, ludzkiego mrowia.

Zbliża się kapral, staje na baczność przed panem G. i raportuje:

— Wszystko gotowe!

Pada krótki rozkaz:

— W drogę!

Żołnierze zarzucają karabiny na ramiona. Schylają się i preją czarne ciała, unosząc z ziemi paki, kufry, zwinięte namioty. Kilkunastu skutych w łańcuchy więźniów wyrusza parami, za nimi wioślarze, nasze lektyki, gońcy i tragarze.

Sztandar belgijski wysuwa się na czoło karawany. Wkrótce jesteśmy już na przystani.

Pan G. odpływa w pirodzie, eskortowany przez całą flotyllę innych, ja zaś na stateczku, który ma mnie wraz z ludźmi i bagażami przenieść na drugi brzeg rzeki Kasai.

Ląduję w Sungula.

Karawana moja formuje się ponownie i wyrusza gęsiego. Murzyni, którzy niosą mnie w tipoy'u (lektyce) na zmianę, mają uwiązane poniżej kolan grzechotki. Biegna

drobnym truchtem śpiewając, nawołując się i wydając dzikie okrzyki. Choć droga gliniasto - piaszczysta równą jest jak stół, mój afrykański ekwipaż trzęsie jak kiepska, proboszczowska bryka.

Mijamy jedną, drugą i trzecią wieś. Są one względnie czyste, bo zamieszkałe przez rasę Lulua, która chętnie emigruje ze swej ojczyzny, położonej dalej na południe Kolonji i nie gardzi już ani mydłem, ani koszulą i kape-luszem.

Naczelnicy witają mnie, ofiarowując owoce i jaja i oczekując napiwku, przewyższającego oczywiście znacznie wartość prezentów.

Po blisko godzinie „kłusowaniu”, wchodzimy wreszcie w las, gdzie spotyka nas miły chłód i zatrzymujemy się we wsi Kumiulo, zamieszkaną przez szczep Baszilele.

Mała ta wioska, brudna i zabudowana ciasno, jest wybornym typem siedzib tej rasy.

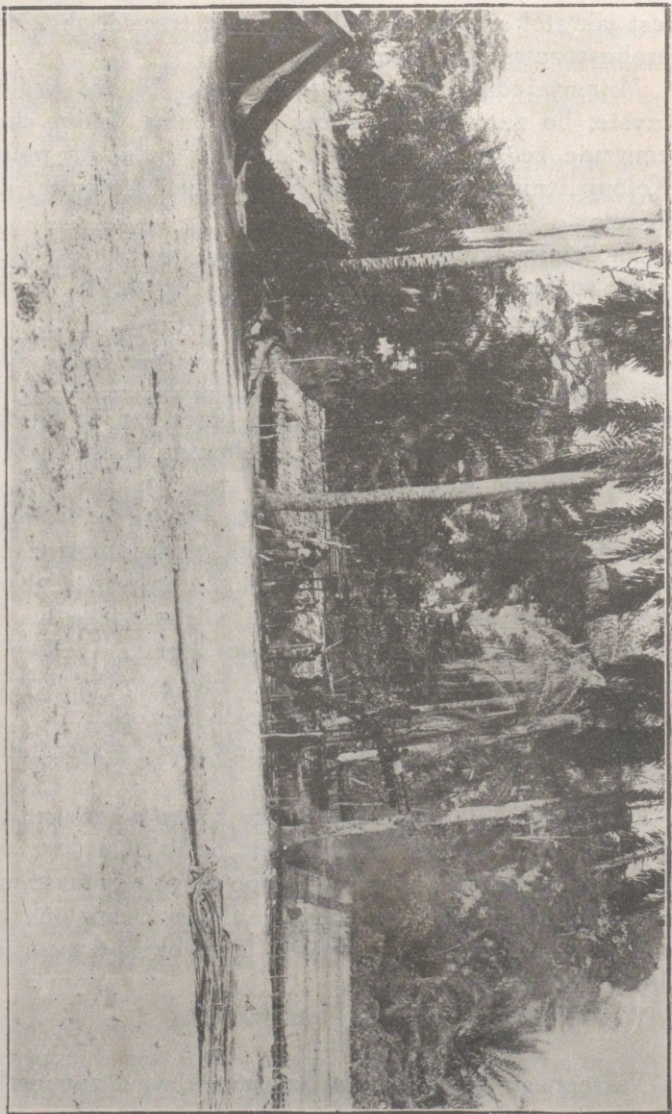
Dzieci całkiem nagie, dziewczęta i kobiety w ciężkich żelaznych bransoletach u nóg i rąk, wysmarowane są na czerwono. Jest to szata odświętna murzynów. (Kosmetyk ten przygotowują murzynki z roztartego na proszek czerwonego drzewa, zwanego Tukula, i oliwy palmowej). Przypatrują mi się one z ciekawością, wychylając głowy z za węglów okopconych strzech.

Skromny posiłek w formie sandwiche'u i szklanki wina — i ruszam dalej.

Około południa wydostajemy się z lasu na równinę, pokrytą trawą i karłowatymi, prawie bezlistnymi drzewami. Słońce praży niemiłosiernie. Tempo biegu i animusz moich tragarzy słabnie z każdą chwilą. Piasek rozpalony przypieka im stopy, to też odrywają je szybko od ziemi i idą drobnymi krokami.

W Mampala zatrzymuję karawanę.

Następnego dnia mijamy Sziaszimo, wieś zamieszkaną przez Baczoków. Są to rolnicy.



Przygotowania do noclegu

Kobiety prawie zupełnie nagie. Wąskie szmatki, zwi-
sające z przodu i z tyłu, przewleczone przez sznurek, któ-
rym są przepasane, stanowią nieskomplikowany, a w na-
szym pojęciu, nawet niewystarczający ubiór. Włosy wy-
smarowane oliwą palmową i splecione w drobne warko-
czyki, spadają dookoła głowy, jakgdyby frendzle brudnej
serwety. U stóp i rąk liczne pęki wąskich bransolet mie-
dzianych. W uszach kolczyki. Dziewczęta przeważnie
smagłe i dobrze zbudowane o drobnych, wąskich stopach
i kształtnych dłoniach. Mężczyźni niczem specjalnie nie
różnią się od ras: ani uczesaniem, ani ubiorem. Widać, że
są ubodzy, i że zatracili już kontakt z odległą ojczyzną.

Około południa staję w Koka, wsi zamieszkaney przez
szczep Benamwula. Wita mnie naczelnik i syn jego w dłu-
gich, białych koszulach, przypominających siermięgę.

Czytający powyższe linje zdziwi się zapewne tą różno-
rodnością szczepów, osiedlonych zaledwie w promieniu
kilkudziesięciu kilometrów. Jest to jednak zjawisko dość
powszechne w Kongo. Liczne rasy murzyńskie posiada-
ją wprawdzie swe ojczyzny, gdzie są silniej zgrupowani
i swoich królów. Obszerne jednak pogranicza mają za-
ludnienie bardzo różnorodne. Każda wieś żyje tam na
sвій sposób, w tradycjach swego szczepu, wprowadza-
jąc wyjątkowo tylko kobietę z innej rasy do swojego
grona.

Pomimo, że moi ludzie są przemęczeni dość forsownym
marszem, ruszam dalej do Mokeba - Lumpungu, wsi od-
dalonej blisko o 10 klm-ów, gdzie liczę przybyć przed
zmierzchem na nocleg.

W połowie drogi zerwał się silny wiatr. Niebo zachmu-
rzyło się raptownie, a cienista droga leśna zamieniła się
w mroczny tunel, oświetlany co chwila blaskiem błyskawic.

Oto pierwsze pioruny biją w puszcę. Zdruzgotane

drzewo pada z głuchym łoskotem w pobliżu. Wiatr wzmacnia się, pędząc coraz gęściejsze i coraz ciemniejsze chmury.

Wysiadam z lektyki, murzyni idą w ślad za mną.

Nagle na wąską drogę wtargnęły gęste kłęby gryzącego dymu. Stało się to tak nieoczekiwanie, że stanęliśmy wszyscy, jak w ziemię wryci.

Trudno było się zorientować co do rozmiarów ognia



Pożar sawanny

i jego źródła. Czas naglił. Trzeba było powziąć szybką decyzję: wstecz, czy naprzód!

Dym atakował nas coraz natarczywiej, wyciskając łzy z oczów i tamując oddech. Trzask piorunów, potężny groźny szum wichru i zbliżającej się szybko ulewy, wreszcie wrzaski wystraszonych murzynów — wszystko to wytworzyło wokoło mnie chaos, w którym słowa mej komendy ginęły bez echa.

Oddycham z trudnością, tracę wzrok i słuch, potykam

się i padam, podnoszę się i biegnę dalej, gubiąc co chwila kierunek i kalecząc się o ostre krzaki.

„Gwałtowny podrównikowy deszcz otrzeźwił mnie, bliskiego już zemdlenia. Woda, spływająca strumieniami po odkrytej piersi i przemoczonym ubraniu, sprawia mi nieopisaną rozkosz. Moje solidne, stumilowe buty zaczynają cmokać wesoło po rozmięklej, gliniastej ścieżce. Zatrzymuję się, przecieram zbolące oczy i rozglądam się dookoła: dym już tylko wąskimi pasmami pełza wśród krzewów i gęstwiny.

Idąc znów na czele mej garstki „wiernych“, wypytuję ich o przyczynę ognia. Niewiele jednak mogłem z nich wydobyć. Odpowiadali mi wszyscy jednocześnie gestykulując i krzycząc, sami widocznie bardzo tym wypadkiem poruszeni.

Pod wieczór, po burzy, gdy ulokowałem się przed namiotem przebrany i ogrzany podwójną porcją tradycyjnej whisky, pojawili się moi murzyni z naczelnikiem wsi na czele, którego kazałem przywołać aby wyjaśnić przyczynę mojej przygody.

Głos zabrał naczelnik, tęgi murzyn o potężnej czuprynie i orlim nosie.

Mówił długo i zawile, czyniąc co chwila długie przerwy, podkreślając ważniejsze zdania szerokim gestem lub okrzykiem, jak przystało na wytrawnego mówcę. Oto w paru słowach treść jego przemowy:

— Tubylcy wycięli część pobraża leśnego, słabo zadrzewionego pod plantację kukurydzy. W celu usunięcia zaścieniających ziemię zeschniętych konarów i krzewów, oraz w celu użyznienia gruntu, rozniecili oni ogień, korzystając z silnego wiatru. Miejsce to znajdowało się w odległości około 150-ciu metrów od drogi, która, biegnąc pod kątem ostrym ku skrajowi lasu, na znacznej długości znalazła się w sferze dymu.

* * *

Mokeba - Lumpungu położone jest malowniczo na płaskowzgórzu, które dominuje nad falistą, pokrytą lasami okolicą. Długie wstęgi gęstych, białych oparów zaścielają doliny, zdradzając obecność strumieni i błotnistych rzeczek.

Szeroką drogą idą od źródła murzynki, niosąc na głowach dzbanki i kruże, napełnione wodą.

Są to kobiety z rasy Lulua i Baluba, słynne elegantki.

Owinięte wzorzystymi tunikami, czysto i kunsztownie uczesane, mają chód lekki i zręczne ruchy.

Witają mnie uprzejmie: „Mojo Mukalenge“ (Pozdrawiamy Cię Panie!)

Przywołuję kilka z nich, wyróżniających się ubiorem i urodą. Zbliżają się śmiało, ukazując w zalotnym i.... szerokim uśmiechu szereg zdrowych, równych, białych — aż zazdrość bierze — zębów.

Pytam o imiona. Prezentują się po kolei, bardzo grzecznie: Kapinga, Tumba, Galula, Ilolo, Biamina, Maluta....

Murzynki, nieodrodne córki Ewy — oczywiście tej czarnej — lubią bardzo komplementy. Chcąc więc zrobić przyjemność moim Mokebiankom, chwałę u jednej imię, u drugiej uczesanie, u innej jeszcze ubiór lub urodę! (co za bezczelność, prawda?).

Czerwienią się z radości. Brązowa skóra na policzkach staje się ciemniejszą, prawie czarną — murzynki bowiem czerwienią się na... czarno, — oczy lśnią radośnie, dłonie składają się do oklasku.

Dwunastoletnia Maluta, której dotąd nic jeszcze nie powiedziałem miłego, krąży koło mnie, oczekując z kolei na komplement.

Zastępuje nań w zupełności: zgrabna, choć drobnego wzrostu, posiada rysy prawie regularne, wąskie usta, orli nosek i wspaniałe czarne oczy, ocienione długimi rzęsami. Pozatem jest córką naczelnika wsi, tegosamego, który z takim talentem tłumaczył mi przyczynę ognia.

Ale, ta mała czarna kobietka jest zbyt pewną siebie,

chcę ją ukarać i pytam najpoważniej w świecie... wiele ma dzieci, — co wywołuje szczery i bardzo głośny śmiech moich gości.

Maluta jednak jest obrażoną, odsuwa się odemnie ze łzami w oczach.

Murzyn nie znosi ironji, woli raczej policzek.

Wyczerpawszy szybko temat do rozmowy, rozdaję papierosy i żegnam Mokebianki mało wersalskiem, ale przyjętem w afrykańskich stosunkach:

— Katataka kłenda! — co znaczy: A teraz idźcie sobie!

* * *

Wczesnym rankiem wyruszam dalej do króla Peromienenge.

Namiot i bagaże pozostawiam w Mokeba, gdyż będę tu z powrotem przed zachodem słońca.

Wszyscy moi ludzie towarzyszą mi i niosą mnie na zmianę, tworząc liczną eskortę.

Wchodzimy w chłodną, cienistą drogę leśną, przebiegamy wieś Saga - Songa. Crszak mój śpiewa i wydaje ogłuszające krzyki. Wydostajemy się na szeroki trakt, który zbiega ku królewskiej siedzibie, rozłożonej w kotlinie i widocznej już jak na dłoni.

Lektyka zatrzymuje się nagle.

Tęgi murzyn w „narodowym” stroju: fałdzistej spódnicy do kolan, w bransoletach i pierścieniach — nawet na palcach nóg — i w spiczastej czapeczce z piórami, zbliża się do mnie. Towarzyszy mu dwóch wartowników w czerwonych fczach, ze strzelbami na ramieniu. Stają oni na baczność i salutują.

— Kim jesteś? — pytam.

— Jestem bratem Perominenga — odpowiada dumnie, uderzając się dłonią w pierś.

— Zaszczycony Pańską znajomością — myślę, ale milczę, bo nie wiem, co mógłbym temu półnagiemu księciu odpowiedzieć.

Widocznie i on uważa rozmowę za dostatecznie długą, gdyż wskazując mym dwunogim „rumakom” wieść, — przepraszam — stolicę królewską, daje im znak, że mogą mnie nieść dalej.

Murzyni ruszają z miejsca. Wyjąc i skacząc około lektyki, zbiegają z zawrotną szybkością po spadzistej drodze.

Nareszcie jesteśmy u celu. Cienistą aleją palmową udajemy się w stronę placu, który służy za miejsce narad i zabaw, a który teraz zapełniony jest tłumem dygnitarzy i kuzynów królewskich. Następnie wchodzimy w wąską uliczkę, ciasno zabudowaną i szczelnie ogrodzoną. To dzielnica, przeznaczona dla żon królewskich.

Nagie, lub prawie nagie, czarne piękności i gromada królewskich potomków, brudnych i wysmarowanych oliwą, przypatruje mi się okrągłemi oczami, a szeroko otwarte usta świadczą, jak są moim orszakiem zachwyceni.

Lektyka wreszcie zatrzymuje się przed obszernym domem. Z werandy schodzi szybko murzyn w białym kasku i w białej koszuli, na której lśni medal, — oznaka jego zalegalizowanego dostojenstwa, — białych pantalonach nieco przykrótkich i... boso. To król szczepu Baszilele.

Jestem rozczarowany i zawiedziony. Sądziłem, że ujrzę coś bardziej egzotycznego, skóry lamparcie, czapki z muszli, złote bransolety, łuki, dzidy, miecze...

Pero zbliża się do mnie i podaje dłoń na powitanie. Lokujemy się na dwóch i zapewne jedynych krzesłach i milcząc przyglądamy się sobie. Za plecami króla zgromadziło się kilku wyrostków z następcą tronu na czele. Za moim krzesłem skupili się ludzie z mojej eskorty.

Milczenie się przedłuża. Król nie wydaje się bynajmniej tem zażenowany i ze spokojem żuje coś twardego w zębach.

Decyduję się, chrząkam i ruszam do ataku.

— Czy wiesz, poco tu przyszedłem? — pytam.

— Nie wiem — odpowiada czarny władca.

Wybornie, jesteśmy na dobrej drodze. Wyjaśniam cel mojej wizyty. Nasza z górą godzinna rozmowa i układy, będące w związku z poufną misją, jaką mi powierzono, dają niestety rezultat bardzo mglisty. Sytuacja poprawiła



Król Perominenge

się dopiero wówczas, gdy zdejmując moje stare, wytarte spinki od mankietów, wręczyłem je królowi. Ucieszył się bardzo z tego prezentu i zrewanżował niezwłocznie, dając rozkaz przyniesienia mi 10-iu kur i 10-iu jaj.

Ten nieoczekiwany sukces mej dyplomacji zachęcił mnie do nowego posunięcia na szachownicy naszych pertraktacji.

— Słuchaj — mówię do króla — jeżeli spełnisz to, czego żądam, dam ci tysiąc franków.

— Nie kłamiesz? — pyta Pero przezornie.

— My biali nie kłamiemy nigdy! — Ale że mój nowy sprzymierzeniec zdaje się powątpiewać w wiarygodność tych słów, przeto poprawiam się:

— JA nigdy nie kłamię. — To osobiste przyrzeczenie lepiej trafia do Peromingowego serca. Zgadza się on na moje propozycje, daje mi szereg przyrzeczeń i obietnic, których... dotrzymać bynajmniej nie ma zamiaru i rad z ukończenia oficjalnej rozmowy, zaprasza mnie do złożenia wizyty „królowym“.

Pytam króla, wiele ma żon. Odpowiada mi licząc na palcach: piętnaście!

— Aż piętnaście — mówię, udając zdziwienie — to bardzo dużo.

Król uśmiecha się z wyrazem błęgiego załowolenia na tłustej, kwadratowej twarzy, gdyż uważa mą odpowiedź za..... komplement.

Wchodzimy między brudne strzechy. Królowe podzielone są na parę grup, siedzą w kucki około zakopconych garnków, warząc posiłek. Są różnego wieku: młode, stare i prawie jeszcze dzieci. Trzy najmłodsze, najmniej ubrane i najśmielsze, na rozkaz króla podnoszą się i zbliżają do mnie. Jedna z nich, widać elegantka, wysmarowana na czerwono i przystrojona w bransolety i fetysze, dopomina się papierosów. Rozdaję więc je wszystkim królowym. Potem przychodzi kolej na zapalki, na próżne blaszane pudełko od Gold - Flack'ów i t. p.

Zdobywam zaufanie. Zapomniany ogień wygasa pod garnkami. Murzynki otaczają mnie zwartym kołem, wkrótce mam ręce i kieszenie próżne. Weselość panuje

na królewskim podwórku, murzyn bowiem nadewszystko ceni podarunek.

„Matabisz” (napiwek, prezent) jest słowem czarodziejskim, pod wpływem którego najczarniejsze oblicze rozjaśnia się momentalnie.

Wreszcie opuszczam przybytek królewskiej miłości, gdzie l'ero stale mieszka, dom bowiem w którym mnie przyjął służy za skład rupieci i do celów... reprezentacyjnych.

Rozstajemy się w przyjaźni.

* * *

W parę miesięcy później brat Perominenga, tensam, który powitał mnie „u bram stolicy”, odwiedził mnie we wsi Malembe w czasie jednej z moich podróży inspekcyjnych.

Nosi on imię N'Gumbi, co znaczy krogulec i posiada wielkie wpływy w swym szczepie. Powszechnie wiadomem jest, że to właściwie on rządzi a nie Perominenge, który rzadko coś decyduje bez aprobaty brata.

Gumbi jest despotą i tyranem, nie lubi Europejczyków, często lekceważy zarządzenia władz terytorjalnych i stawia im opór bierny. Baszilele boją się go jak ognia, gdyż nadużywa on swej władzy bardzo często, nakładając kary pieniężne na wsie, uprowadzając ze sobą kobiety, które lokuje w swym haremie i mężczyzn, których wtrąca do lochów za najmniejszy opór lub nieposłuszeństwo. Władze kolonjalne nosiły się długo z zamiarem banicji tego szkodliwego doradcy królewskiego, ale nie wiem, jak sprawa ta została ostatecznie załatwiona.

Otóż pewnego dnia zjawił się on w lektyce przed moim namiotem. Wyjaśnił mi na wstępie, że przybył tu, aby mnie pozdrowić i jednocześnie rozstrzygnąć spór o kobietę.

Muszę zaznaczyć, że prawie wszystkie kłótnie i spory

między murzynami wywołane są albo kradzieżą albo nieuregulowanym długiem, lub wreszcie wynikają z kupna -- sprzedaży lub skonstatowanego wiarołomstwa żony. Jednak ujawnienie zdrady pociąga za sobą skutki nietyłe dla kobiety, która zazwyczaj dostaje parę dobrych szturchańców od męża, ale przede wszystkim dla kochanka, który musi wypłacić mężowi odszkodowanie. Albowiem kobieta-żona uważana jest za własność męża, a stosunek z nią innego mężczyzny jest uszkodzeniem tej własności.

N'Gumbi rozlokował się w hangarze z liści palmowych, zbudowanym przed moim namiotem, aby w mej obecności spór rozstrzygnąć.

Zgromadziła się cała starszyzna wsi i dygnitarze, asystujący bratu królewskiemu w podróży.

Przyprowadzono oskarżoną. Była nią młoda kobieta w ciąży. Opuściła ona swą rodzinną wieś przed siedmiu miesiącami i zamieszkała w sąsiedniej, która nie chciała jej zwrócić, ani ojcu, ani mężowi. Jej długotrwała nieobecność, oraz fakt zajścia w ciążę już po opuszczeniu męzowskiego ogniska, w dostatecznym stopniu stwierdzały jej winę.

N'Gumbi daje znak dłonią.

Oskarżona zbliża się na kolanach ze schyloną głową, klaszcząc w dłonie.

N'Gumbi zadaje pytanie półgłosem, spokojnie. Głowa dumnie podniesiona, przymrużone oczy, leniwe, władcze ruchy ręki, którą dawał zezwolenie stronom i świadkom do zabrania głosu, nadawały mu wyglądu barbarzyńskiego wodza z epoki Atylli.

Przebieg sąđenja był spokojny, porządek wzorowy.

Oskarżona ciągle klęczy nieruchomo ze spuszczoną głową. Piers jej drży pod uderzeniami biednego, spłoszonego serca. Ręce zwisające bezwładnie wzdłuż ciała i dłonie splecione nad kolanami dają tej murzyńskiej grzesznicy wygląd tak pełen rezygnacji i poddania się

losowi, że nie może nie wzbudzić szczerzej litości i współczucia.

Nikt oskarżonej o nic nie pyta, nikt jej nie broni, gdyż z racji swojej płci jest ona przedmiotem, który zawsze do kogoś należy, do ojca, męża lub ich sukcesorów. Jest ona dowodem rzeczowym, takim jakim byłby w podobnym wypadku dzban, tkanina, kura lub koza uprowadzona podstępnie do innej wsi.

Stronami więc w tym sądzie są: mąż i kochanek murzynki.

Na nowy znak księcia, oskarżona podnosi się z klęczek i odchodzi posłusznie. Gumbi, po krótkim namyśle, ogłasza wyrok:

— Kobieta i dziecko należą do nowego męża, wieś która ją zatrzymała zapłaci karę i zwróci posąg (cenę kupna kobiety) pierwszemu mężowi.

Obecni schylają głowy i klaszczą w dłonie.

Kilka dni później dowiedziałem się, będąc ponownie w tej wsi, że owa kobieta.... umarła.

— Jakto umarła — wołam.

— Nie wiemy, umarła — odpowiedziano mi z udaną obojętnością.

Nie mogłem niczego więcej z nich wydobyć, ale podejrzewam, że wyrok Krogulca był inny niż ten, który mnie podano do wiadomości i że musiał być okrutny.

* * *

Pan G., administrator terytorjum Bakuba, zaprosił mnie do siebie do Muszenge.

— Ten, kto nie widział moich Baszenge (właściwa nazwa rasy Bakuba) ten niczego nie widział — zapewniał mnie z wielkim przekonaniem.

Słyszałem już wiele o tej rasie, osiedlonej na południe od rzeki Sankuru. Znając jednak skłonność do przesady dość powszechnej wśród Europejczyków, mieszkających

w Kongo i będąc w styczności z szeregiem ras tubylczych, o mniej więcej tym samym, niskim poziomie rozwoju, nie liczyłem zbyt wiele na wzbogacenie moich wrażeń podróżą, do której pan G. tak uprzejmie mnie zachęcał. Przekonałem się jednak wkrótce, jak bardzo się myliłem.

Powołany w interesach do Ilebo i Muszenge w grudniu 1925 r., wyniosłem z parodniowego tam pobytu wrażenie niezatarte i przekonałem się, że istnieją w Kongo szczepy murzyńskie, nie zasługujące bynajmniej na miano dzikich.

Trzy godziny marszu ścieżką leśną, pół godziny w pirodze: — Ilebo.

Na obszernej, zniwelowanej przestrzeni wznoszą się hangary, magazyny i warsztaty „Companie du Chemin de Fer du Bas - Congo au Katanga” (w skróceniu B. C. K.). Lśnią w słońcu wstęgi torów kolejowych, dzwonią młoty i kowadła, świszczą lokomotywy. Ze statku na przystani mrowie murzynów wyładowuje szyny, części wagonów, wielkie paki i skrzynie. Tu i owdzie białą się kaski funkcjonariuszów. Wrzawa, jaka tu panuje, oszałamia mnie, przywykłego już do ciszy leśnej i samotności.

Jeszcze kilka lat temu Ilebo było małą wioską murzyńską, uczeptioną, jak gniazdo, u wysokiego brzegu rzeki Kasai. Nieliczne statki, idące w górę rzeki ku kopalniom djamentów, lub w dół, ku rzece Kongo i stolicy Kolonji, zaopatrywały się tutaj w drzewo opałowe.

W grudniu 1921 r. ląduje w Ilebo inż. Jadot ze swoimi trzema pomocnikami i zapuszcza się w głąb obszarów leśnych, pozbawionych całkowicie ludności. Kierując się busolą i korzystając z dróg, wydeptanych przez słonie, przeprowadza on studia terenu i wykreśla kierunek kolei, mającej połączyć odległą Katangę z rzeką Kasai.

Dziś oczywiście ani śladu dawnej wioski i otaczającego ją lasu. Na przestrzeni kilkuset hektarów rozbudowuje się port i miasto, gdzie już kilkadziesiąt parceli zarezerwowały firmy handlowe i przedsiębiorstwa kongolańskie.



Widok na rz. Kasai.

Około 300 Europejczyków i 12.000 tubylców pracuje przy budowie toru w warsztatach i biurach.

Kolej ta ma połączyć bogatą prowincję Katanga z portem w Ilebo skąd transport dalszy i komunikacja odbywać się będą statkami do Kinshassa, wielkiego portu rzeczno-go kolonii, a stamtąd koleją do Matadi, jedyne go portu morskiego Konga.

Katanga która posiada nieobliczalne skarby mineralne, nie mając dotąd odpowiedniego połączenia z Matadi, cały swój eksport i import musiała kierować do Capetown, portu angielskiego, płacąc kolejom angielskim za transport lądowy pokaźną sumę 1.708.459 £. (w 1926 roku).

Długość tej linii kolejowej wynosić będzie 1.120 klm. Pociągi osobowe urządzone będą podobno z dużym komfortem. Budowa tej ważnej arterji komunikacyjnej ma być ukończona na początku 1928 r.

Dyrekcja B. C. K. udziela mi uprzejmie zezwolenia na skorzystanie z pociągu technicznego, odchodzącego z Ilebo dnia następnego o wschodzie słońca.

Jestem punktualny.

Służba ustawia kufry i mój nieodstępny fotel koszykowy na odkrytym wagonie, gdzie uprzednio już załadowano szyny.

Szósta minut piętnaście. Gwizdek. Ruszamy.

Mijamy szereg hangarów, w których sapia lokomotywy, trzymane już pod parą, oraz stację telegrafu bez drutu i zaczynamy wspinać się na płaskowzgórze. Kilometr 12, las ustępuje miejsca sawannom. Z mego „gniazda” widok roztacza się obszerny na falistą okolicę. Niewiele jednak widzę, gdyż dym i popiół z lokomotywy zasypują mi oczy. Na domiar złego, pęd powietrza i liczne zakręty toru czynią równowagę mego fotelu bardzo wątpliwą. Opuszczam więc ten sprzęt komfortowy i sadowię się w sąsiedztwie szczekającego przeraźliwie buforu.

Co parę kilometrów spotykamy brygady robotników, zajętych przy budowie nasypów i drogi automobilowej,

biegnącej równolegle z torem. Na przystankach zawieram znajomość z inżynierami i kierownikami robót. Wszyscy są bardzo dumni ze swego dzieła (zresztą całkiem słusznie) i zapraszają mnie do odbycia ponownie tej podróży za dwa lata, kiedy uruchomione już zostaną pociągi osobowe.

Wysiadam na 81-ym kilometrze miejscowości Czamumanja, gdzie zarząd kolei posiada obszerną fermę.

30 klm., które dzielią Czamumanja od Muszenge, stolicy terytorjum Bakuba, przebywam dnia następnego autem po wybornej, niedawno zbudowanej drodze. Korzystam z tego środka lokomocji po raz pierwszy od roku i jestem zachwycony, znalazłszy w sercu Afryki wszystkie nowoczesne środki komunikacyjne: kolej, samochód i nawet aeroplan, gdyż w odległości kilku kilometrów od fermy znajduje się pole lotnicze, gdzie zatrzymują się samoloty w drodze do Elisabethville'u.

Gdy samochód nasz zatrzymał się w Muszenge przed ładnym i obszernym bulgalowem administratora, zbiegła ku nam z werandy istna czereda służby różnego wieku, wzrostu i płci, chwytając nasze kufry i wprowadzając nas gościnnie do wnętrza domu. Pan G. był nieobecny, ale zjawił się wkrótce, przybywając na motocyklu z pobliskiej wsi, gdzie był zajęty przy budowie mostu i nowej drogi automobilowej.

Po śniadaniu wyruszyliśmy na zwiedzenie Muszenge. Cztery budynki: dom administratora, który już znamy, obszerne chłodne biura, wielka sześciopokojowa willa, służąca dla przejezdnych i malowniczo ukryty wśród palm i kwiatów bungalów zastępcy administratora — oto siedziba władz lokalnych.

Ten lilipuci posterunek rządowy jest tak czysto utrzymany i tak ładnie położony, że chciałoby się tu pozostać na zawsze. Oczywiście, że do sformułowania podobnego życzenia przyczynia się także i atmosfera szczerej gościn-

ności, jaka panuje w domach obydwu administratorów. Niema tu zupełnie moskitów, co pozwala nam gawędzić na tarasie do późnego wieczora.

Muszenge — „Etat” sąsiaduje z Muszenge — „Mission”, położoną na południowym, wyższym zboczu płaskowzgórza. Składamy O. O. Misjonarzom wizytę i zwiedzamy kościół, szkołę, dom mieszkalny, warsztaty stolarskie i piękny ogród warzywny i owocowy, gdzie dojrzewają pomarańcze, banany, ananasy, cytryny, papaje oraz przeróżne jarzyny, których tak w kolonjach jesteśmy spragnieni.

Między tym rządowym i misyjnym Muszenge rozłożyła się olbrzymia wieś murzyńska — stolica osławionego tyrana Lukengo, króla szczepu Bakuba.

Zacznijmy od dziejów tej ciekawej rasy i jej dynastji, idąc śladem ich własnych podań i opowieści.



Szczep ten przybył z daleka. W wędrówce swej przeszedł pięć wielkich rzek i wiele strumieni i rzeczutek. Wiódł ich król, potomek wielu królów. Przeszedłszy rzekę Sankuru, podbił w zwycięskich walkach plemiona, już wcześniej nad brzegami tej rzeki osiadłe, i tu zatrzymał pochod swego ludu, każąc mu budować wsie i sam osiedlając się w środku podbitych obszarów.

Wiele, wiele czasu upłynęło od tej chwili. Szczep, posiadając licznych niewolników, branych z ras podbitych, pozostawiał im ciężką pracę na roli, sam oddając się łowiectwu, tańcom, śpiewom i sztuce, upiększając swe domostwa i wyrabiając sprzęty kunsztowne z drzewa, jak: kubki, fajki, zydle, oraz wzorzyste tkaniny, miecze, noże, strzały i łuki.

Jeden z tych królów, może 50-ty, może 90-ty z rzędu, miał dwóch synów imieniem: Szongo czyli Sziszongo, i Lele, znanego również pod imieniem Szilele.

Pierwszy odznaczał się charakterem spokojnym; otaczał się młodzieżą z dostojnych rodzin i miał w pogardzie ludy niewolnicze. Natomiast Lele żył ustawicznie w lesie, oddając się wyłącznie łowom, poufaląc się z niewolnikami i pijąc z nimi wino palmowe. Zachowaniem swym wywoływał często gniew króla, który był władcą dumnym i nieprzystępnym.

Pewnego dnia powrócił Lele do zagrody z własnoręcznie ubitym fakozerem potwornej wielkości. Czterech niewolników niosło zdobycz na drągach, reszta myśliwych towarzyszyła księciu śpiewając i tańcząc. Gdy złożono dzika u stóp króla, Lele zapomniał się do tego stopnia, że chwyciwszy nóż, zaczął sam ćwiartować. Czynność tą, zabronioną surowo w rodzinie królewskiej, zazwyczaj spełniali niewolnicy. Ten brak poszanowania dla tradycji przebrał miarę cierpliwości królewskiej: Lele skazany został na wieczną banicję.

Opuścił on szczep swój niezwłocznie; towarzyszyli mu nieliczni przyjaciele z rodzinami i dobytkiem oraz bardzo wielu niewolników, z którymi się pobratał.

Przeprowadził się Lele przez rzekę Kasai i osiedlił na przeciwnym brzegu. Szczep jego zaczął odtąd nazywać się Ba-Szilele w odróżnieniu od swych dawnych współplemińców, którzy zwać się zaczęli Ba-Sziszongo, lub Ba-Szongo, czyli ludzie Lela i Sziszonga.

Dynastia, której potomkiem jest obecny Lukengo (to znaczy: król), liczy już 120-tu (?) panujących w szczepie Bakuba.

Każdy król za swego życia każe komponować pieśń, wyśławiającą jego panowanie. Oczywiście, że w pamięci współczesnych żyje może zaledwie kilka ostatnich. Tradycja ta jednak jest ściśle przestrzegana i tak jak swą pieśń miał król zmarły, tak ma ją i obecny i mieć będzie jego następca...

Król otacza się licznym dworem, wśród którego naczelne miejsce zajmują jego ministrowie — doradcy i artyści, jak rzeźbiarze, kowale, tkacze i pieśniarze.

Lukengo posiada 400 żon, które w noce księżycowe śpiewają chórem i tańczą.

Władza jego jest absolutną, deleguje on ją jednak w poszczególnych wypadkach na swoich zauszników.



Jeden z królów Kongolańskich i jego świta.

Pan B. jest naszym przewodnikiem w wycieczce do stolicy Lukenga.

Olbrzymia wieś, zabudowana w kwadrat i otoczona wy-

sokim, trzymetrowym płotem, jest prawie pustą. Jak zwykle, król jest nieobecny. Podobno ściąga on do swej wsi w wyjątkowych tylko wypadkach i na bardzo krótko. Czując się w Muszengé skrzepowanym bliskim sąsiedztwem władz terytorjalnych, woli podróżować w głębi swego państwa, gdzie samowola jego i tyranja nie posiada bezpośredniego nadzoru i kontroli.

Kierujemy się w stronę królewskiej zagrody. W labiryncie ogrodzeń i płotków, małe czyste podwórko i dom, różniący się od sąsiednich strzech jedynie rozmiarami, starannym, aż do pedanterji, wykończeniem szczegółów, oraz ozdobami, które są dowodem i wyrazem artystycznych skłonności tej rasy.

Dom Lukenga posiada kształt prostokąta. Dach spadający na dwie strony, artystycznie zszyty z 16 warstw liści palmowych, utrzymuje we wnętrzu domu miły chłód w najupalniejsze nawet dnie. Składa on się z dwóch izb: w pierwszej, wspartej na czterech rzeźbionych „a jour” kolumnach, znajduje się wzniesienie, zasłane wzorzystymi i puszystymi tkaninami, służące za tron; tu odbywają się narady i oficjalne przyjęcia. W drugiej izbie znajdujemy lilipuci domek z otworem, służącym za wejście. Wewnątrz tego domku król śpi i wypoczywa.

Cały dom zbudowany jest z bambusów, liści palmowych, szczelnie zszytych i belek z czerwonego drzewa. Ściany jego tak zewnętrzne, jak i wewnętrzne są wyłożone całkowicie wzorzystą plecionką z włókien palmowych: na tle koloru słomy, czarne czworokąty i trójkąty, powiązane są ze sobą delikatnym rysunkiem. Nigdzie, ani jednego gwoźdź, ani kawałka żelaza. Cały dom jest zszyty i powiązany.

Budowa jego trwała oczywiście bardzo długo. Patrząc z bliska na to dzieło wyjątkowej cierpliwości i subtelnej dłoni, nie chce się wierzyć, że je stworzyły ręce czarnego człowieka.

* * *

Ongiś więc szczep Bakuba składał się wyłącznie z kasty panującej, kasty zwycięzców i ciemniejszych. Pozostał on takim do dnia dzisiejszego, ale dla pozorów musiał w ciągu ostatnich paru dziesiątków lat wyrzec się dawnych metod, niezgodnych z naszym pojęciem rządzenia.

Poczucie wyższości, pogarda dla ras innych, wyrobiło u nich w ciągu wieków specjalny typ murzyński. Bakuba jest arystokratą, zachowuje się dumnie i — jeżeli wolno mi się tak wyrazić — ma dobre manjery.

Smagli i naogół wysokiego wzrostu, posiadają rysy twarzy prawie regularne. Wąskie usta, długie, nieznacznie tylko spłaszczone nosy, oraz oczy o wydłużonym, owalnym kształcie, czynią profil ich złudząco podobnym do głów z wykopalisk egipskich.

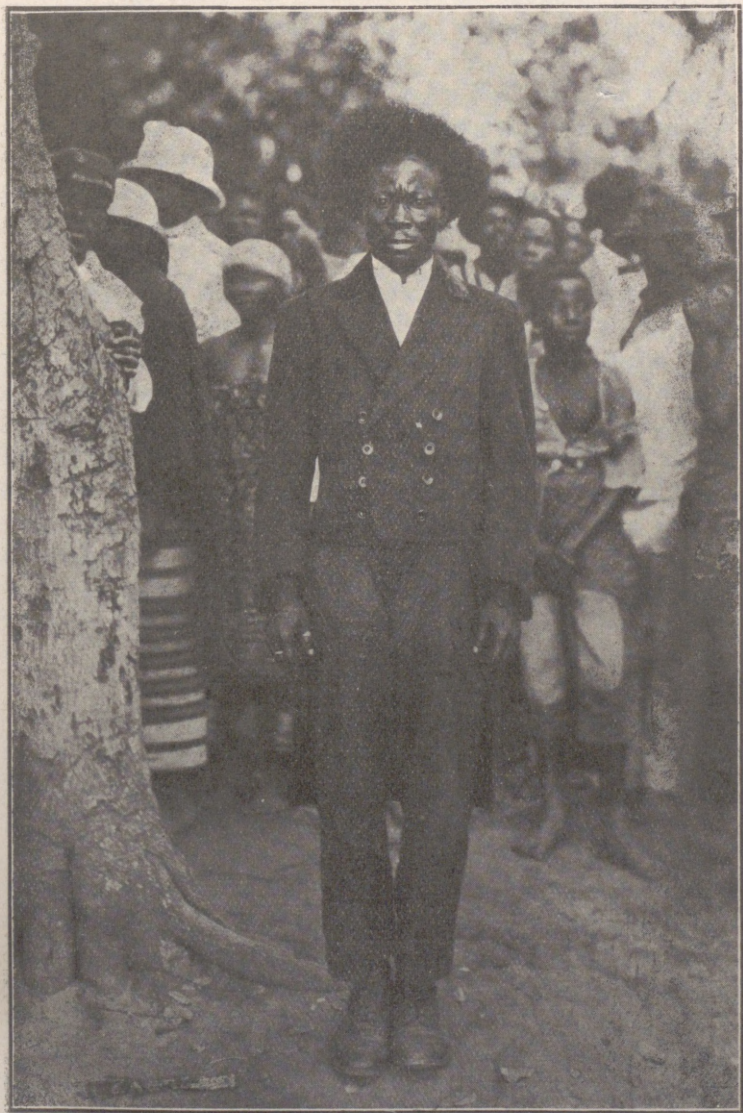
Z ust O. Misjonarza L., starego kongolanina, słyszałem, że rasa ta skazana jest na wymarcie. Prawdziwych, czystej krwi Bakuba ma istnieć dziś już niewiele, bo zaledwie kilka tysięcy.

Choroby weneryczne i nadużycia seksualne, przyczyniają się do spadku cyfry narodzin. Dziecko staje się coraz radsze w rodzinie Bakuba.

Podobno i sztuka znajduje się w upadku. Coraz mniej spotyka się wśród nich artystów-twórców, a coraz więcej rzemieślników, kopujących z dawnych wzorów i produkujących dla zysku, dla europejczyków.

Opuściwszy dom Lukenga udajemy się do jednego z doradców króla, któremu wiek nie pozwolił towarzyszyć w podróży władcy. Znajdujemy go przed strzechą. Pali długą fajkę, siedząc na rzeźbionym zydłu. Jest to dość oryginalny sprzęt. Wsparty na szeregu postaci obu płci, odtworzonych bez listków figowych, wyobraża sceny miłosne... Poważny starzec, siedzący na tym pornograficznym stołku daje obrazek bardzo charakterystyczny i humorystyczny.

Minister podnosi się z trudem, gdyż cierpi na reumatyzm.



Naczelnik
(Francuska Afryka Ekwatorjalna)

23847/7



Ubiór jego stanowią: fałdzista krótka spódnica z tkaniny tubylczej, oraz stożkowata, mała czapeczka na czubku głowy.

Wita nas uprzejmie, przykładając dłoń do czoła i schylając się lekko w ukłonie. W ciągu rozmowy usprawiedliwia się, że nie posiada na razie nic godnego, co by mógł nam ofiarować, o ile jednak odpowiedni upominek we wsi znajdzie, osobiście i dziś jeszcze postara się nam go doręczyć.

Rzeczywiście słowa dotrzymał. O zachodzie słońca zjawił się przed domem administratora wraz ze swą żoną, suchą, zgarbioną staruszką, niosąc w zawiniątku nieco tkanin, noże, kubki i lampkę z drzewa. Zapłacony sowicie, (zarówno tutaj, jak i w innych dzielnicach jest w zwyczaju wynagradzać tubylców nawet za prezenty), minister żegna nas tym samym uprzejmym uśmiechem, a sprowadzając swą żonę ze stopni werandy, mówi do niej czule i półgłosem:

— Ostrożnie, moja kobieto, poczekaj, zejść pierwszy i podam ci rękę...

Gdy król umrze, grzebany jest w domu, w którym mieszkał. Cała wieś opuszcza wówczas swe siedziby, niszcząc, lub przenosząc swe domy. Na miejscu dawnej stolicy pozostaje tylko kilku wartowników z rodzinami.

Dom-grobowiec nie może być naprawiany, ani podtrzymywany. Trawy i krzewy wyrastają swobodnie nie tylko na dziedzińcu, ale i wewnątrz domu. Poprzedni król umarł już dawno. Za rok, lub dwa lata, resztki domu runą, przykrywając wspaniałe inkrustowany miecz i rzeźbiony misternie zęb słonia, złożony na jego grobie.

Czas zniszczył życie Lukenga, zniszczy również i jego siedzibę. Pozostaną jedynie wartownicy i ich potomkowie przechowując z pokolenia na pokolenie podania o zmarłym monarsze.



I oto znów jestem w domu. O godzinie 6-ej rano budzi mnie codziennie tam-tam, wzywający ludzi do pracy. Następnie apel, podział pracy pomiędzy poszczególne brygady robotników, śniadanie, przy którym asystuje małpka, dwa młode kotki i wierny mój Nzazi — wszyscy w przykładnej zawsze zgodzie.

Przed wyruszeniem na inspekcję robót rozsypuję jeszcze parę garści ryżu gołębiom, które niecierpliwie oczekują mnie przed drzwiami domu i robię przegląd mego warzywnego ogródka.

Około 11-ej, gdy robi się „ciepło“, opuszczam moich ludzi i chronię się w domu, gdzie zazwyczaj oczekują mnie liczni, czarni „klijenci“: jedni z owocami i kurami, inni z prośbą o rozstrzygnięcie sporu; bardzo częstym gościem jest naczelnik z pobliskiej wsi, Manita, który zamęcza mnie całym szeregiem spraw i prośb.

Południe. Tam-tam warczy ponownie. Pora drugiego posiłku. Służba zapuszcza żaluzje i zasłony w oknach. Siadam do nakrytego już stołu i wołam:

— Czooooooooop! (Obiad, jedzenie).

Z kuchni odpowiada mi chór głosów:

— Czooooooooop! — co ma oznaczać: obiad gotowy.

Czekam chwilę. Głód dokucza mi srodze, wołam więc powtórnie.

— Czooooooooop!

Odpowiada mi ten sam komplet głosów, jak echo.

Upływa parę minut, podczas których zapycham się chlebem. Nikt się nie zjawia. Tracę cierpliwość i krzyczę tym razem na całe gardło:

— Czooooooooop!

Chór czterech głosów wpada przez otwarte drzwi, w których zjawia się mój boy z dymiącym półmiskiem, mówiąc spokojnie:

— Pourquoi! tu fache, tshop pas fini, être pas bon.

Scena podobna powtarza się dość regularnie, przynajmniej raz dziennie, w domu każdego „szanującego się”

osadnika. Zdobyła ona sobie prawa tradycji i nikogo już nie dziwi.

O ile jednak służący zjawi się wcześniej, niż zazwyczaj, niosąc z powagą nasz skromny posiłek kolonjalny, z góry wiemy co to oznacza: „pan boy” ma albo rendez-vous u kąpieli, lub w lasku palmowym i chce zlikwidować głód swego chlebobdawcy jaknajszybciej, albo też chce prosić o zaliczkę z pensji i swą punktualnością pragnie dać dowód obowiązkowości.

Po śniadaniu sjeżdża na leżaku.

Tam-tam dudni ponownie. Druga godzina. Powrót do pracy.

Godzina 5-ta. Kąpiel. Szklanka Whisky and Soda i na „zakąskę” przepisowa dawka chininy.

* * *

Ktoś puka dyskretnie do drzwi.

Wchodzi młoda, dorodna murzynka, w barwnej tunice i wzorzystej chusteczce na głowie. Niesie bukietik skromnych, afrykańskich kwiatów i zawiniatko z moją bielizną, nad którą ma powierzona opiekę. Jest wychowanką Sióstr-Misjonarek i nosi imię Magdalena.

— Mojo Czitoko. Pozdrawiam Cię Czitoko. — Wita mnie imieniem nadanem mi przez tubylców.

— Mojo Madelaine.

Magdalena składa na stole pakietik i ustawia w szklance kwiaty. Dla niej nie mają one oczywiście żadnego uroku ani wartości, bo wszak ich jeść nie można. Przynosi je jednak, bo wie, że biali lubią „fololo”. Magdalena jest dobrze wychowaną. Zbliża się i podaje rączkę na powitanie.

Cenię moją gospodynię. Jest grzeczną, usłużną i zawsze uśmiechniętą, i pomimo że liczy niespełna lat piętnaście, daje sobie wybornie radę w życiu.

Nawiązuję rozmowę w języku tubylczym:

— Przynosisz mi bieliznę? Jesteś kobietą, która czyni dobrze. Weź krzesło i siadaj.

— Może chcesz oglądać książkę — mówi Magdalena, co ma oznaczać: może ci przeszkadzam.

Częstuję mego gościa papierosem.

— Dlaczego wczoraj cały dzień cię nie widziałem?

— Czesalam moją przyjaciółkę, dzisiaj ona mnie czesała, a ja naprawiałam twoją bieliznę".

Wchodzi mój boy Bernard, wita rodaczkę uprzejmie i zapytuje mnie, co podać na podwieczorek. Dysponuję dla siebie owoce, dla Magdaleny piwo.

Służący napełnia szklankę i podaje na podstawce parę kawałków cukru: to jeszcze jeden przysmak dla mojego gościa. Magdalena uśmiecha się z zadowoleniem.

— Powiedz mi Magdaleno, dlaczego nie bierzesz sobie męża? Jesteś młoda i ładna i konkurentów ci nie brak.

— Nie chcę mieć męża czarengo, chcę mieć dziecko białe.

— Dlaczego? — pytam zaskoczony tą szczerością.

— Chłopiec, gdy nauczy się czytać i pisać po francusku będzie mógł zostać urzędnikiem, dziewczynę oddam białemu panu, który może z nią się i ożeni, jeżeli będzie mądrą i ładną".

Magdalena mieszkała ze swoim bratem i bratową, ale odwiedzała często swoją matkę, zamieszkałą w innej wsi.

Kiedyś poszła i więcej z tych odwiedzin nie wróciła.

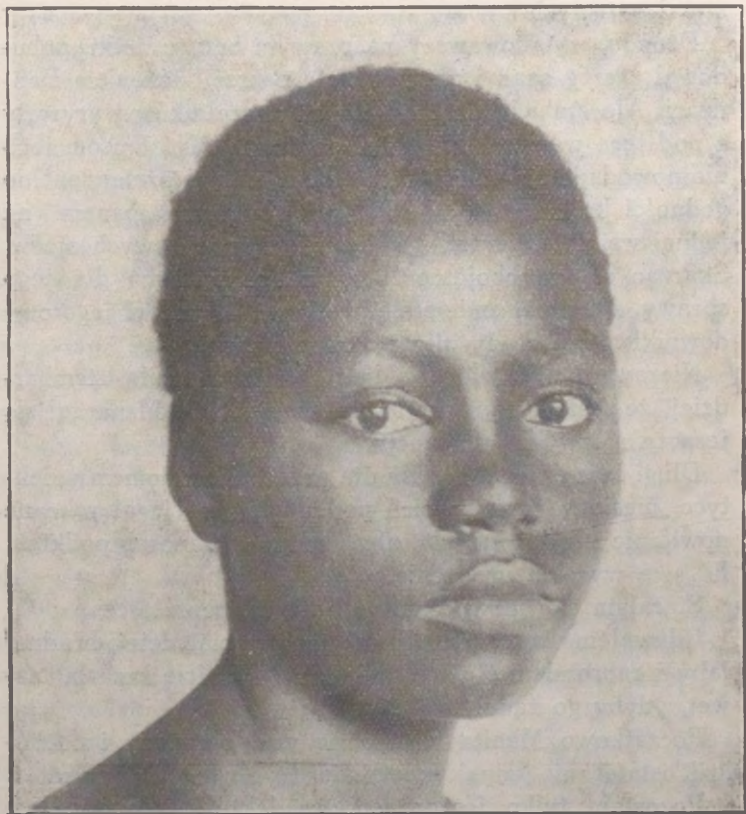
Spotkałem ją dopiero na krótko przed wyjazdem z Konga, w pewnym mieście portowym. Magdalena zarzuciła zawód bielizniarski i trudni się dziś wynajmowaniem swego brązowego, gładkiego ciała, żadnym egzotycznych wrażeń podróży.

Może rzeczywiście doczeka się syna o jasnej skórze, którego kiedyś tak gorąco pragnęła...

* * *

W bardzo bliskim sąsiedztwie mojej osady leżała wieś Tuleo, której naczelnikiem był niejaki Manita, potomek renegata ze szczepu Baszilele.

Dawno, jeszcze przed zjawieniem się Stanley'a na wybrzeżu Konga, a Wissmanna nad rzeką Kasai, w łonie tego szczepu, osiedlonego między rzeką Lubue i Kasai, na północ od wyżyn Dżoko-Pundy, wybuchł bunt. Przywódcą



Główka młodej murzynki

powstania był jakiś daleki pradziad mego sąsiada Manity, imieniem Dżondo.

Zbuntowani, w sile kilkunastu wsi, odmówili posłuszeństwa swemu królowi, obwołali wodzem Dżonda i załado-

wawszy na pirogi cały dobytek, kobiety, dzieci i niewolników, opuścili swe dotychczasowe siedziby, paląc je na znak zerwanej zależności.

Podczas przeprawy przez rzekę Kasai, postradał Dżondo wielu ludzi, gdyż za odpływającymi wypuszczono chmurę strzał zatrutych.

Dżondo, wylądowawszy na prawym brzegu rzeki, pobudował szereg osad i plemię swoje ochrzcił imieniem Bandżari. Ale ambicje poszczególnych naczelników wyrwały z pod jego władzy jedną wieś po drugiej. Następcom jego nie powodziło się widać lepiej, gdyż obecny pretendent do godności królewskiej, Manita, jest już tylko „panem” na jednej wsi. Nie wyrzekł się jednak aspiracji swych ojców. Skarżąc się na obojętność władz kolonialnych dla jego sprawy, zanudzał mnie stale prośbami, abym był jego orędownikiem wobec dygnitarzy kolonialnych.

Niezawsze więc wizyta Manity była mi miłą, tembardziej, że sąsiad mój przy swoim manjactwie odznaczał się jeszcze niezwykłą arogancją.

Długi czas zjawiał się Manita przed moim domem w lektyce, niesiony przez swoich poddanych, wyciągał rękę na powitanie i żądał krzesła, aby choć w ten sposób podkreślić swe wysokie urodzenie.

Starałem się odzwyczaić go od tych poufałości.

Udawałem więc, że nie widzę jego wyciągniętej, brudnej łapy i zabroniłem służbie podawania Manicie krzesła, nawet, gdyby go żądał.

Początkowo Manita bardzo się czuł obrażony i odchodził, ostatecznie jednak zrezygnował z obydwóch przywilejów.

Pozostała tylko jeszcze sprawa lektyki. Tłumaczyłem mu, że ponieważ nie jest królem a tylko naczelnikiem wsi, nie życzę sobie, aby wnoszono go aż pod werandę mojego domu i że powinien wysiadać przed ogrodzeniem „lupangu” (obejście). Wszystko to jednak na próżno. Słowa i perswazje moje odbijały się o tępą głowę Manity, jak groch o ścianę.

Wreszcie straciłem cierpliwość i będąc kiedyś w złym humorze, gdy ujrzałem Manitę, zbliżającego się w „tipo-ju” — lektyce — kazałem mu wysiąść przed bramą.

Manita zaczął zbyt głośno, a za mało uprzejmie, protestować.

Tego było mi za wiele. Zawołałem ludzi i kazałem im spalić lektykę.

Manita nie mógł mi tego zapomnieć. Przestał składać mi wizyty i dokuczał przy każdej okazji i na różne sposoby. Widząc jednak, że te drobne przykrości nie wyprowadzają mnie z równowagi, wpadł na nowy pomysł. Idąc na łowy, przeciągał manifestacyjnie przez moją osadę z ludźmi, uzbrojonymi od stóp do głów, naganką i psami. Ale to nie wszystko. W lesie, tuż za moim domem, urządzał polowanie. Wrzaski ludzi, wycie i ujadanie psów trwały całymi godzinami, zbliżając się, to znów oddalając od mojej osady, dokąd spłoszona zwierzyna niejednokrotnie wpadała, szerząc panikę wśród kobiet, dzieci i pracujących murzynów.

Gdy pewnego razu przebiegły, ocierając się prawie o mnie, dwie dzikie świny i antylopa, postanowiłem poskarżyć się władzom.

Skarga skutek odniosła i Manita dostał się na tydzień do kozy.

Przez długi czas Manita był niewidzialny. Nasze stosunki „towarzyskie” zostały zerwane całkowicie, a sprawy, wynikające z naszego sąsiedztwa, załatwialiśmy za pośrednictwem gońców i dziesiętników.

Pewnego dnia zjawił się u mnie jeden z kuzynów Manity i oznajmił mi, że przychodzi z polecenia naczelnika i przynosi mi od niego pozdrowienie.

Otworzyłem szeroko oczy zdziwiony tym nieoczekiwanym i dawno niesłyszonym wstępem. W dalszym ciągu „poseł” informował, że Manita od paru dni jest chory i że prosi, abym przyszedł go odwiedzić i zabrał ze sobą lekarstwa.

Strach przed śmiercią okazał się u Manity silniejszym od złości, jaką żywił do mnie.

U łoża sąsiada, chorego... z objedzenia, nastąpiło pojednanie, które po wyzdrowieniu Manity zamieniło się w wyłewną przyjaźń.

Znów Manita jest częstym gościem w mojej zagrodzie. Zjawia się jednak pieszo, nie podaje ręki na powitanie i nie dopomina się już krzesła. Natomiast obsypuje mnie komplementami, nazywając mnie swoim ojcem, bratem, nawet... matką. Za tyle zaszczytu obdarowuję go próżnymi butelkami, papierosami, a czasem pudełkiem zapalek.

Obarczony temi cennymi prezentami, Manita odchodzi zadowolony. Idzie wolno, z podniesioną dumnie głową, na której chwieje się mała, stóżkowata czapeczka z piórkiem. Opiera się na włóczni i brzęczy bransoletami, które zdobia jego „królewskie” stopy i ręce.

Wieś Tuleo, gdzie mieszka i „panuje” Manita, jest na pierwszy rzut oka zwykłą wsią o paru tuzinach domów. Ale zajrzawszy do chat oraz na podwórko i do zagrody Manity, nietrudno się przekonać, że jest to osada bogata, mająca wygląd „stolicy”.

Urodziwe dziewczęta i młode kobiety, tłumy dzieci, stada kóz i kur, świadczą o zamożności mieszkańców.

Mężczyźni naprawiają sieci lub wyrabiają strzały i bransolety. Kobiety, które ugniatają chleby maniokowe, posiłkują się nie rękami, ani pałkami z drzewa, ale autentycznymi zębami słoniowymi.

Zadałem sobie kiedyś trudu i obliczyłem, że wartość tych przyrządów kuchennych z kości słoniowej wynosiłaby na rynku europejskim około 50 tysięcy franków.

Manita nie zaniedbał nigdy sposobności odwiedzenia mnie, gdy dowiedział się, że bawi u mnie jakiś Europejczyk. Czynił to trochę z próżności, ale przede wszystkim z ciekawości i dziecinnego umiłowania „matabiszu” (prezentu),

choćby nim był tylko papieros, lub próżne pudełko od konserw.

Zazwyczaj nie zwracałem uwagi na to, co Manita moim gościom opowiadał, gdyż z góry wiedziałem do czego zmierza. Otrzymałszy prezent, długo już nie popasał.

To też zdziwiony byłem bardzo, gdy raz, podczas bytności u mnie lekarza okręgowego, doktora G., otrzymałszy tradycyjny upominek w formie paru papierosów, Manita zwlekał z odejściem.

— Czego chcesz jeszcze Manita?" — pytam.

Mój sąsiad pozostaje chwilę niezdecydowany, wreszcie nachyla się tajemniczo w naszą stronę i zwierza się półgłosem z wielkiego swego zmartwienia.

— Jestem już stary, mówi, mam przecież syna co ma dzieci. Ale jako wielki naczelnik muszę mieć kilka żon. Jedna umarła mi niedawno. Kupiłem na jej miejsce inną, młodą. Bardzo ją lubię, ale jestem za słaby. Ty masz na pewno takie leki, które mogą choć na jedną noc dodać mi sił.

Spojrzelśmy po sobie. Doktor zakłopotany i rozśmieszony pyta:

— Co zrobić z tym fantem?

Uradziliśmy dać Manicie jakiś niewinny proszek. Doktor z poważną miną wyjmował flakon za flakonem z podręcznej apteczki, nibytc czytając napisy, potem wstawiał je z powrotem, kiwając głową. Manita czekał cierpliwie. Odgadywałem, że serce biło mu ze wzruszenia. Ostatecznie doktor G. wyjął jakąś pastylkę i podał ją ostrożnie Manicie, objaśniając długo, kiedy i jak ma ją zażyć.

Manita był widocznie, pomimo całej swej głupoty, człowiekiem obdarzonym niezwyklej imaginacją. Gdy przy następnym spotkaniu zapytałem go, czy z leku doktora jest zadowolony, Manita z entuzjazmem zaczął wystawiać jego mądrość i siłę jego „boanga“ (lekarstwa).

Odtąd zawsze z niecierpliwością oczekiwał on przyjazdu doktora G. i podczas gdy innych murzynów, rzeczywiście

chorych, trzeba było zmuszać do przyjmowania lekarstw. Manita, zaledwie doktor zjawił się na przystani, nadbiegał, prosząc o swoją „rację siły”.

Manita ma następcę, którego wszyscy zwykli nazywać Manita-Kakese, t. zn. mały Manita.

Gdy O. O. Misjonarzów nie było jeszcze w naszej okolicy, marzył on aby oddać się im w opiekę, i naczyć się czytać i pisać. Pragnienie wiedzy było u niego tak szczere, że gdy misjonarze osiedlili się w pobliżu wsi Mapangu, Manita-Kakese był jednym z pierwszych, co zgłosili się do szkoły. Liczy on już z górą 20 lat, ma żonę i dzieci.

Jest pierwszym chrześcijaninem w swoim plemieniu.

Na krótko przed wyjazdem do Europy spotkałem go gdy wracał do domu z tabliczką w ręku. Oznajmiłem mu, że wkrótce Kongo opuszczam i że nie wiem, czy powrócę w te strony. Tego samego dnia wieczorem przyszedł mnie pożegnać. Ofiarował mi kurę, prosząc, abym mu przywiózł z Mputu (Europy) Boga z białego żelaza (krzyżyk).

* * *

Zgromadziliśmy się na przystani w Mobendi, aby pożegnać kolegę, który odjeżdżał do Europy na urlop.

Brakowało w naszym szczupłym gronie dwóch osób: pana C. i doktora G.

Pan C., złożony od tygodnia żółtą febrą, walczył ze śmiercią. Choć nastąpiło pewne polepszenie, lekarz nie opuszczał ani na chwilę swego pacjenta.

W oddali bieli się już statek i zbliża ku nam szybko, prując lśniąca tafłę rzeki.

Zamieniamy ostatnie życzenia na długą i uciążliwą podróż. Przypominamy o licznych poleceniach, pomimo, że na ich załatwienie mało liczymy, ale już samo powiedzenie:

„Kup mi pan w Brukseli lub Londynie to i to”, sprawia przecież taką przyjemność, że warto sobie choć na krótko zrobić nieco iluzji.

Statek zatacza wielki łuk i sprawnie zawija do przystani. Murzyni wnoszą paki i kufrы.

Potężne sygnały syreny: pierwszy, potem drugi. Czas wsiadać.

Trzeci sygnał. Statek wyrusza w dalszą podróż, zakreślając ponownie wielki łuk ku środkowi rzeki.

Nagle pojawia się na przystani doktor. Jest błądy i wzruszony.

— Doktorze, co się stało? — pytamy.

— Callewaert nie żyje!

Kolega nasz skonał na rękach lekarza, nie dokończywszy rozpoczętego zdania.

Zakrzątnięto się około przygotowań do pogrzebu, z którym w tym klimacie zwlekać nie wolno.

Koledzy ułożyli zmarłego w trumnie, zbitej naprędcę z paru desek i ponieśli. Za trumną szło jeszcze dwóch europejczyków i garstka tubylców z ciekawości.

Po przybyciu na cmentarz, gdzie wznosił się dotąd jedyny grób ś. p. Robertsona, anglika, zamordowanego parę lat temu przez murzyną, spostrzeżono, że nikt z obecnych nie umie modlitwy za zmarłych.

Inżynier F. pobiegł do domu i wkrótce powrócił z modlitewnikiem.

Ś. p. Callewaert był katolikiem, modlitewnik zaś przeznaczony był dla kultu protestanckiego.

Zdecydowano jednak, że to niema znaczenia, — każda modlitwa jest w takiej chwili dobrą modlitwą.

Pan F. stanął nad otwartym grobem i drżącym głosem odczytał requiem.

Wpuszczono trumnę do głębokiego dołu; każdy z nas rzucił koledze garść ziemi.

Murzyni zasypali grób i ustawili na nim skromny drewniany krzyż.

Zachodzące słońce ozłociło tę ubogą, żołnierską mogiłę.
W pobliskiej wsi zawarczały tam-tam'y, niby bębny, od-
dające ostatnie honory zmarłemu.



Murzyni-grabarze odeszli, spiesząc do osady na wie-
czerzę, pogawędkę i tańce.

Pozostaliśmy sami.

Wzruszenie pognało myśli nasze ku rodzinnym gniazdom, rozrzuconym po Starej Ziemi.

Klękaliśmy i każdy z nas odmówił po swojemu i swój pacierz.

W chwilę później wracaliśmy milcząc do domu.

Jeden z kolegów, cierpiący od szeregu tygodni na malarję, zbliżył się do inżyniera i dziękując mu w imieniu wszystkich za requiem odmówione nad grobem, dodał ze smutnym uśmiechem:

— Wierzymy, że w razie potrzeby oddasz podobną usługę każdemu z nas. Tylko już wtedy nie zapomnij zabrać ze sobą modlitewnika.

Nikt nie wątpił, że modlitwę tę zamawiał dla siebie.

* * *

Po obiedzie u p. Administratora w Ilebo, goście rozeszli się na tradycyjną popołudniową sjętę.

Upał dokuczał dotkliwie. Nie mogąc uleżeć w dusznym pokoju, wyszedłem przed dom, sądząc że tam znajdę nieco przewiewu. Ale i tu niewiele było lepiej.

Skierowałem się więc w stronę pobliskiego lasu, stojącego nad brzegiem wartkiej rzeczki Luczwadi, gdzie nawet w dnie upalne panował miły chłód.

Nie uszedłem jednak i stu kroków, gdy usłyszałem przeraźliwy krzyk boya, który wybiegłszy przed dom, wołał:

— „Mukalenge, mukalenge, nioka udi mu nsubu! (Panie, panie, waż jest w domu! — w języku Cziluba).

Krzyk jego zbudził sjestującego gospodarza i gości. Nadbiegła służba. Wszyscy otoczyli wystraszonego boya, pytając gdzie, co i jak.

Okazało się, że skoro tylko opuściłem mieszkanie, wczółgnął się do pokoju długi zielony waż, nazywany przez tubylców Kolombo.

Nikt nie miał odwagi wejść do mieszkania. Europejczycy ociągali się jakoś, podobnie jak i murzyni którzy

boją się węzów panicznie, bez względu na wielkość ich i stopień jadowitości.

Zacząłem rozglądać się wokoło, szukając odpowiedniej broni. Spostrzegłem ją wreszcie w szopie z rupieciami. Była to deska z twardego drzewa, długości z górą półtora metra i szerokości dłoni.

Zwróciłem się do czarnych, pytając, kto chce ze mną na ochotnika. Nie znajduję amatorów. Po chwili jednak wysunął się z szeregów mój mały boy, dwunastoletni Nilunga, z długim murzyńskim nożem (maczetą) i mówi:

— Betu kłenda, mukalenge (chodźmy Panie).

Stanąwszy w progu, rozglądamy się uważnie po pokoju. Węża nie widać. Przypuszczamy, że zaczął się gdzieś wśród mebli. Odsuwamy ostrożnie przy pomocy mojej deski szereg skrzynek i kuferków, w które każde mieszkanie białego kongolanina obfituje, ale węża ani śladu.

Zatrzymujemy się na środku pokoju niezdecydowani. Nagle Nilunga woła:

— Jandi jaj! (oto on).

Na rolce zielonej siatki do okien, ustawionej w kącie, nie od razu spostrzegam naszego, również zielonego, przeciwnika.

Ostrożnie zbliżam się do niego. Operując deską niby lancą, szybkim ruchem przyciskam węża do ściany. Część cielska wysuwa się z tego uścisku i pręży w moją stronę. W odległości najwyżej pół metra odemnie chwieje się głowa gada. Małe, złe ślepie śledzą każdy mój ruch.

Z kolei Nilunga wziął się do dzieła, usiłując maczetą zmiażdżyć głowę węża, który sycząc i wijąc się zręcznie tych ciosów unikał. W końcu jednak udało się Nilundze rozplatać łeb gada na dwoje.

Cielsko jego zwisa bezwładnie — Kolombo nie żyje.

Wyciągamy go nazewnątrz. Długość jego wynosi około dwóch metrów.

Czarni patrzą na mnie z podziwem i jeszcze następnego dnia, przechodząc przez wieś słyszałem jak mówili do siebie szeptem:

— Oto biały, który wczoraj zabił złego węża.

Oczywiście że i Nilunga stał się przedmiotem ogólnego podziwu swoich rodaków i z dumą dzielił się sławą ze swym panem.

* * *

Zbudziło mnie szamotanie się i skomlenie mojego wyżełka.

Usiadłem na łóżku i wyciągnąłem z pod poduszki zapalki. Przesiąknięte nocną wilgocią, nie chcą zapalić się od razu.

W czasie gdy usiłowałem wykrzesać ogień, mój wyżełek zamilkł na chwilę. Nadstawiłem ucha i usłyszałem wyraźnie szmer jakby czołgającego się po płóciennnej podłodze namiotu cielska. Strach zmroził mi krew w żyłach; nie wątpiłem już, że to wąż i to dużego kalibru. Świadomość niebezpieczeństwa dodała mi spokoju.

Z wielkim trudem udało mi się wreszcie zapalić zapalkę.

Ostrożnie odchyliłem moskiterję, wysunąłem głowę i... odetchnąłem.

Nie boa, ale karawana mrówek.

Podłoga namiotu pokryta była grubą i ruchomą warstwą ciemnobrązowego koloru. Zwarte szeregi mrówek, prowadzone przez t. zw. żołnierzy o potężnych głowach i długim tułowiu, zaczęły wdzierać się już na łóżko i kufry.

Zapalka gaśnie. Nie myślę już o zapaleniu innej. Nie ma czasu do stracenia: jeszcze chwila, a wejdą pod moskiterję i zaatakują mnie w łóżku.

Chwytam więc buty i biegnę do drzwi namiotu. Zanim jednak odwiązałem zasłonę, mrówki już mnie opadły, kásając niemiłosiernie.

Wreszcie wydostają się nazewnątrz. Mrówki gęstemi kolumnami pokryły całą przestrzeń w bliskości namiotu.

Skaczą we wszystkich kierunkach, szukając wolnego od nich miejsca.

Mrówki dochodzą mi już do pasa.

Wreszcie szczęśliwie wydostają się poza obręb najazdu i mogą nareszcie usunąć je z ciała. Potem odnalazłszy w mrokach bezgwiezdnej nocy leśną ścieżkę, kierują się do wsi, gdzie rozlokowali się moi ludzie i służba.

Gdy zjawiłem się przed nimi w porwanej koszuli i boso, gdyż buty, napełnione mrówkami, musiałem po drodze porzucić, zdumienie murzynów nie miało granic.

Zbudzeni z ciężkiego snu, w pierwszej chwili nie mogli zrozumieć, co się stało. W kilku słowach opowiedziałem moją przygodę, spędzając ich z tapczanów i mat.

Spieszno mi było iść z pomocą mojej skrzyni z prowiantami, na którą mrówki musiały się już rzucić.

Z zapalonemi łuczycami udajemy się do mojego „campement”.

Piesek biegnie za mną, otrząsając się jak po zimnej kąpeli.

Oto jesteśmy na miejscu. Ludzie zapalają suche gałęzie palmowe i przy pomocy ognia odpędzają mrówki. Inni wysypują na ziemię całe garście mąki maniokowej i popiołu, których mrówki nie znoszą i zawsze omijają.

Rozniecamy ogniska około namiotu, aby światłem odstraszyć bardziej uparte „oddziały”.

Świt zastał nas jeszcze zajętych oczyszczaniem mrówczego pobojowiska z niedobitków i poległych.

* * *

Karawany brunatnych mrówek, zwanych przez tubylców mojej dzielnicy „Lufumba”, a przez przyrodników „Dorylus Wilwerthi”, spotyka się na drogach kongolań-

skich bardzo często. Złożone są te karawany z żołnierzy o dużych szczękach z ostrymi haczykami i robotników o drobniejszej budowie. W gniazdach, zawsze dobrze ukrytych w puszczy, ale często zmienianych, mieszkają prócz robotnic i żołnierzy, uskrzydłone samce i królowe.

O ile karawana ma na celu zdobycie żywności, pochód jej odbywa się w szybszym tempie i pod słabszą strażą żołnierzy. Jeżeli na drodze takiej wyprawy znajdzie się chata murzyńska lub dom Europejczyka, wdzierają się mrówki do wnętrza i o ile znajdą tam mięso, lub tłuszcz, jak oliwę, masło, słoninę, likwidują te zapasy szybko, zjadając część na miejscu a resztę przenosząc do gniazda. Dorylus będąc wyłącznie mięsożerną, zabija nawet młode kurczęta i kaczątka. Jest to dla kolonisty strata wielka, ale łatwo ją mrówkom wybacza, gdyż po przejściu karawany znajduje jednocześnie swój dom oczyszczony od karaluchów, szczurów, myszy i innych niepożądanych lokatorów.

Brazowe mrówki tworzą również karawany, gdy, dla braku żywności, zmuszone są opuścić dawne gniazdo i przenieść się do innych okolic. Pochód taki, w którym bierze już udział cały świat mrówczy, odbywa się powoli, po szlaku z góry przygotowanym i pod silną eskortą żołnierzy.

Pochód taki nie zna przeszkód i przechodzi nawet przez wody stojące, lub o słabym prądzie. Żołnierze, poszczepiani ze sobą długiemi i mocnemi szczękami, tworzą most, po którym karawana wygodnie przechodzi.

Droga lądowa takiej karawany składa się zazwyczaj z szeregu tuneli, które służą do przenoszenia nieznoszących światła larw.

Dorylus oddaje duże usługi rolnictwu tropikalnemu, gdyż nie atakując roślin, niszczy szkodliwe owady, zamieszkujące pola uprawne i plantacje.

* * *

Kończę naprędce sporządzone śniadanie, nakładam „marszowe” buty i przywołuję tragarzy.

Jest szósta rano.

Gęsta mgła otula jeszcze drzemiący las i spływa ciężkimi kroplami z liści i pni.

Pomimo, że słońce już wzeszło, zaledwie słabe światło sączy się poprzez opary, unoszące się nad ziemią.

Murzyni, drżąc z chłodu, wiążą szybko kufry, paki i namiot i parami wyruszają w drogę, za nimi służba, wreszcie i ja ich śladem.

Przechodzimy przez mostek, zawieszony nad wartkim, głębokim potokiem.

Most kongolański zbudowany jest zazwyczaj z szeregu długich żerdzi, powbijanych w dno rzeczki od brzegu do brzegu i powiązanych ljanami. Między temi żerdziami leżą ułożone poprzecznie lub wzdłuż, szczapy drzewa i grubsze gałęzie, przymocowane, jak Bóg dał, włóknami ljanowemi i uginające się jak klawisze. Stanowi to „jezdnię”, która pod krokami już tylko jednego i to ostrożnie stąpającego człowieka chwieje się i ugina nad ciemną powierzchnią wód, grożąc w każdej chwili zawaleniem.

Tak wygląda dobry most kongolański. Są bowiem i gorsze, gdzie prawie wszystkie szczapy drzewa zerwane i uniesione zostały przez wody podczas wylewów. Pozostałe wątle a wysokie żerdzie, połączone ljanami, z daleka dziwnie przypominają słupy telegraficzne po zbombardowaniu.

W pojęciu jednak tubylców jest to mostem.

Przechodzimy więc na drugą stronę rzeki, potem schodzimy z jednej góry i wdzieramy się na inną, wreszcie znów znajdujemy się nad brzegiem strumienia. Tutaj wogóle ani śladu mostu. Ale rzeczka jest płytka, więc tęgi i wysoki murzyn przenosi mnie „na barana”.

Wreszcie po blisko godzinnym marszu stajemy nad rzeką Kasai.



Most Kongolański

23847/11



Sezon suchy w pełni. Wody opadły o kilka metrów odsłaniając wyspy i ławy piaszczyste. Wszystko jednak ginie teraz w zimnej i nisko pełzającej mgłę.

Na wysokich, pokrytych lasem, brzegach widać tylko najwyższe szczyty drzew, które tworzą na widnokręgu ciemną obręcz, jakby zawieszoną w powietrzu.

Moja eskadra, złożona z kilku pirogów, odbija powoli od brzegu.

Prowadzi nas łódź, obsadzona przez dobrze znających rzekę wioślarzy.

Słońce wznosi się coraz wyżej, walcząc z oparami i mgłą. Tarcza jego nabiera coraz wyraźniejszych konturów.

Na rzece jednak ciągle jest mroczno i zimno. Nie widać ani brzegów rzeki, ani dalej płynących pirogów.

Wreszcie opary, dotąd nieruchome, zaczynają kołysać się i rzednąć. Lekkie podmuchy wiatru spychają je ku lasom i trawiastym wyspom.

Słońce uwolnione z chmur, znów wszechwładnie panuje na niebie i ziemi.

Monotonny chóralny śpiew wioślarzy wzbija się z cicho mknących łodzi. Mam wrażenie, że z mroków grobu wyszedłem na powierzchnię ziemi.

Olbrzymie stada orłów-rybaków obsiadają wyspy, żórawie i czaple zrywają się za naszym zbliżeniem i ciężko odlatują, szukając zaciszniejszego schronienia wśród płytkich wód i wysokich traw.

Robi się gorąco. Zdejmuję płaszcz, rozchyłam koszulę na piersiach i zawijam rękawy.

Gdy około południa zaczęliśmy zbliżać się do Sangasanga, oczom moim ukazał się widok niezwykły.

Nad rozległą plantacją i otaczającymi ją lasami unosiły się nieprzeliczone, białe, ruchome płatki, podobne do puszystego śniegu, pędzonego lekkim powiewem wiatru.

To karawana białych motyli.

Idą one ze wschodu na zachód podobno już od dwóch dni. Zaścietają ziemię, obsiadają krzewy i drzewa, aby po chwili zerwać się i, ustępując miejsca innym, znów lecieć dalej.

Kongo posiada wielką różnorodność niezwykle pięknych motyli. Są one cudownie ubarwione i posiadają często wprost fenomenalną wielkość.

Motyle te jednak, pomimo swej urody, posiadają jedną bardzo brzydką skłonność: siadają nie zawsze na... kwiatkach.

* * *

Przez szereg tygodni postrachem mojego wybrzeża był olbrzymi krokodyl, który, odznaczając się niezwykle żarłocznością i śmiałością, chwycił kąpiących się, lub czerpiących wodę tubylców i atakował nawet pirogi murzyńskie.

Pewnego dnia zjawił się u mnie Manita, znany nam już naczelnik pobliskiej wsi, i zakomunikował, że krokodyl wczoraj pływał długi czas śladem jego pirogi, usiłując wywrócić ją uderzeniami potężnych szczęk i ogona.

Krokodyle w Kongo nie są rzadkością. Rzeki afrykańskie obfitują w te potwory ziemno-wodne, które zwłaszcza podczas sezonu suchego widuje się na ławach piaszczystych i trawiastych wyspach.

Tego samego wieczoru, po ukończonej pracy, gdy murzyni poszli wykapać się i ochłodzić w rzece, jeden z nich, oddalwszy się od towarzyszy, zniknął nagle pod powierzchnią wody i już więcej nie wypłynął.

Tylko woda w tym miejscu jakiś czas poruszała się gwałtownie, zdradzając walkę człowieka z potworem.

Po chwili jednak znów spokój zapanował na rzece i tylko srebrna smuga, coraz dłuższa i coraz węższa, znaczyła drogę ucieczki krokodyla uchodzącego z łupem ku głębinom rzeki.

W parę dni po tym wypadku, kazałem przywiązać koźłę na brzegu, sam zaś ukryłem się z karabinem w pobliżu, sądząc, że krokodyl, strawiwszy ofiarę, zjawi się po nowy łup. Oczekiwania moje były daremne, podobnie, jak i w ciągu szeregu dni następnych. Krokodyl zaczął grasować w innej okolicy, jakby przeczuwając zasadzkę, przygotowaną w mojej zatoce.

Następny wypadek miał miejsce we wsi Malembe, kilkanaście kilometrów w górę rzeki Kasai.

Murzynki niosły owoce palmowe do przystani, gdzie oczekiwała na ich odbiór berlinka. Wśród śmiechów i wrzawy załadowano palmowce.

Prowadzący berlinkę, śpiewając i bijąc w tam-tam'y, odpłynęli, a uniesieni silnym prądem rzeki, wkrótce zniknęli za wyspami.

Kobiety, milcząc, zaczęły czerpać wodę do kalabasów (rodzaj dzbanów), inne oddaliły się nieco, aby się umyć i ochłodzić w wodzie. Odgłos bębnow zmarł w oddali.

W tym momencie zjawił się krokodyl, ośmielony ciszą, jaka zapanowała. Rzucił się na najdalej stojącą murzynkę, chwytając ją za nogę i usiłując wciągnąć do wody. Kobieta zdążyła uczepić się drzewa, krzycząc i wołając ratunku. Wystraszony potwór puścił na chwilę swoją ofiarę. Wnet jednak rzucił się na nią powtórnie, z podwójną wściekłością, odrywając pierś, szarpiąc brzuch i uda.

Na wszczęty alarm przez bezradne murzynki, nadbiegli wreszcie tubylcy i odpędzili krokodyla strzałami z łuków.

Ciężko okaleczona murzynka wkrótce w nieopisanych męczarniach zmarła.

Widać, że strzały, choć celne, nie były jednak śmiertelne, gdyż w dwa dni później zniknęło w sąsiedniej wsi dziecko, bawiące się nad rzeką. Mówiono również o jakiejś pirodze, wyrwionej przez krokodyla i o pożartych przez niego wiosłujących murzynach.

Strach padł na okolicę.

Murzyni obawiali się wyruszać na połów ryb. Kobiety nie chciały czerpać wody na Wielkiej Rzece (Kasai). Europejczycy wspólnie z murzynami zaczęli tępić krokodyla, licząc, że natrafią na groźnego napastnika.

Sporo padło ich w tym czasie w naszej okolicy.

Potem nadszedł okres deszczowy, okres wylewu wód. Zniknęły wyspy i ławy piaszczyste pod spienionymi wodami, utrudniając polowanie.

Zresztą i słuch o żarłocznym krokodylu zaginał. Może wyniósł się on w inne, spokojniejsze strony, może padł z ręki myśliwych. Dość, że na lesistych wybrzeżach rzeki znów zapanował spokój.

Kobiety czerpią wodę na obranych przed laty miejscach, dzieci jak dawniej kąpią się i igrają w wodzie w gorące popołudnie. Mężczyźni nie lękają się już wyruszać na połów ryb w wąskich i wywrotnych swych łodziach.

W oczekiwaniu nowego zdarzenia, które znów całą okolicę poruszy i zmobilizuje najlepszych myśliwych, opowiada się wieczorem, przy ognisku, wypadki z najbliższej przeszłości, kiwając smutnie głowami, dyskutując z ożywieniem, lub nawet śmiejąc się aż do łez. Wszak dla murzyna i smutne wypadki mają swoją humorystyczną stronę, zwłaszcza, jeżeli należą już do przeszłości.

* * *

Krokodyle łzy... Skąd wzięło się to określenie?

Starożytni twierdzili, że krokodyl płacze na widok człowieka aby wzbudzić w nim uczucie litości i uspić czujność. Średniowiecze w inny sposób objaśniało tę skłonność krokodyla do wylewania łez. Miały one zwilżać brzegi rzek i ułatwiać w ten sposób ruchy krokodlowi, wychodzącemu z wody w poszukiwaniu ofiary.

Miałem sposobność stwierdzić niejednokrotnie, że w oślepiającym blasku promieni słońca afrykańskiego



Kobiety Baszilele na targu w Sanga-Sauga

23847/11



oczy krokodyla, wygrzewającego się na piasku, łzawią rzeczywiście i to nawet dość silnie. Wątpię jednak, aby wchodziła tu w grę przebiegłość krokodyla...

Faktem natomiast jest, że krokodyl wydaje jęki, podobne do kwilenia dziecka. Ten skarżący się głos, tak mało odpowiadający krwiożerczym instynktom potwora, tłumaczy najlepiej powstanie i sens określenia: „krokodyle łzy”.

* * *

W październiku, gdy odlatujące żorawie i coraz silniej przypiekające promienie słońca zaczęły zwiastować nam zbliżanie się sezonu deszczów i burz, wypadła mi niewielka podróż do Basongo, „stolicy” terytorjum Baszilele.

Kufer blaszany, dwóch boyów, goniec i kilku wiosłarzy oraz wąska i długa piroga, na której przebyć mam przestrzeń około 40 klm. z biegiem rzeki, stanowią cały mój ekwipunek podróży i swięte.

Okraczamy ustawicznie wielkie wyspy piaszczyste, które poroziadały się gęsto na szerokim korycie Kasai. Chwilami tylko wchodzimy w miły chłód nadbrzeżnej puszcy, rzucającej cień daleko na rzekę.

Murzyni odkładają co jakiś czas wiosła i orzeźwiają się wodą. Zlewają sobie głowy, albo piją łakomie.

Czarny kongolanin, gdy niema pod ręką naczynia do czerpania wody, radzi sobie w inny sposób. Uderza on brzegiem dłoni o powierzchnię wody, potem szybkim, sprężystym ruchem równo złożonych palców, podrzuca wodę ku górze w ten sposób, że wpada ona wprost do szeroko rozwartych i zręcznie podstawionych ust.

Pot ścieka z obnażonych karków i pleców moich wiosłarzy. Śpiewają jednak wesoło, uderzając wiosłami w takt nieskompikowanej piosenki, lub nawołują się kolejno od ostatniego do pierwszego:

— Lukaj ! Lukaj ! (Wiosłuj !).

Skórę na odkrytych piersiach i rękach mam już spaloną do czerwoności, język przysycha do podniebienia. Upał jest wprost nie do zniesienia.

W chwili gdy zaczęliśmy uciążliwie okrążyć wielką piaszczystą wyspę, słońce pociemniało, a z za wysokiego muru leśnego wynurzyła się ciężka chmura i dobiegł nas odgłos bliskich już grzmotów. Wzmagający się szybko wiatr sfałdował i wzburzył w mgnieniu oka powierzchnię rzeki.



Fale zaczęły podrzucać pirogą, jak kawałkiem korka. Byliśmy w miejscu, gdzie do Kasai wlewają się wody rzeki Sankuru. Pełno tu wirów i głębokich prądów. Uniesieni nimi, pchani wichrem, mkniemy z zawrotną szybkością wprost na wyspę.

Piroga uderza wreszcie o piaszczyste dno. W samą porę, gdyż woda zaczęła już wlewać się do łodzi.

Wyskakujemy i wciągamy ją na ląd.

Ledwo zdążyliśmy jako tako umocować i zabezpieczyć czołno, orkan był już nad nami. Wnet zostaliśmy zasypani piaskiem, a jedno i drugie potężne uderzenie wiatru zachwiało nami, jak trzcinią o słabych łądogach. Za przykładem murzynów rzucam się na ziemię, aby nie zostać uniesionym i wrzuconym do rzeki.

Błyskawice pręty niebo co chwila, huk piorunów ogłuszał nas, wreszcie cały ocean wylał się z czarnych, pełzających tuż nad wodą i lasami chmur. Zniknęły nam z oczu brzegi rzeki i zginające się wpół wysmukłe palmy o rozwianych płótopuszkach. Zrobiło się mroczno, jak przed zapadnięciem tropikalnej nocy.

W obliczu rozpętanych żywiołów byliśmy wszyscy jednakowo bezsilni, jednakowo obezwładnieni.

Murzyni musieli sobie to dobrze uświadomić, bo gdy burza przeszła, cieszyli się nietyle z odzyskanej swobody ruchów, ile z faktu, że biały człowiek, taki dumny i taki wszechwiedzący, musi jednak ugiąć się, podobnie jak i oni, przed potęgą przyrody.

Podczas gdy murzyni obmywają się z piasku i wylewają wodę z czołna, ja suszę na słońcu moją garderobę, która dymiąc jak komin, powoli odlepia się od mojej skóry.

Chmura i grzmoty są już daleko.

Namaszczam paroma szturchańcami marudzących murzynów i nagłem do odjazdu.

Służący mój, gdy byliśmy już w czołnie, wdał się jak zwykle ze mną w rozmowę. Sługiwał on po dużych miastach kongolańskich i wiedział, że „na Mputu” (w Europie) są biali, którzy muszą pracować fizycznie, podobnie jak i oni tutaj, że są tam duże miasta zbudowane nad wielkimi wodami, gdzie po ulicach chodzą pociągi, a biali usługują murzynom w kawiarniach i restauracjach i, za małą opłatą, niosą za nimi kufry i pakunki.

Wiedział, że w Europie jest czasem tak zimno, że aż woda w rzekach twardnieje, a ludzie muszą okrywać się skórami.

Wiedział również Bernard, że kobiety białe, podobnie jak i murzynki zresztą, nie zawsze są wierne swoim mężom i że są nawet i takie, co nie gardzą młodymi i dorodnymi murzynami...

Wady i złe skłonności europejczyków nie były Bernardowi obce. Obserwował on życie ich od dzieciństwa, ale, dostatecznie w swej ciekawości niezaspokojony, przy każdej sposobności dopytywał się o jakiś nowy szczegół.

Tym razem jednak, odświeżywszy sobie w pamięci wszystkie dziwy europejskie, zapytał mnie znienacka:

„Panie, powiedz mi, dlaczego wy biali, tacy mądrzy i przebiegli, nie znaleźliście jeszcze żadnego lekarstwa na deszcz, pioruny i śmierć?”.

W głosie Bernarda wyczułem ironję. Prawdopodobnie takie lub podobne pytania zadawał swoim poprzednim chlebodawcom i cieszył się potem ich zaambarasowaniem.

Zawahałem się chwilę.

To wystarczyło, aby twarz Bernarda rozjaśniła się szerokim uśmiechem tryumfu.

Wnet jednak spowaźniał i zamyślił się głęboko, gdyż, zamiast wymijającej odpowiedzi, dostał mu się siarczysty policzek, poparty krótkim wyjaśnieniem:

„Nie śmiej się, gdy mówisz o śmierci”.

Odtąd Bernard przestał wogóle uśmiechać się w mojej obecności, a poza moimi plecami nazywał mnie „Majele”, co znaczy — przebiegły.

Nie mógł mi on zapomnieć, że pozbawiłem go sposobności zabawienia się raz jeszcze kosztem europejczyka, nie wiedzącego, co mu odpowiedzieć.

* * *

Służbę domową w Kongo zmieniają europejczycy dość często, przedewszystkiem, ze względów taktycznych, zaw-

sze bowiem jest się lepiej obsłużonym przez nowego, niż starego i „wiernego” boy’a, który zna na wylot swego pana i miejsce, gdzie chowa papierosy, zapaliki i podręczne pieniądze.

Pozatem zmienia ich się dla własnej satysfakcji, dla ukojenia gniewu za zbitą szklanekę, spaloną przy praso-waniu koszulę, lub skradzioną flaszkę od piwa.

Przyjmując nowego wie się wprowadzić z góry, że nie będzie on ideałem, że tak samo będzie nas „nabijał”, jak i jego poprzednicy, ale to dopiero po pewnym czasie. Na parę miesięcy ma się spokój.

W Kongo, będącym przecież jeszcze bardzo młodą kolonją, naogół nietrudno o dobrą, a nawet wykwalifikowaną służbę domową.

Zwłaszcza kucharze wyróżniają się nieprzeciętnymi zdolnościami kulinarnymi. Znają sposób przyrządzania wielu potraw na sposób europejski, nie wyłączając majonezu i kruchych ciastek.

Co prawda mój pierwszy kuchmistrz wiele pozostawiał do życzenia. Był mały, głupi i brudny i podawał niejednokrotnie obiad w całkiem odwrotnym porządku: najpierw pieczyście, potem zupę, a na deser sardynki. Ale byłbym mu napewno te drobne przewinienia długo jeszcze wybaczał, gdyby nie następujące zdarzenie.

Działo się to może w czwartym miesiącu mojego życia „en brousse”. Byłem więc jeszcze „fuksem” i, choć już zaczynałem powoli coraz lepiej orjentować się wśród nowego otoczenia, nie przyszło mi jednak nigdy na myśl zajrzeć do kuchni, aby sprawdzić, co tam mój Katakoni (tak bowiem zwał się mój kucharz) porabia, jak wyglądają garnki, w których gotuje i łapy, które w swej pracy przecież posługiwać się musi.

Otóż pewnego dnia, a było to w podróży, siedziałem przed namiotem w altance z liści palmowych i czekałem na obiad, który właśnie Katakoni mi przyrządzał.

Było bardzo gorąco i duszno. Rozłożyłem się na leżaku,

spoglądając od czasu do czasu poprzez wąski otwór w altanie w stronę ogniska, przy którym kucharz warzył t. zw. moambę.

Połykałem ślinkę na samą myśl o tej smacznej potrawie. Mamba jest to rodzaj potrawy z kury, duszonej w oliwie palmowej i pieprzu do której oddzielnie podaje się ryż na sypko.

Katakoni marudził jakoś tego dnia. W pewnym momencie zdawało mi się, że zasnął nad garnkiem. Zbliżyłem się więc do otworu w altanie i patrzę, — patrzę i oczom własnym nie wierzę.

Katakoni nie śpi wprawdzie, ale przymknawszy oczy miesza powoli moambę w garnku, a z nachylonego czoła pot kroplisty ścieka mu na nos, a z nosa do płomienia i od czasu... do czasu... do garnka.

Zrobił się potem wielki rwetes. Katakoni stracił miejsce, a ja tego dnia nie jadłem obiadu.

Jeden z boy'ów, który przez jakiś czas wyprowadzał mnie w bardzo pomysłowy sposób w pole, również bardzo gwałtownie i nagle zakończył u mnie swą karierę.

Pewnego dnia wśród bielizny, którą zawsze prał i prąsował, zauważyłem koszulę, spaloną kawałkiem węgla na samym gorsie. Boy dostał porządne wymyślanie, ale i, po pewnym czasie, spaloną koszulę.

W jakiś tydzień po otrzymaniu tego prezentu, boy odnosząc bieliznę, sprezentował mi inną koszulę, którą znów spalił. Przepraszał i obiecywał poprawę. Przebaczyłem mu a po upływie jakiegoś czasu, aby się pozbyć nieużytecznej koszuli, dałem ją służącemu.

Gdy jednak taki sam los spotkał i trzecią koszulę, zrozumiałem fortel mojego boy'a. Wzięty na spytki przyznał się, że palił je rozmyślnie wiedząc, że po małej burzy, prędzej czy później koszula stanie się jego własnością.

Odtąd za każdą wyrządzoną szkodę, służba musiała



Mokradla

23847/11



płacić mi grzywnę, zgodnie z przyjętym ogólnie wśród kolonistów zwyczajem.

* * *

Przeszedł znów sezon deszczowy, ostatni jaki spędziłem na obszarach między wielkim zlewiskiem Kasai i Sankuru, a zboczami południowego płaskowzgórza.

Już od szeregu tygodni nie mamy ani kropli deszczu. Zieleność blednie, wody opadają; coraz mniej moskitów w bliskości wysychających rzek i strumieni.

Przeciągają olbrzymie stada ptactwa. Słynni rybacy ze szczepu Badinga rozbijają swe szałas na piaszczystych ławach i zakładają na płytkich wodach sieci na ryby.

Myśliwi kopią w lasach wilcze doły na grubą zwierzynę, zakrywając otwory liśćmi i ziemią.

I rolnicy nie próżnują. Co wieczór widać wielkie łuny na wyiskrzonym od gwiazd niebie. To płoną ścięte lasy i sawanny, przygotowywane pod nowe plantacje manioku i kukurydzy.

Pewnego dnia, płynąc do wsi Malembe, położonej na lewym brzegu Kasai, znalazłem się nieoczekiwanie pośród wielkiego stada hipopotamów. Miałem przy sobie tylko browning, który przy takich spotkaniach, przestaje być bronią.

Na widok wodnych olbrzymów, murzyni zaczęli wiosłować z taką energią, że małeńka piroga, mknąc jak strzała, pomiędzy wyskakującymi z wody i niełaskawie pomrukującymi hipopotamami, wkrótce znalazła się na głębszej wodzie i w bezpieczeństwie.

Była godz. 5-ta popołudniu, pora, w której konie wodne chodzą na ląd żerować. Kazałem wiosłarzom zatrzymać łódź przy najbliższej ławie piaszczystej i wylać wodę, której zaczerpnęła na rzece, wzburzonej poruszającymi się cielskami.

Znajdowaliśmy się jakieś trzysta metrów od miejsca, gdzie spotkaliśmy stado. Na rzece panowała niezakłócona niczem cisza. Przykucnałem z moimi ludźmi za łodzią, aby móc sprawdzić, gdzie hipopotamy wylądują.

Długo nie trzeba było czekać. Zaledwie słońce, krwawe i już zagaśnięte, zsunęło się za pogrążony w mrokach las nadbrzeżny, hipopotamy, jeden za drugim zaczęły lądować, ciężko i bez pośpiechu wchodząc na leżącą przed nami wyspę i ginąc w wysokich jej trawach.

Parę dni później o tej samej porze wróciłem na to miejsce, obrane przez hipopotamy do żeru, ale już tym razem z karabinem.

Wyprawa się powiodła. Następnego dnia, gdy łup mój poćwiartowano i pocięto na drobne kawałki do wędzenia, miałem poprostu górę mięsa. Było czem obdzielić całą wioskę murzyńską, która odtąd bardzo chętnie udzielała mi łodzi i wiosłarzy, ilekroć udawałem się na „wyspę hipopotamów”.

Moje jednak i innych europejczyków odwiedziny stały się widocznie zbyt częste, gdyż wkrótce te wodne olbrzymy wyniosły się w inne okolice.

Pomimo to, mając kiedyś wolne popołudnie, wyruszyłem z inżynierem L. raz jeszcze na tę wyspę, w nadziei, że może jednak coś znajdziemy.

Było jeszcze za wcześnie, korzystając więc z pięknego i nieogrzanego dnia, wyłapaliśmy się w pobliżu ławy piaszczystej, a potem idąc brzegami po kolana w wodzie, zaczęliśmy zdążać ku wyspie.

Słońce szybko staczało się ku zachodowi. Teraz czas więc było wyruszyć.

Wsiadamy do pirogi i dajemy wiosłarzom polecenie podpłynięcia do wyspy i posuwania się cicho jej brzegiem w górę rzeki.

Pan L. siedział z przodu, ja za nim. Jeden wiosłarz stał na czubie łodzi, dwóch z tyłu.

Milcząc okrążamy wyspę. Wiosła bez szelestu odgarniają wodę.

Nie widzimy jednak co się dzieje na lądzie, gdyż z powodu niskiego stanu wód, brzegi wyłoniły się z rzeki przynajmniej na półtora metra. Polecamy murzynom, aby szybciej wiosłowali w kierunku niższej strony wyspy, gdzie będziemy mieli odpowiedniejsze miejsce do obserwowania jej wnętrza.

Wiosła z pluskiem raz po raz zanurzają się w wodzie. Łódź pomknęła szybciej.

Wtem pan L. zrywa się ze skrzynki na której siedział i mierzy z karabinu. Pada strzał.

Olbrzymia masa, niby kawał oberwanej skały, stacza się tuż przed nami z wyspy do rzeki. To hipopotam.

Cielsko niknie w wodzie. Łódź nasza wyskakuje ku górze na olbrzymiej fali. Wszyscy przewracamy się na dno pirogi. Jeden z wiosłarzy wpada do wody, inni gubią wiosła. Ratują nas przybrzeżne sitowia, w których łódź odzyskuje równowagę.

Pierwszą naszą myślą jest oczywiście przekonać się o losie hipopotama. Wydostajemy się z traw i po paru minutach jesteśmy już na środku rzeki, gdzie odrazu go spostrzegamy. Widać ugodzony, co pewien czas wypływa na powierzchnię wody, ale bokiem, dając się unosić prądowi w dół rzeki. Puszczamy się jego śladem. Ale noc, która zapada nagle, przerywa nam pościg.

Płyniemy dwie godziny, potem maszerujemy jeszcze godzinę lasem w kompletnych ciemnościach do najbliższej wsi, aby zmienić wiosłarzy.

Wreszcie zapach spalenizny i dymu, słabe blaski ognisk między drzewami coraz rzadszego lasu, głosy i szmery ludzkiego mrowiska, zwiastują nam bliskość osady.

Chwilę później siedzimy u ogniska i gasimy pragnienie doskonałym winem palmowym, opowiadając tubylcom naszą przygodę. Wreszcie, poleciwszy wójtowi wezwać są-

siednie wie do odszukania hipopotama, wyruszamy z powrotem do przystani z nową zmianą wiosłarzy.

Musiało być już późno, około dziesiątej, gdy znaleźliśmy się znów na rzece.

Noc była bezksiężycowa i ciemna.

Gdzieś bardzo daleko, w zachodniej stronie, widać połąną lunę od płonącego stepu.

Tam-tamy dudnią głucho w nadbrzeżnych wioskach.

Uśmiechamy się, — to „radja“ o naszym hipopotamie. Jutro na całym wybrzeżu, od Pangu aż do Ilebo, na długości stu kilkudziesięciu kilometrów będą go krajowcy szukać w rzecznych trawach, na mieliznach i u brzegów wysp.

Łódź ślizga się cicho po spokojnych wodach. Wiosłarze milczą, — w nocy nie mają zwyczaju śpiewać swych smętnych, monotonnych piosenek.

Poniżej wsi Bienge omijamy olbrzymią zadrzewioną wyspę, wchodząc, dla skrócenia sobie drogi, w wąski, naturalny kanał, dzielący tę wyspę od lądu. Z obu stron stoi odwieczna, gęsta puszcza. Jest tu ciemno, choć oko wykol.

U wylotu tego kanału nagle ujrzelśmy małe, drgające światełka. Mamy wrażenie, że wychodzimy z jakiejś groty i że u wyjścia z niej czekają na nas ludzie z latarniami.

Informujemy się u naszych wiosłarzy, co te światła znaczą.

Objaśniają nas, że to rybacy z plemienia Badinga, przynęcają ryby światłem pochodni i ognisk do zastawionych sieci.

Powoli zbliżamy się do piaszczystej ławy, na której widzimy już cienie ludzkie i długi szereg pirogów, powciąganych do połowy na piasek.

Słyszymy głosy: „Ludzie jada“! — Potem wołania: „Kto jedzie? jacy ludzie jada?“. Każę wiosłarzom milczeć, aby znanym z dzikości Badinga nie spłoszyć.

Łódź nasza osiada na mieliznie. W jednej chwili jesteśmy otoczeni przez tłum murzynów.

Chwila ciszy. Potem półgłosem rzucone przez kogoś słowa:

„Bakalenge!” (biali ludzie).

I staje się rzecz dziwna. W jednej sekundzie gasną światła, znikają ludzie i ich łodzie, znikają bez szelestu i bez śladu, — jak zjawy.

Jesteśmy znów pogrążeni w absolutnej ciemności i absolutnej ciszy.

Ochłonawszy z pierwszego wrażenia, zaczynamy wołać do rybaków, że nie mamy żadnych złych zamiarów, żeby nas się nie bali i powrócili na wyspę.

Daremnie. Głos nasz odbija się echem po opustoszałych wodach. Nikt nam nie odpowiada.

Dobrze już po północy wpływamy wreszcie do przystani mojej osady z tem wrażeniem, że wszystko to, co widzieliśmy, nie było rzeczywistością, ale halucynacją.

Hipopotama wyłowiono nazajutrz niedaleko miejsca, gdzie, z powodu zapadającej nocy, musieliśmy zaprzestać pościgu.

* * *

Gromadzę i pakuję do kufrów moje manatki.

Za parę dni opuszczam moją osadę i mój bungalow, aby zastąpić go namiotem i to na długi szereg miesięcy, może nawet aż do końca pobytu w Kolonji. Żał mi się rozstać z tym zapadłym kątem, gdzie spędziłem półtora roku zgórą, gdzie wszystkich mieszkańców szeregu wsi znałem już z imienia i gdzie już przyzwyczajono się do mnie i do moich odwiedzin.

Tem niemniej jednak nęciła mnie perspektywa nowych przygód i sposobność poznania nowych okolic i szczepów.

Różnie to w tych podróżach bywało, częściej smutno niż wesoło, nawet głodno i chłodno.

Setki kilometrów przebytych pieszo, parę febr, malarja, nieco przykrości, ale dużo satysfakcji z pokonania trudności — oto dorobek tej półrocznej włóczędzy.

Dziś jeszcze przypominam sobie każdą wieś, każdą dróżkę i strumień na obszarach, które parokrotnie wzdłuż i wszerz przeszedłem: od ujścia Sankuru aż do Ndongo na ziemi Bankuczu, dumnych łowców, — od Lubue do wartkich i zdradliwych wód Loange i siedzib krnąbrnych



*"Campement"
wśród drzew spalonych słońcem*

Badinga, — od szlaków, wydeptanych przez słonie w mrocznych lasach kasajskich aż do jasnych, malowniczych płaskowzgórzy, gdzie porozsiadały się gęsto siedziby gościnnych i pracowitych Baczoków...

Bywało, że ludność wsi, napotykaną po drodze, pracująca tylko tyle, ile potrzeba na zaspokojenie skromnych wymagań żołądka i toalety, wrogo usposobiona do każdego Europejczyka, żądającego od nich pracy, opuszczała, za moim pojawieniem się w okolicy, swe siedziby, uprowadzając ze sobą drób, kozy i wszelką żywność.

Ponieważ wszelka podróż w rodzaju tych, jakie odbywałem, związana jest z kwestją wyżywienia z górą dwóch dziesiątków murzynów, niosących namioty i bagaże, przeto, aby móc pozostawać we wsi dłużej i dać jaką taką rację żywności tragarzom, trzeba było nieraz uciekać się do podstępów, który niezawsze jednak się udawał. Tubylcy, mając swoich szpiegów, którzy z ukrycia obserwują każdy ruch białego, wiedzą wszystko, co się pod jego namiotem dzieje.

Fortel polegał na tem, że, po zwinieciu namiotu i bagażów, opuszczałem wieś tak, jakbym nie miał już zamiaru do niej rychło powrócić. Po kilku godzinach powolnego marszu zawracałem z drogi i, dobrze już po zachodzie słońca, zjawiałem się we wsi niespodziewanie. Murzyni, którzy już do siedzib wrócili, ujrzawszy mnie i moich ludzi, powtórnie uciekali, zostawiając jednak kozy, kury, maniók i kukurydzę, gdyż nie mieli czasu tym razem zabrać dobytku ze sobą. Zostawały czasem kobiety z dziećmi i paru starców, wiedząc, że im żaden przymus pracy z mojej strony nie grozi. Było więc i komu warzyć posiłek dla moich ludzi.

Podstęp taki nie udaje się jednak w sezonie suchym, kiedy w lesie pod szałasami śpi się równie dobrze jak w chacie, zszytej z bambusów i liści palmowych.

Często, gdy wchodziłem do wsi, zastawałem wszystkich mężczyzn siedzących wzdłuż ulicy z łukami i strzałami w dłoni. Nikt się na moje powitanie nie podnosił, a w setkach oczu, utkwionych we mnie, tlił się płomyk zdecydowanego oporu i nienawiści.

W takich wypadkach trzeba zachować jaknajwiększy spokój, nie zdradzać niczem obawy lub niepewności i udawać, że się ich wojowniczej postawy nie widzi. Nie zawadzi nigdy mieć broń ze sobą, nie dlatego, aby z niej robić użytek lub grozić taką ewentualnością, gdyż podobny gest może tylko murzynów sprowokować, ale żeby dać im do wód, że jest się przygotowanym do obrony.

Energiczne, krótkie przemówienie w języku tubylczym, lub nawet skarcenie silnym policzkiem jakiegoś najbliższego stojącego aroganta, daje często dobry skutek.

Kto jednak czyni to nieumiejętnie lub w nieodpowiedniej chwili, lepiej niechaj takiego „argumentu” w podobnych okolicznościach nie stosuje.

Pomimo, że Kongo zaliczamy już dzisiaj do rzędu kolonji opanowanych, gdzie życiu białych naogół nic nie grozi ze strony tubylców, to jednak w pewnych dzielnicach, bardziej odległych od zgrupowań europejskich, istnieją plemiona, które nietylko nic nie chcą słyszeć o zmianie dotychczasowego ich sposobu życia, ale nawet stawiają opór, niestety nie zawsze bierny, władzom i kolonistom, usiłującym nawiązać z nimi jakąkolwiek łączność. Stąd słyszy się nieraz o przykrych zajściach, o strzałach, wypuszczanych z gęstwiny leśnej na karawanę funkcjonariusza kolonialnego, o pobiciu żołnierzy, niosących jakiś rozkaz władz, nawet o zamachach skrytobójczych na życie kolonistów.

Zdarza się również że winą leży po stronie białych, nadużywających władzy. Konflikt kończy się zwykle rozprawą sądową i skazaniem Europejczyka na wysoką grzywnę, areszt a nawet i więzienie.

Chociaż nie można twierdzić, aby wszystkie kolizje między tubylcami a ludnością białą miały swe podłoże w rasowej nienawiści i były dowodem zbiorowego niezadowolenia murzynów z władzy europejskiej, to jednak nie należy zapominać, że ta nienawiść istnieje i że na tym młodym lądzie musi przejawiać się w ostrej, często nawet krwawej formie.

W ciągu mego pobytu w Kongo usiłowano otruć mnie dwukrotnie. Uratowałem się mlekiem którego zawsze większe ilości zabierałem ze sobą w podróż.

Dziwnym zbiegiem okoliczności w parę tygodni po dru-

gim zamachu, otrzymałem list z Brukselli od p. René Th., w którym opisuje on tragiczny koniec swego brata, otrutego i pochowanego w Sanga-Sanga. Wiedząc, że gdzieś w tych stronach mieszkam, prosi mnie o przysłanie mu fotografii grobu.

Pan Th. nie przypuszczał, że w chwili, gdy kreślił do mnie te słowa, ja walczyłem ze śmiercią, mając ten sam wyrok nad sobą co i jego brat, spoczywający obok innego jeszcze Europejczyka, zgłodzonego w tym samym dniu i w ten sam sposób przez mściwych tubylców.

* * *

Już w Tukope, wiosce położonej w sawannach, mówiono mi, że w Malembe - Munene, wśród Baszilele panuje dyzenterja.

Powiadomiwszy o tem piśmiennie lekarza okręgowego wyruszyłem do tej wsi, aby przekonać się na miejscu o rozmiarach epidemji.

Na południe od Tukope zaczynają się już wzgórza i wyżyny Kasajskie.

Droga do Malembe prowadzi nas przez ten kraj niezwykle malowniczy o rozległych dolinach, spoczywających wśród niczem niezmałconej ciszy i małych płaskowzgórzach, o spadzistych ścianach, zarosłych trawami.

Po kilkunastogodzinym, uciążliwym marszu, ujrzelśmy wreszcie wieś.

Uwagę moją zwracają ustawione na drodze garnki z jakimiś płynami i zielskiem, szmaty pozawieszane na drągach i bramy z żerdzi. Są to leki-fetysze — „boanga”. Mają one odpędzać złe duchy, które wieś nawiedziły. Wielka ilość tych „boanga” dowodzi, że w osadzie rzeczywiście dzieje się coś niedobrego.

Wchodzimy na środkowy dziedziniec. Kilka kobiet siedzi beczynnie w pobliżu chat, — z tuzin dzieciaków kręci się po zagrodzie. Tu i ówdzie jakiś murzyn o apatycznym wyglądzie podpira płot, grzejąc się na słońcu.

Zbliżam się do nich, aby się poinformować, gdzie są chorzy i czy już kto umarł. Moje pytania pozostają bez odpowiedzi. Jedni patrzą na mnie bezmyślnie i milczą, inni mrucząc coś pod nosem, odchodzą, wlokąc nogi za sobą. Z kobietami, nie znającymi międzyszczepowego narzecza, wogóle dogadać się nie mogę.

Postanawiam więc obejść się bez nich.

Przedewszystkiem polecam moim ludziom, aby nie dotykali żadnego pożywienia we wsi, nie pili wody i czekali na mnie na drodze, paręset metrów za osadą.

Następnie, razem z moim konwojowym kapita, zaczynam obchodzić wszystkie chaty po kolei, zaglądając do środka.

Część domów jest pusta. W innych siedzą lub leżą chorzy i konający, zarówno mężczyźni, jak kobiety i dzieci. Charakterystyczny, mdły zaduch bije z wnętrza chat brudnych i niezamiecionych. Izby i zagrody zanieczyszczone są ludzkimi odchodami, których nikt nie usuwa. Muchy, motyle i różne owady krążą wokoło roznosząc zarazek.

W jakiejś chacie znajduję matkę, jakby skamieniałą nad trupkiem dziecka, które trzyma na ręku, w innej znów tłum płaczek zawodzi około rozkładającego się już nieboszczyka, który według tradycji musi odleżeć określoną ilość dni, zanim zostanie pochowany.

Resztki chlebów maniokowych, garnki od warzenia posiłku leżą zapomniane obok ekskrementów...

Wreszcie zjawia się naczelnik wsi. Twarz na policzkach i czole ma wysmarowaną białym kaolinem na znak ciężkiej żałoby. Staje nie witając mnie i unikając mojego wzroku.

Wyjaśniam, poco tu przybyłem i staram się przekonać go o konieczności zamiecenia chat i zagród oraz pochowania niezwłocznego zmarłych. W końcu dodaję, że najdalej za trzy dni przybędzie tu lekarz i przywiezie odpowiednie lekarstwa.

Naczelnik podniósł po raz pierwszy na mnie swój wzrok i głosem zachrypłym od tłumionego gniewu odpowiedział:

— „Nie chcemy tutaj ani ciebie, ani lekarza białych ludzi. Chcę, abys stąd już poszedł”.

Rzeczywiście nie miałem co tutaj robić.

W kilka dni później przybył do wsi doktor G. Natrafił na zdecydowany opór tubylców. Udało mu się jedynie przy pomocy swej eskorty, zniszczyć i spalić kilka najbardziej zanieczyszczonych chat i zdezynfekować szereg zagród kreoliną i karbolem.

Wobec wrogiej postawy murzynów, musiał w pośpiechu wieś opuścić, niedokończywszy swej pracy.

Władze terytorjalne wysłały potem do Malembe gońca - żołnierza z rozkazem przeniesienia chorych do szpitala i oczyszczenia wszystkich domów, żołnierz jednak został przez tubylców dotkliwie pobity i ledwo uszedł z życiem.

Władze stwierdziwszy, że tubylcy odmawiają przyjęcia pomocy lekarskiej, na tem poprzestali...

A we wsi, oddanej na pastwę epidemji i guseł, połowa mieszkańców wymarła w ciągu paru tygodni.

Działo się to w grudniu 1926 r. w okolicy, oddalonej zaledwie o parę dni marszu od wzorowo urządzonego szpitala.

* * *

Niewesołe było to moje trzecie i ostatnie w Kongo Boże Narodzenie, spędzone samotnie w głębi kraju przy silnych objawach febry.

Na krótko przed świętami zabłądziwszy z moimi ludźmi, którzy nie znali dostatecznie okolicy, przeszedłem pieszo i bez odpoczynku przestrzeń około 35 klm., wdzierając się na zbocza płaskowzgórz, gdzie słońce prażyło niemiłosiernie lub schodząc w cieniste i wilgotne doliny o wysokich spadzistych ścianach.

Dopiero na krótko przed zachodem słońca udało nam się znaleźć drogę, która będąc szerszą i lepiej wydeptaną od innych, wskazywała na bliskość wsi.

Ciemno już było, gdy ujrzelśmy ogniska. Miałem na noc schronienie zapewnione.

Następnego ranka opuściliśmy Jenge - Jenge, prowadze-



ni przez tubylcę, aby w tych górzystych stronach znów kierunku nie zmylić. W drodze spotkała nas burza. Zmoczony do suchej nitki, już z gorączką, doszedłam do Kaszimba.

We wsi ani żywej duszy. Mieszkańcy uciekli przedemną, zostawiając jednak nieco żywności, co pozwoliło mi spo-

kojnie przeleżeć dni parę. Ludzie moi nie mieli coprawda zbyt wiele do jedzenia, ale jakoś nie szemrali, co do mnie, to wogóle niczego nie potrzebowałem. Herbata i sucharki stanowią jedyne pożywienie Europejczyka w okresie ataku febry.

Gdy po czterech dniach nastąpiło polepszenie, kazałem się nieść w tipoju do wsi Kajunda, skąd już tylko dwa etapy dzieliły mnie od rzeki Kasai i Lumbundzi, gdzie od Nowego Roku rozpocząć miałem cięcie lasu pod plantację. Nowe brygady robotników czekały już na mnie. Należało z powrotem nie zwlekać.

Dnia 3. stycznia 1927 r. zapuściłem się w dymiącą jeszcze po nocnej ulewie puszcę. Dwóch roślących murzynów wycina maczetami przejście wśród kołących krzewów i ljan. Idę z kompasem w rękę za nimi. Linja ma biegnąć z północy na południe: powstanie tu kiedyś główna droga na plantacji. Kiedyś, gdy las padnie...

Co chwila wołam:

- „Maboko ja makaszi“! (po kobiecej ręce = na lewo).
- „Maboko ja mulume“! (po męskiej ręce = na prawo).

Takim jest zawsze początek burzenia puszczy. Potem przychodzą brygady robotników, które wycinają z jednej i drugiej strony tego tunelu wszystko, co się da nożami wyciąć, a gdy już przestrzeń paru hektarów jest w ten sposób oczyszczona z krzewów i zielska, idą znów inne, do cięższej pracy z siekierami.

Wtedy las napętnia się groźnym hukiem i wrzawą.

Suche uderzenia toporów o twarde pnie, okrzyki i śpiewy rębaczy, wrzask spłoszonego ptactwa oraz piski i gdańskie małp, głośniejsze od czasu do czasu potężny huk walących się olbrzymów, które w swym upadku pociągają za sobą słabsze drzewa, o podciętych już poprzednio pniach.

Wraz z nocą spada na to dziwne pobożowisko cisza. Skoro świt, okrutna walka człowieka z odwieczną puszcza znów się rozpoczyna.

I trwa ten pogrom miesiące, nawet lata. Wygląd okoli-

cy się zmienia. Na setkach hektarów, gdzie niedawno jeszcze drzemał las, wre życie. Porozsiadały się gęsto domki robotnicze i domy plantatorów. Równe, szerokie drogi, obejmują symetrycznie wykreślone pola.

Widząc tę cudowną zmianę, ten tak widoczny rezultat ludzkiego wysiłku, nie można stłumić w sobie radosnego uczucia dumy, że ten szmat ziemi, dzięki nam, kolonistom, pozyskany został ostatecznie dla wielkich celów ekspansji gospodarczej i postępu.

* * *

ROZDZIAŁ IV.

NIECO O FAUNIE I POLOWANIU

Różne kategorie myśliwych. — Łowy w puszczy i w stepie. —
Bawół. — Słoń. — Hipopotam etc. — Moskit i Tse - Tse.

W tym celu należało przede wszystkim zbadać, czy i w jakiej mierze
właściwości fizyczne i chemiczne, które są charakterystyczne dla
substancji, które są przedmiotem badań, są takie same, jak dla
substancji, które są przedmiotem badań, i czy w tym celu należy
zastosować metody, które są odpowiednie do badania tych właściwości.
W tym celu należało przede wszystkim zbadać, czy i w jakiej mierze
właściwości fizyczne i chemiczne, które są charakterystyczne dla
substancji, które są przedmiotem badań, są takie same, jak dla
substancji, które są przedmiotem badań, i czy w tym celu należy
zastosować metody, które są odpowiednie do badania tych właściwości.

ROZDZIAŁ II WŁAŚCIWOŚCI FIZYCZNE I CHEMICZNE

Właściwości fizyczne i chemiczne substancji są takie same, jak dla
substancji, które są przedmiotem badań, i w tym celu należy
zastosować metody, które są odpowiednie do badania tych właściwości.



Każdy statek, odchodzący z Antwerpji do Konga, daje schronienie na przeciąg blisko 3-ch tygodni grupie podróżnych, która nie jest niczem innym, jak społeczeństwem kongolańskim w minjaturze. Widzimy tam ludzi z różnych stanów, różnego wieku, różnych zawodów i różnej wartości moralnej. Inżynierowie i majstrowie, lekarze i sanitariusze, misjonarze i aferzyści, plantatorzy i biuraliści, kupcy, funkcjonariusze państwowi, wojskowi, ex-miljonerzy na dorobku i zbankrutowani dorobkiewiczze, wyzyskiwacze i wyzyskiwani, blagierzy i łatwowierni...

Wśród tej ostatniej kategorii naczelne miejsce zajmują pseudomyślni i ich audytorjum, złożone zazwyczaj z młodych i nieznających Afryki emigrantów. Pierwsi opowiadają niestworzone rzeczy, a drudzy im wierzą. Informacje tych Nemrodów są zwykle bardzo nieścisłe, a nawet fałszywe.

Punktem honoru, wyruszających po raz pierwszy do Afryki emigrantów jest zaopatrzenie się przed wyjazdem w karabiny, dubeltówki i rewolwery. Wyobrażają oni sobie, że wystarczy wejść do lasu, aby spotkać słonia, a do wsi murzyńskiej, aby zetknąć się z tłumem ludożerców, czyhających na życie ludzkie. Jedni, wyznaczeni do miast lub na posterunki, gdzie nie mają ani czasu, ani sposobności polowania, już po paru miesiącach wyzbywają się z żalem i... ze stratą, tego nieużytecznego i rdzewiejącego w szafach kompletu broni. Inni, szczęśliwsi, osiedleni w głębi Kolonji, nie zwlekają z wyruszeniem na łowy, oczywiście na grubego zwierza i okrywają się śmieszno-

ścią już przy pierwszej wyprawie, tak w oczach europejczyków jak i tubylców. Natknąwszy się na pierwsze trudności i zawarłszy niemiłą znajomość z zawodem, zniechęcają się szybko do tego rycerskiego sportu i, co gorsza, padają często ofiarą swego niedoświadczenia i zarozumiałości.

Kongo posiada jednak i prawdziwych Nemrodów. Spalona słońcem i wysuszona gorącym oddechem stepu skóra na twarzy i piersiach świadczy o latach, przeżytych w krajach tropikalnych. Nazwiska ich podawane są z ust do ust; są to myśliwi starej daty i dobrej marki.

Mało mówią oni o sobie a jeszcze mniej o swych przygodach. Trzeba zdobyć ich zaufanie, zawrzeć z nimi bliższą znajomość, aby usłyszeć coś niecoś z ich myśliwskiego życia. Są skromni, choć liczą zabite słonie, hippopotamy i bawoły na setki.

Oczywiście, że tylko oni mogą nam dać cenne informacje i wskazówki odnośnie do polowania w Afryce. Oni tylko powinni posiadać przywilej opowiadania myśliwskich przeżyć, bo gdyby nawet ktoś bardzo skrupulatny znalazł w tych opowieściach nieco fantazji i hyperboli, nie zmniejszyłoby to w niczem ich wartości zasadniczej.

W ciągu blisko 30-miesięcznego pobytu w głębi Kolonii, niejednokrotnie miałem sposobność przebywania wśród wytrawnych łowców. Zawdzięczam im nie tylko zdobycie pewnego doświadczenia myśliwskiego, ale przede wszystkim wiele bardzo cennych wskazówek teoretycznych, które zachowuję w pamięci jako nienaruszalne przykazania.

* * *

Kongo położone jest w strefie fauny etiopijskiej. Nie jest ona jednak na całym obszarze Kolonii jednolita i, podobnie jak klimat i roślinność, wykazuje pewne różnice w miarę zbliżania się lub oddalania od Równika.

Puszcza ekwatorialna, do której wpływają liczne rzeczki i strumienie, biegnące z wyżyn i gór, z południa, północy i wschodu, — sawanny, pokryte trawą i skarłowaciałymi drzewami, — i wreszcie, rozpościerające się na pograniczach Kolonji, stepy, ubogie w roślinność i wodę, — oto trzy różne ojczyzny różnorodnej fauny kongolańskiej.

Nie mówiąc już o słońiach, bawołach, antylopach, hippopotamach, lampartach, gorylach i szympanсах, posiada Kongo jeszcze inne, bardzo rzadkie okazy fauny jak: okapi, biały nosorożec, żyrafa.

Lew żyje na południo-wschodzie i północy Kolonji. Zapuszcza się on jednak i w bardziej odległe strony, gdzie tubylcy nie znają go nawet z imienia. N. p. w maju 1926 r. sygnalizowano jego obecność w głębi kraju Baszilele, 5 dni marszu od Basongó.

Gatunki ptactwa są również bardzo różnorodne. Pospolite są: orły, sępy, krogulce, sroki, papugi, pelikany, ibisy, żorawie, bażanty, kaczki, perlice i kuropatwy. Bardzo poszukiwane są egrety.

Owadów istnieją tu setki gatunków i setki odmian. Poznanie choćby części tego świata wymaga specjalnych studiów i oczywiście zamięłowania, dość zresztą rzadkiego wśród osadników.

Mistrzem mym w dziedzinie ichtjologii był mój kucharz. Wiomości więc moje zawarte są ściśle w granicach wiedzy murzyńskiej i... kulinarnej. Mogę jedynie zapewnić, że istnieją gatunki ryb przewybornych. Bezościste i delikatne w smaku, stanowią dania iście królewskie.

* * *

Można przebyć Kongo wszerz i wzdłuż i nie ujrzeć ani połowy z żyjących tu okazów. Rozmiary świata roślinnego są głównym tego powodem. Puszcze i lasy, stojące w gąszczu krzewów i oplątane siecią lian, sawanny, pokryte trawą, której wysokość przekracza niejednokrotnie nor-

malny wzrost człowieka, stwarzają dla wzroku pole ograniczone i kryją jak za parawanem, często w nieznaczej odległości, liczne stada grubego zwierza. Polowanie w lesie jest więc z tego powodu mało praktykowane i bardzo utrudnione. Trzeba znać dobrze puszcę, badać dłuższy czas szlaki, któremi gruby zwierz chodzi i czatować na niego w ukryciu. Ideałem jest sawanna okolic falistych, gdzie, z punktów bardziej wzniesionych, można obserwować okolicę i zbliżyć się do zwierza pod osłoną traw.

Jednak ujrzeć go niełatwo, gdyż zazwyczaj uchodzi przed człowiekiem i stroni od dróg bardziej uczęszczanych, żerując zdala od siedzib ludzkich lub spoczywając w odlętych, często niedostępnych legowiskach.

Najlepiej nadaje się do strzału ze stanowiska pora wschodu słońca, gdyż zwierzyna uprzywilejowanym szlakiem podąża do wody. Tropienie zwierzyny podczas dnia należy do bardzo uciążliwych ze względu na gorąco i otaczające myśliwego chmury much i drobnych owadów, czepiających się wilgotnej skóry i boleśnie kłusujących.

Jest się czasem zmuszonym znosić cierpliwie ich towarzysztwo, nie opędzać się zbyt energicznie i odsuwać ostrożnie, bez szelestu, ostre trawy i kolące gałęzie krzewów — wszystko aby zwierza nie spłoszyć.

Wreszcie, ujrawszy go, trzeba podwoić ostrożność, aby móc zbliżyć się doń na odległość strzału, sprawdzając ustawicznie, czy zwierz jest jeszcze na tym samym miejscu, obserwować jego zachowanie się, kierunek wiatru i wreszcie zatrzymać się na stanowisku, dogodnym dla strzału i... dla odwrotu.

Myśliwy winien przyjąć i stosować zawsze zasadę strzelania z normalnej odległości, nie tylko dlatego, że wyczerpawszy lekkomyślnie zapas nabojów, na nowy ich transport czekać musi miesiącami, ale przede wszystkim dla zabezpieczenia się od niespodzianek mało celnego strzału. Gruby zwierz, ciężko nawet ranny, w przedśmiert-



Górzyste sawanny

23847/II



nym wysiłku umie podnieść się z klęczek i przejść do ataku.

Murzyni są nieocenionymi przewodnikami na łowach. Uczą nas rozróżniać ślady i głos zwierząt, zapoznają nas z ich zwyczajami i wreszcie są naszymi mistrzami w sztuce..... chodzenia, patrzenia i słuchania. Oni ostrzegają nas w porę, prowadzą umiejętnie pod wiatr, aby zwierz nie zwietrzył nas przedwcześnie, oni dają nam dobry przykład cierpliwości i ostrożności. Oczywiście, że usługi te oddać nam mogą jedynie tubylcy z ras myśliwskich.

Aby jednak stać się uczniem pojętym i fizycznie wytrzymałym, trzeba poznać język tubylców danej okolicy i przyzwyczaić się do trudów życia pod namiotem, do życia „en brousse”.

* * *

Polowanie na bawoły należy do najbardziej emocjonujących i klasyfikowane jest bardzo wysoko bo obok łowów na lwy i tygrysy.

Z reguły jest ono przywilejem jedynie wytrawnych i nieustraszonych nemrodów, którzy w drodze wyjątku, a zawsze niechętnie, pozwalają mniej, lub mało doświadczonym myśliwym towarzyszyć sobie w tych wyprawach. Niejeden bowiem, i to dobry strzelec, znalazł kres swego życia na rogach bawolich. W ten sposób zginął w 1922 r. u brzegów jeziora Chari, lotnik Latham.

Czarne i brązowe bawoły kongolańskie są względnie niewielkie, ale silne i, pomimo ociężałego wyglądu, bardzo zwinne. Uzbrojone są w krótkie, lekko zakrzywione rogi. Żyją w stadach, liczących kilkadziesiąt, sto, a nawet więcej głów.

Spotyka się nierzadko i oddzielne rodziny, złożone z samca, kilku samic i młodych, oraz sztuki pojedyncze i pary.

Obecność bawołów zdradzają często dziwne ptaki t. zw.

„becs-rouges“, które oczyszczają z robactwa bawole karki i grzbiety, oraz specjalny gatunek much, obsiadających świeży „bouse“ bawołu i składających na nim jajka.

Bawoły prowadzą żywot koczowniczy: dziś tu, jutro tam... Wybierają strony obfitujące w wodę, której są dużymi konsumentami. Niepłoszone przechodzą z jednej okolicy do drugiej powoli, pasąc się, żując i wylegując w trawach w dnie upalne. Niezaczepione nie atakują nigdy, wyjątek stanowią t. zw. solitery, czyli sztuki usunięte ze stada, które cechuje niezwykła złośliwość.

Bawoły posiadają węch, wzrok i słuch fenomenalny, a sen niezwykle lekki. Rzadko udaje się podejść stado bliżej jak na 100 — 150 mtr. Zresztą utrzymanie pewnej odległości jest raczej wskazane ze względu na bezpieczeństwo strzelca. Im stado jest mniejsze, tem zachowanie ostrożności bardziej jest wskazane. Należy zaczynać od samca i mierzyć w głowę, kolumnę lub za łopatkę. Należy również zapewnić sobie ewentualny odwrót (drzewo, termitiera).

Spotkawszy stado duże, można bez obawy strzelać w gromadę, gdyż niewątpliwie znajdzie się sztuka, bardziej płochliwa, która ruszy do odwrotu, pociągając za sobą matki z młodymi i skłaniając do ucieczki już sposobujące się do ataku samce. Gdy jednak pierwszy strzał takiego skutku nie wyrze i stado, miast uciekać, zacznie grzebać racicami ziemię, parskać i wznosić ogony, nie wahajmy się ani chwili wysłać w ich kierunku jeszcze jedną i jeszcze jedną kulę.... Znajdzie się wreszcie tchórz, który da hasło do ucieczki i za którym reszta stada pójdzie owczym pędem.

O ile na polu, opuszczonem przez bawoły, pozostanie sztuka śmiertelnie ugodzona i nieruchoma, wyślijmy z odległości conajmniej 40 metrów kulę i zrepetyjmy karabin po tym strzale. Bawół może być tylko ogłuszony, a ugodzony nawet śmiertelnie umie na minutę przed zgonem

zerwać się z ziemi i błyskawicznym ruchem głowy zmiażdżyć kolana lub biodra przeciwnika, który lekkomyślnie do niego się zbliżył.

Jeżeli w stadzie, które uszło i kryje się w lesie lub wysokich trawach, znajduje się ranna sztuka, odnajdziemy bez trudu, na szlaku, którym pobiegło stado, ślady krwi. Należy je zbadać starannie, aby wyjaśnić się o miejscu, rozmiarach i charakterze zadanej rany, co uczyniwszy, wchodzimy w drugą fazę polowania, najniebezpieczniejszą: pościg za rannym zwierzem.

O ile trawy są wysokie, nie wyruszamy bez eskorty 2—3 tubylców uzbrojonych, bowiem ich wzrok i słuch niechybnie ułatwi nam zadanie. Nie koncentrujemy uwagi w jednym kierunku. Trzymajmy broń w pogotowiu.

Bawół przebiega często, mimo otrzymanej rany, znaczne przestrzenie. Nie jest to jednak ucieczka na oślep. Wiedziony rozbudzonym instynktem samoobrony i zemsty, bawół zmienia kierunek co chwila i wyszukuje miejsca, gdzieby ślad jego przejścia mógł niezwłocznie zagaść, np. łożysko strumieni, gdzie idzie z biegiem wody.

Gdy mu się uda zdezorjentować pościg, zaczyna on z kolei tropić myśliwego i niejednokrotnie atakuje go w chwili i miejscu, gdzie jest najmniej spodziewany.

Naciera z podniesioną głową i ogonem, parskając rozdętymi chrapami. O ile celny strzał nie zwali go u stóp myśliwego, bawół schyla czoło i bije nim w dolną część brzucha lub kolana swej ofiary, następnie chwytą ją na rogi i podrzuca w górę, jak piłkę, wielokrotnie i tak długo, dopóki sam, wyczerpany ucieczką, wpływem krwi i wreszcie tą ostatnią walką, nie legnie obok bezkształtnej masy ludzkiego ciała...

Każde stado ma swoją wartość, złożoną ze starych samców, które czuwają nad bezpieczeństwem wszystkich. Często w łonie tego bawolego społeczeństwa odbywają się krwawe zapasy. Są to walki o samice lub usuwanie niepożądanych jednostek ze stada... Ostracyzm wśród bawo-

łów niewątpliwie istnieje, dowodem tego są samce, które chodzą w pojedynkę, kryjąc w swem bydlęcem sercu tyle złości i nienawiści, że atakują człowieka, ilekroć spotkają go na swej samotnej drodze.

* * *

Na słonie można polować jedynie za specjalnem pozwoleniem, które kosztuje drogo i upoważnia do zabicia tylko 2-ch sztuk pełnoletnich. Myśliwy zobowiązuje się równocześnie do uszanowania szeregu przepisów, które w ostatnich latach władze musiały wydać, aby ukrócić praktykowane jeszcze do niedawna, nadużycia i masowe „mordowanie” słoni.

Statystyka stwierdza, że szkody, wyrządzone w tej dziedzinie bogactwa kolonialnego, przez myśliwych - spekulantów i murzynów, wielkich amatorów mięsa, będą nieprędko wyrównane.

Rocznie pada w Kongo mniej więcej zawsze ta sama cyfra słoni t. j. około 20.000 sztuk, jednak waga zębów spada z roku na rok, co dowodzi, że stare słonie, uzbrojone w duże i bardzo poszukiwane na rynku kości słoniowej kły, są coraz rzadsze i że w ich braku, poluje się na zbyt młode.

W pewnych dzielnicach i murzyni nie mogą polować na słonie bez zezwolenia władz. W tym wypadku muszą i oni stosować się do wyżej wspomnianych przepisów.

Są to jednak półśrodki.

Polowanie na słonie, — chcąc naprawić zło choć w części — powinno być na przeciąg lat 50-ciu zawieszone bezwzględnie i bez wyjątków. Ten długi okres przerwy byłby koniecznym zważywszy, że samica dochodzi do pełnoletności między 25. a 30. rokiem i nosi płód podobno lat 9.

Słonie kongolańskie są drobniejsze od azjatyckich. Charakteryzuje je prawie zupełny brak czoła, wielkie uszy



Na tropie ..

23847/II



i duża złośliwość. Wbrew powszechnej ale fałszywej opinii, oswajają się równie dobrze, jak słonie innych ras i lądów. W miejscowości Api, w Prowincji Wschodniej, prowadzona jest hodowla i tresura słoni, zastosowana do potrzeb rolnictwa tej dzielnicy, gdzie widzi się oswojone olbrzymy zajęte orką, przenoszeniem belek i zaprzężone do wozów.

Istnieją trzy gatunki słoni w Kongo: duże, żyjące w sawannach, mniejsze leśne oraz skarłowaciałe, które zamieszkują wewnątrz puszczy podrównikowej.

Słoń kongolański żyje rodzinami, które często w swych podróżach, — bo pamiętajmy, że słoń jest niestrudzonym „piechurem”, — łączą się w stada nieraz bardzo liczne. Słonie idą zawsze gęsiego, czasem w dwóch lub trzech szerebach. Dziwne wrażenie robią te karawany, obserwowane z pewnej odległości. Olbrzymy idące ociężałe, krokiem majestatycznym, miarowym, ze spuszczoneymi łbami, jakby zaabsorbowane jakąś ważną, smutną myślą, wydają się przychodzić z bardzo, bardzo daleka i iść ku odległym i tajemniczym celom...

Słoń jest prawie ślepy, ale posiada węch i słuch niezwykle czuły; potężne jego uszy i trąba w ciągłym są ruchu.

Przejściu słoni towarzyszy charakterystyczny chrzęst i tętent. Podchodząc je z dobrym wiatrem, zdaleka już czuje się przykry, ostry zapach ich potu. Ślady, jakie pozostawia po sobie, są również łatwe do rozeznania: w lesie pozostawia połamane krzewy i gałęzie, na drodze i błotnistych wybrzeżach odciski olbrzymich nóg, a w stepie wygniata w charakterystyczny sposób trawę, możnaby sądzić, że przeszedł teędy ktoś, wlokąc za sobą ciężką i szeroką belkę.

Słonie, o ile pozostawia się je w spokoju, trzymają się jednej okolicy i posiadają swe szlaki, któremi stale chodzą. Często jednak, bądź spłoszone, bądź z innej przyczyny, zbaczają ze swej drogi i przebijają sobie nowe przejście przez gęstwinę leśną. Trzeba widzieć spustosze-

nie, jakie po sobie pozostawiają, aby zdać sobie sprawę z ich siły niezwyklej: krzewy podeptane i zmiażdżone, grube konary połamane jak słomki, drzewa — często o okazałej średnicy — powywracane i powyrywane z korzeniami.

Słonie niszczą również plantacje manioku, kukurydzy i patatów — wtedy można do nich strzelać i bez pozwolenia uprzedniego władz kolonialnych, — niestety jestto jeszcze jeden pretekst do nadużyć.

Słonie w nocy zbliżają się do plantacji i wsi murzyńskich, a ryk ich szerzy zawsze panikę wśród tubylców. Rozpala się wtedy wielkie ogniska w celu odstraszenia niepożądanych gości.

Strzał do słonia nie należy do łatwych; gdyż pole celu jest bardzo ograniczone: tuż poza przednią łopatką dość nisko (serce), w czoło, lub między uchem i okiem (mózg).

Słoń ranny, zazwyczaj wycofuje się z walki i... ucieka. Atakuje natomiast często przed strzałem, skoro tylko zwierzy niebezpieczeństwo i bliskość człowieka. Wtedy oczywiście role się zmieniają...

Słoń żyje ok. 150 lat. Czując zbliżający się koniec opuszcza rodzinę i wyrusza w ostatnią podróż, kierując się ku dalekim, wielkim bągom, gdzie dobrowolnie się grzebie. O ile w drodze siły go zawiodą, inne słonie zaciągają go do tego dziwnego cmentarza, umożliwiając mu wykonanie tego, wymaganego przez tradycję, samobójstwa.

Tak informują nas tubylcy, — i rzeczywiście, faktem jest, że znajdowane szkielety były dotąd zawsze szczątkami słoni, które padły od kuli lub ran, zadanych przez człowieka...

* * *

Rzeki kongolańskie słynęły ongiś z wielkiej ilości hipopotamów. Polowało się jednak na nie i poluje dziś jesz-

cze bardzo dużo, tak że z pewnych okolic zniknęły już całkowicie.

Koń wodny jest olbrzymem, ważącym półtora do dwóch i pół tonn. Posiada wielki, prostokątny łeb i małe oczy i uszy. Szczęki uzbrojone ma w wielkie, potężne zęby, które w handlu używa się do wyrobu przedmiotów artystycznych, imitujących kość słoniową.

Skóra hipopotama, niezwyklej grubości, jest naturalnym pancerzem tego stworzenia. wysuszona umiejętnie twardnieje, nie tracąc jednak elastyczności i służy do wyrobu lasek i szpicrut.

W nocy hipopotam żeruje na wyspach, pokrytych wysoką trawą. Zapuszcza się on i w głąb łąd niszcząc planacje. We dnie lubi spać w stadach na wodach płytkich, u brzegów. Można wtedy, płynąc w pirodzie z biegiem rzeki i odłożywszy wiosła, aby ich pluskiem nie spłoszyć, zbliżyć się do nich na odległość kilkunastu metrów. Hipopotamy lubią przebywać także w głębinach na dnie rzek. Wypływają one jednak co pewien czas dla zaczerpnięcia powietrza. Wychylając głowy ponad powierzchnię wody, obserwują co się na rzece dzieje. Hipopotamy bowiem są bardzo ciekawe i ciekawość swą posuwają aż do nieostrożności. Można ich przynęcić bardzo blisko, wywieszając np. na kiju barwną, jaskrawą chustkę lub poruszając ręką jak wahadłem.

Trzeba umieć skorzystać z momentu, zazwyczaj dość krótkiego, kiedy głowa hipopotama wychyli się z wody, aby ułokować kulę w mózgu, który w tym wielkim cielsku zajmuje skromny kącik na szczycie czaszki. Stąd i pole strzału jest rozpaczliwie małe: oko, ucho, czoło. Punkt — serce — nie bierze się oczywiście w rachubę, gdyż jest zazwyczaj pogrążony w wodzie.

Poluje się na hipopotamy również i na lądzie, oczekując ich przed zmierzchem. Niejednokrotnie łądują one z opóźnieniem, już po zachodzie słońca, wskazanem więc

jest wyruszać na te łowy w okresie pełni księżyca i polować przy jego bladym świetle.

Koń wodny, pomimo dość powszechnej opinii, przypisującej mu usposobienie łagodne i tchórzliwe, niejedno-



Głowa hipopotama

krotnie atakuje wątle pirogi tubylcze, wywraca je i rzuca się na wiosłarza, kopiąc go potężnymi łapami.

Na lądzie jest mniej pewny siebie. Ranny ucieka i kryje się w nurtach rzeki. Wskazanem jest jednak zachowanie ostrożności niemniejszej, jak podczas łowów na innego grubego zwierza. Nie należy zbliżać się do hipopotama od strony wody ale od wnętrza ładu czy wyspy. Ostrożność ta, o ile okoliczności na jej zachowanie po-

zwolą, nie jest bez podstaw, zwłaszcza, gdy strzelamy do stada. Ranny hipopotam, a za nim inne, spłoszone strzałem, biegnąc ku rzece, nie mają zwyczaju omijać tak słabej przeszkody, jaką jest człowiek. Hipopotam, spotkawszy go na swej drodze, przewraca i przechodzi po nim, jak żywy tank. Trzeba być wybrańcem losu, aby z takiego zdarzenia wyjść bez szwanku.

Hipopotam zabity w wodzie idzie na dno, jak kamień i wypływa dopiero po kilku godzinach z potwornie wzdętym brzuchem. Pełny żołądek i wysoka temperatura wody sprzyjają wytwarzaniu się gazów i szybszemu wypłynięciu olbrzyma na powierzchnię wody.

Ranny nawet ciężko, żyje niejednokrotnie dłuższy czas, ukrywając się przed myśliwym, który go tropi.

Znam wypadek, że hipopotam ranny przy pierwszym strzale i ścigany w ciągu trzech dni następnych przez wysmienitego strzelca, unieruchomiony został dopiero siedemnastą kulą, która rozsadziła mu mózg. Głowa i część szyji podziurawione były jak rzeszoto, gdyż piętnaście strzałów było celnych, ale nie naruszywszy mózgu, nie mogły być śmiertelnymi.

* * *

Tubylcy polują na hipopotamy jeszcze w bardzo prymitywny sposób, podobnie jak i na słonie.

Kopią oni wielki dół na szlaku, którym te zwierzęta przywykły przechodzić i wbijają w dno jego cały systemat pali, różnej wysokości i grubości. Otwór takiego „wilczego” dołu pokrywają tubylcy bambusami i liśćmi i zamaskowują cienką warstwą ziemi.

Słoń lub hipopotam, wszedłszy na ten zdradziecki pomost, załamuje się i wpada do wnętrza, nadziewając się na ostre pale.

Jeszcze więc jedno ostrzeżenie pod adresem tych, co zapuszczają się bez przewodnika na drogi, wydeptane przez grubego zwierza.

Opowiadano mi, że kiedyś pewna młoda murzynka, której starsi nie uważali za stosowne wtajemniczyć w bieżące sprawy myśliwskie, znalazła tragiczną śmierć w takim dole.

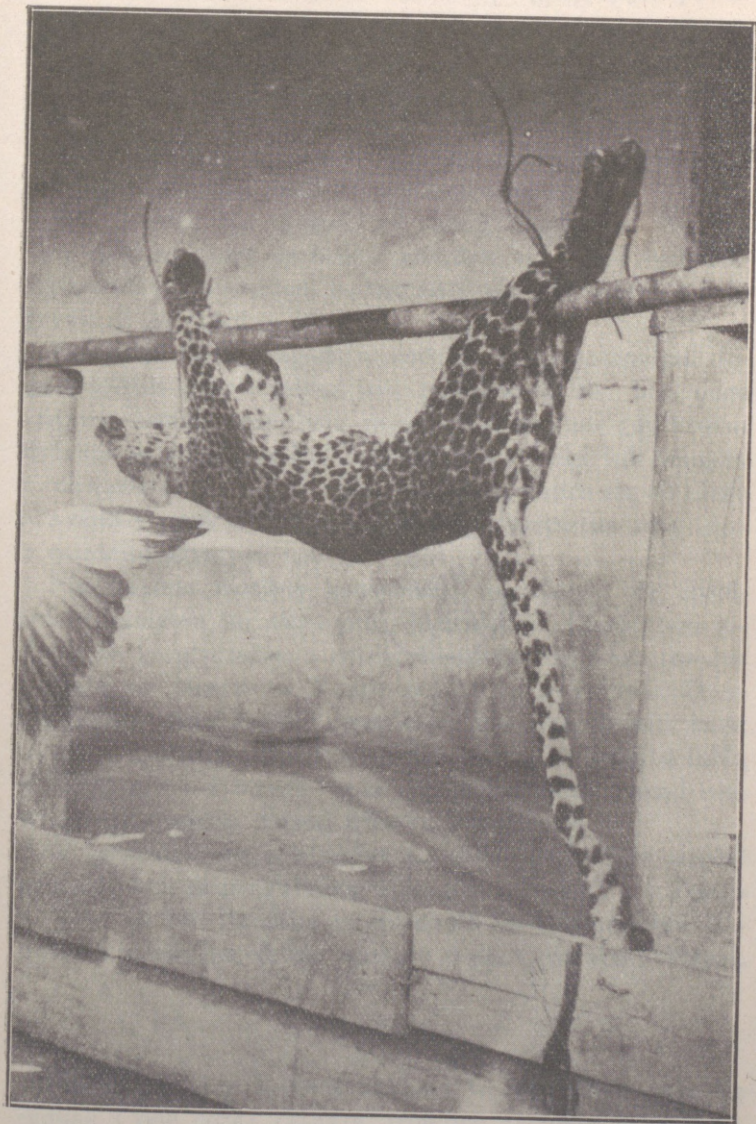
Na wyspach i wzdłuż trawiastych wybrzeży widzi się jeszcze inny rodzaj matni. Są to zbudowane z belek rusztowania, mające kształt szubienic. Krajowcy ustawiają je w sąsiedztwie miejsc, gdzie hipopotamy lądują. Ze środka górnej, poziomej belki zwiesza się ciężki, ostry pal, przyczepiony do niej za pomocą sznurów, połączonych z ziemią w ten sposób, że gdy hipopotam wejdzie do tej bramy, poruszając liny, pal spada mu na kark lub grzbiet, przygważdżając go do ziemi. Wówczas murzyni dobijają go dzidami i maczetami.



Trudno przewidzieć wszystkie sytuacje, w jakich myśliwy polujący na grubego zwierza może się znaleźć. Ewentualność niespodzianki istnieje zawsze, gdyż, powtarzam, pole widzenia myśliwego jest prawie zawsze bardzo ograniczone. Bawół czy hipopotam może się znajdować o krok od człowieka, oddzielony od niego murem wysokich, gęstych traw lub krzewów. Zjawienie się jego tuż przed myśliwym może być tak nieoczekiwane, że nie mając czasu do stracenia, strzela z pod ramienia, z pozycji w jakiej zwierny go zaskoczył.

Jasne jest, że w takich warunkach, wszystkie rady i wskazówki dawane początkującym myśliwym mają tylko względną wartość i nie mogą ustrzec go od możliwych a niepożądanych przygód i wypadków. Teoria jedynie w wieloletniej praktyce nabiera elastyczności i da się stosować przy każdej okazji.

Dokładna znajomość topografii kraju, w którym polujemy oraz sympatja naszych czarnych przewodników, którą dobrze jest zaskarbić sobie zawczasu sowitemi upomin-



Lampart

23897/12



kami, wytworzą niechybnie warunki, sprzyjające powo-
dzeniu.

* * *

Krokodyl żyje w przykładowej zgodzie z hipopotamami i wyleguje się obok nich na płytkich wodach.

Gdy jednak los sprawi, że ranny hipopotam nie mający dość siły aby się bronić znajdzie się wśród tych ziemno-wodnych stworzeń, będzie on przez nie dobit i... obgryziony do kości.

Krokodyl żyje w zgodzie nie tylko z hipopotamami. Jego wielkim przyjacielem jest podobno t. zw. bec-rouge (zwany również pospolicie pic-boeuf). Ptak ten, gdy krokodyl śpi w gorące południe na brzegu rzeki lub wyspie, z rozwartą paszczą i pełnym żołądkiem, zbliża się do niego bez obawy i ostrym swym dziobkiem... oczyszcza zęby jego z ostatniej krwawej uczty.

Nie miałem niestety sposobności przekonać się osobiście o istnieniu tej niezwyklej konfidencji. Powtarzam jedynie to, co słyszałem z ust wielu osadników i krajowców.

Mało się jeszcze w Kongo poluje na krokodyle. Dużo się jednak przy każdej sposobności do nich strzela, bądź z pirogi, płynąc wzdłuż łąw piaszczystych, na których lubią się wygrzewać i trawić, bądź z pomostu statku, skąd nie trudno je dostrzec wśród traw nadbrzeżnych.

W ostatnich czasach popyt na skóry krokodyle wzrósł silnie, to też, za przykładem kolonji francuskich i w Kongo-myśliwi zaczęli bardziej interesować się krokodylami, zamieszkującymi wszystkie większe rzeki Centralnej Afryki.

* * *

Pewne dzienice Kolonji obfitują w lamparty; stają się jednak i one coraz rzadsze, tropione zaciekle przez krajowców, raczej dla zysku niż ochrony, gdyż europejczy

nabywają piękne skóry lamparcie bardzo chętnie, płacąc zazwyczaj nieusprawiedliwienie wysokie ceny.

Lampart żyje parami lub pojedynczo. Wychodzi na żer tylko po zachodzie słońca. Głód czyni go niezwykle śmiałym. Zapuszcza się on wtedy aż do środka wsi lub osady, porywając psy, kury, a nawet dzieci.

Właśnie dlatego, że napada w mrokach, jest lampart przeciwnikiem groźnym. Podróżowanie nocą nie jest nigdy wskazaniem i europejczyk spotyka się zawsze z energicznym oporem tubylców-tragarzy, jeżeli wyrusza w drogę przed wschodem słońca lub po jego zachodzie.

Lampart jest większym i posiada głowę masywniejszą od pantery. Atakuje z ziemi, rzadziej z drzewa, które, wbrew powszechnemu przekonaniu, nie jest bynajmniej uprzywilejowanym schronieniem i miejscem czatów lamparta.

Posiada on łapę mniejszą od lwa i pozostawiającą wyraźne odciski pazurów, silnie zagiętych do środka.

Lampart, który nie lęka się zaatakować człowieka, boi się małp, gdyż są one zwinniejsze od niego i napadnięte, przywołują przeraźliwym wrzaskiem dziesiątki innych na pomoc.

Lampart i hjena uważane są przez krajowców za zwia-
stunów klęsk i nieszczęścia.

* * *

Tak tubylcy jak i europejczycy polują dużo na dziki i antylopy, których bardzo wiele odmian żyje na całym obszarze Kolonii. Są to łowy oczywiście mniej emocjonujące, ale niełatwe, gdyż antylopy, niezwykle płochliwe, zwinne i obdarzone czułym węchem, trudno bardzo dają się podejść. Chodzą w stadach i pojedynczo. Żyją w lasach i sawannach.

* * *

Z ptactwa warte są strzału: kuropatwy, zielone gołębie, ale przede wszystkim dzikie perlice.

* * *

Koloniście więc nie grozi żadne niebezpieczeństwo ani ze strony gruboskórnych ani przeżuwających. Pozostawione w spokoju, nie zaczepiają one człowieka. Co do płazów i drapieżnych, to wystarczy zachować minimum niezbędnej ostrożności i unikać podróży nocą, aby uchronić się od smutnej przygody.

Wrogiem jednak osadnika, wrogiem dotąd niepokonanym, pomimo, że broń przeciw niemu już istnieje, jest moskit i tsé-tsé.

Wchodzą one do naszych domów, zakradają się do moskiterji, czyhają na nas we dnie i w nocy; — w dzień tsé-tsé, a w nocy moskit.

Chorobę letargu rozpoznano naukowo już w 1803 r., ale dopiero w sto lat później wyjaśniono i ustalono jej przyczynę, a mianowicie, że letarg zaszczepia człowiekowi mucha z rodziny glossine, zwana dziś pospolicie muchą tsé-tsé.

Za najniebezpieczniejsze uznane są: glossina palpalis i glossina morsitans.

Pierwsza żyje nad wodą. W odległości już jednego kilometra od brzegów rzek lub jezior, rzadko się ją spotyka. Chroni się ona w suchych trawach i krzewach oraz między szczapami drzewa na statkach i t. zw. „poste à bois”. Jest prawie czarna.

Druga zamieszkuje okolice bagniste i nizinne, pokryte trawą. Jest koloru brązowego.

Tsé-tsé jest znacznie większą od naszej muchy domowej. Charakteryzuje ją w ruchu lot zygzakowaty, szybki i silne brzęczenie, zaś w stanie spoczynku skrzydła ułożone jedno na drugim, jak para zamkniętych nożyczek.

Glossina żywi się raz na parę dni. Nasycona krwią, od-

latuje ociężałe i bezdźwięcznie. Żyje ok. 3-ch miesięcy, składając 8 — 10 larw. Lubi siadać na ciałach w ruchu (tragarze, wiosłarze).

Ukąszenie jej staje się zaraźliwe dopiero po 18 dniach od chwili pierwszej uczty krwi. W ciągu bowiem tego blisko 3-tygodniowego okresu mikrob letargu kształtuje się w kanale trawienia muchy, przechodząc szereg biologicznych transformacji.

W r. 1923, w laboratorium Pasteur'a w Brazzaville (Kongo franc.), stwierdzono, że parazyt letargu może być przeniesiony z człowieka chorego na zdrowego mechanicznie, przez pchły, pluskwy, nawet moskity. Stąd konieczność izolowania zarażonych.

Choroba snu zabija powoli.

W pierwszym okresie występuje gorączka, bezsenność, podniecenie nerwowe, brak apetytu, bóle głowy; — w drugim, choroba ujawnia się na zewnątrz: wyczerpanie fizyczne, raptowne chudnięcie, upadek sił intelektualnych, apatia granicząca ze znieczuleniem i wreszcie — w okresie ostatnim — pomięszanie zmysłów, letarg i... śmierć.

Letarg leczy się dziś związkami arszeniku: neosalwar-sanem i atozytem.

Kuracja rozpoczęta w porę, sprowadza wyzdrowienie kompletne.

Aby móc zwalczyć tę plagę Centr. Afryki, jaką jest choroba snu, należałoby sięgnąć do jej gniazda i zniszczyć wszystko, co sprzyja rozmnażaniu się i życiu glossiny.

W tym celu: 1-o trzebaby wyciąć i wykarczować lasy w okolicach nadbrzeżnych, aby wystawić ziemię na promienie tropikalnego słońca, gdyż larwa glossiny rozwija się tylko w temperaturze umiarkowanej, nie wyższej jak 25°.

2-o — zważywszy, że mucha tsé-tsé znajduje ulubione schronienie wśród szczap drzewa opałowego, czyniąc niejednokrotnie ze statków kongolańskich wędrujące kolonie

epidemji, wskazanem by było wprowadzenie do żeglugi parowców, opalanych węglem lub benzyną.

Ale, że podobne projekty długo, bardzo długo jeszcze pozostaną w dziedzinie ideału, należy nie tracić nadziei, że wiedza medyczna da nam wcześniej rozwiązanie tej palącej sprawy. Podobno prace nad wynalezieniem surowicy zapobiegawczej mają dużo szans powodzenia.

Kongo, posiadając bardzo słabe zaludnienie (przeciętnie 3 tubylców na 1 klm. kwadr.) w stosunku do swych obszarów i bogactw, czekających intensywniejszej eksploatacji, przeżywa chroniczny kryzys braku ręki roboczej, stąd walka z letargiem (nie mówiąc o syfilisie, dyzenterji i wielu innych chorobach) ma pierwszorzędne znaczenie dla postępu i kolonizacji.

* * *

Rozsadnikiem febry jest protozoa, żyjąca w czerwonych ciałkach krwi ludzkiej, a zaszczepiana przez moskity z gatunku *Anophele*.

Febra, zwana również malarją, gdy jest przewlekłą, została naukowo wyjaśnioną dopiero w ostatnich latach zeszłego stulecia.

Bronią wypróbowaną i skuteczną w zwalczaniu febry jest chinina, zalecana przedewszystkiem jako środek zapobiegawczy w małych, codziennych dawkach.

Szczelne, muślinowe zasłony nad łóżkiem (moskiterja) i siatki metalowe w oknach są nieodzowne. O ile w bliskiem sąsiedztwie domu znajdują się wody stojące lub bagna, zanim przystąpimy do ich zdrenowania, bardzo skutecznem będzie rozmieszczenie na ich powierzchni szmat, nasasyconych naftą, która zabija larwy moskita.

* * *

Groźną chorobą jest t. zw. febra żółciowo-hemoglobinowa (*fièvre bilieuse hemoglobinurique*). Źródło jej jest jeszcze

niezbadane. Wiedza lekarska posiada do swego rozporządzenia jedynie półśrodki.

Hipotezy przypisujące pojawienie tej febry stałemu przyjmowaniu chininy lub przebytej malarji, okazały się bezpodstawnymi. Z całego labiryntu przypuszczeń wyłoniła się teoria specyficzna, głosząca, że powstaniu tej choroby sprzyjają: przeziębienie nocne, niedokrwistość, wyczerpanie fizyczne, nadużycia seksualne, alkoholu i pokarmów. Zaleconem jest unikanie podrażnienia nerek i wątroby oraz zważanie na regularne funkcjonowanie żołądka.

Febre tę zwiastuje gorączka i wymioty żółciowe. Stwierdza ją niezbitcie obecność w urynie hemoglobiny. Odczepia się ona od ciałek krwi i poprzez osłabione nerki dostaje do uryny, która nabiera koloru czerwonego. Pierwsze zabiegi jak przy zwykłej febrze: olej rycynowy, łożko, ciepła kołdra, ciepłe napoje, mleko.

Choroba trwa 6 — 10 dni i kończy się w 90% śmiercią.

* * *

ROZDZIAŁ V.

TUBYLCY

Pigmeje — Bantu — Ludożercy — Braterstwo krwi — Ludzie-
hjeny — Pół i ćwierć-ucywilizowani — Życie wsi murzyńskiej —
Człowiek, rodzina, społeczność.



W głębi mrocznych i niedostępnych puszczy kongolańskich żyje dotąd rasa prawdziwych autochtonów, t. zw. pigmeji.

Rozwój ich zatrzymał się przed wieloma tysiącami lat i dziś są oni jeszcze w swej epoce kamiennej. Nie budują stałych siedzib ale tylko prowizoryczne szałas z liści; żadną uprawą się nie trudnią; żywią się upolowaną zwierzyną, owadami i zielskiem. Strzały, których używają przy małych łowach, niejednokrotnie jeszcze posiadają ostrze z krzemienia.

Żyją w zupełnej dzikości i odosobnieniu, nie utrzymując bliższych stosunków z innymi szczepami, które w swych wędrówkach zepchnęły ich do głębi puszczy podrównikowej.

W wyjątkowych tylko wypadkach, gdy głód im dokuży, Pigmeje wychodzą ze swych kryjówek i zbliżają się do wsi obcych, aby zdobyć nieco żywności: bananów, kukurydzy, manioku. Czynią to w nocy, a splądrowawszy plantacje, znikają. Zazwyczaj jednak zostawiają oni, jako rekompensatę za zabrane produkty, nieco mięsa z upolowanej zwierzyny, ustalając oczywiście sami i niezawsze sprawiedliwie jego wartość wymienną.

W stosunku do Europejczyków nie okazują specjalnej niechęci. Uciekają jednak i ukrywają się przed nimi.

Podatku pogłównego nie płacą i do żadnej pracy wciągnąć się nie pozwalają.

Żyją w grupach, złożonych z kilkunastu lub kilkudziesięciu głów. Są małego wzrostu, który waha się pomiędzy 1 m 20 cm o 1 m 50 cm. Skóra ich ciała jest koloru jasno

brązowego o odcieniu żółtawym lub czerwawym i pokryta delikatnym, jasnym owłosieniem. Posiadają głowę nieproporcjonalnie dużą w porównaniu z resztą ciała, wypukły brzuch, krótkie nogi i długie ręce.

Pigmeje, pomimo tak drobnej, prawie karłowatej budowy, odznaczają się niezwykłą siłą i zręcznością. Łowy, które są ich jedynym zajęciem, prowadzą w sposób bardzo prymitywny i im tylko właściwy. Są to niejako zapasy pierwotnego człowieka ze zwierzem leśnym, w których zwycięża przeciwnik zręczniejszy i liczniejszy.

Słonia atakują Pigmeje na drogach, któremi zwykł chodzić lub osaczają go w gęstwinie. Tłumy tych nieustraszonych łowców wyskakują w odpowiedniej chwili z ukrycia, zsuwają się z drzew po pniach i gałęziach, gdzie siedzą na czatach, wprost na plecy słonia, a uczepiwszy się ogona, rąbią małymi siekierkami jego tylne nogi tak długo, aż nie padnie. Wówczas dobijają go strzałami z łuków lub dzidami.

* * *

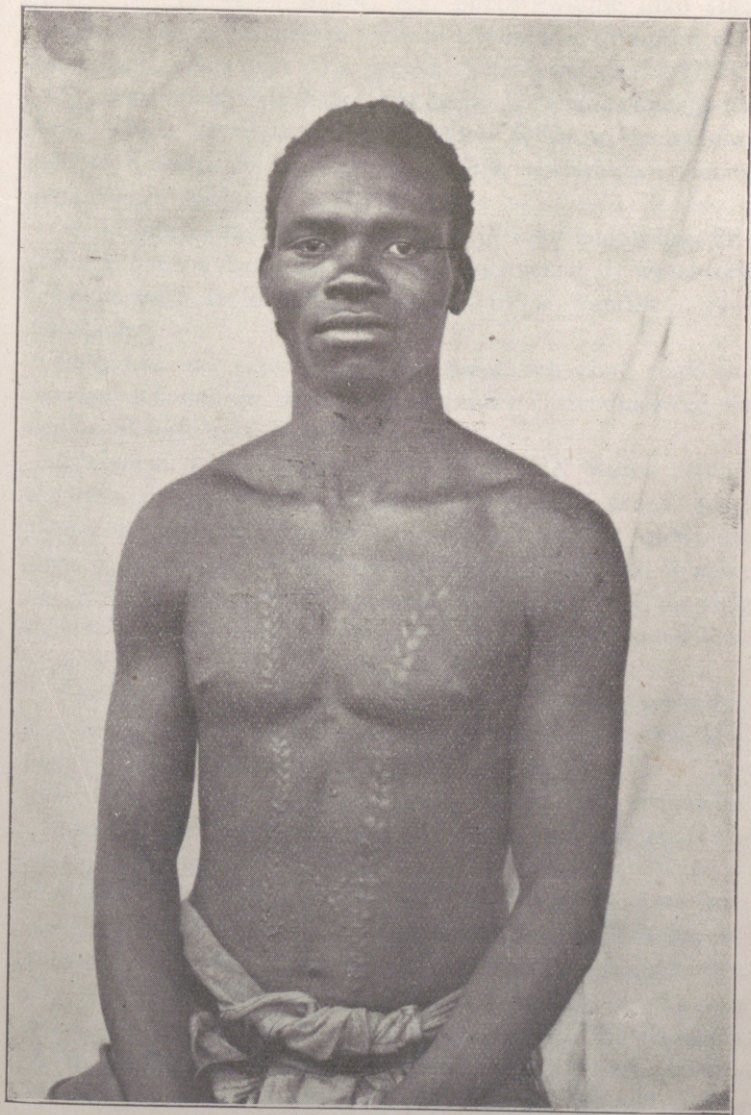
W bardzo odległej epoce na obszary Centralnej Afryki, wtargnęły szczepy rosłe o ciemno brązowej skórze.

Jedni przyszedli z północy od Sudanu, Wielkich Jezior i źródeł Nilu. Inni wtargnęli do środkowej Afryki z północy i z południa - wschodu.

Zepchnęli oni w głąb puszczy podrównikowej żyjących tu już Pigmejów i osiedlili się na obszarach basenu rzeki Kongo.

Nauka, nie wyjaśnwszy dotąd bliżej pochodzenia tych ludów, ochrzciła je imieniem „Bantu”, co w języku szczepów kongolańskich oznacza — ludzie.

Jakie dalsze ruchy ludów odbywały się na ziemiach kongolańskich nie wiemy. W każdym razie wędrówka ras Bantu nie była jedyną. Musiały tu zjawić się jakieś ludy



Typ Bantu z grupy północno-zachodniej

23847/12



jeszcze po 15 wieku naszej ery, pozostawiając jako ślad swego przejścia plantacje tytoniu i manioku (*Manihot utilissimum*), który jest dziś podstawą pożywienia tubylców.

Szczepy hamickie, które przyszły tu z płaskowzgórzy Abisyńskich są nieliczne i osiedlone tylko w zachodniej stronie Kolonii. Są to ludy pasterskie, posiadające mocną organizację społeczną i polityczną.

Na północo - zachodzie Kolonii żyją rasy sudańskie. Posiadają one wyższą organizację polityczną i wojskową i odznaczają się dużymi zdolnościami w handlu i rzemiołach.

Belgowie, po zajęciu Konga musieli ich zbyt zaakcentowane dążenia do ekspansji ograniczyć i zredukować do ściśle określonych terytoriów.

Arabowie, którzy pojawili się tu w XIX wieku zostali z Konga przez Belgów wyparci przy pomocy oręża, gdyż ciemniejąc podbite plemiona, prowadząc handel niewolnikami, i nawołując do walki z Europejczykami, byli w młodej Kolonii elementem niebezpiecznym. Pozostały po nich na wschodzie Kolonii nieliczne osady zarabizowanych murzynów.

Mówiąc więc o kongolańskiej ludności w grę wchodzi przede wszystkim szczepy murzyńskie Bantu jako najliczniejsze i żyjące na całym obszarze Kolonii.

Tworzą oni szereg grup i dzielą się na setki szczepów i plemion, różniących się nie tylko mową i obyczajami, ale nawet i wyglądem.

Na ogół jednak typem krajowca z rasy Bantu jest murzyn średniego wzrostu o proporcjonalnej i muskularnej budowie i ciemno brązowej skórze. Podczas jednak gdy w jednym szczepie przeważa typ o charakterystycznych rysach murzyńskich: spłaszczonym nosie, wywiniętych ustach, wystających kościach policzkowych i małych dzikich oczach, — w innym jest on złagodzony jakimś skrzyżowaniem ras, które nastąpiło przed wiekami, a o którym nie posiadamy bliższych szczegółów. W tych szczepach

zwłaszcza kobiety posiadają rysy znacznie delikatniejsze, nos zaledwie lekko spłaszczony, usta prawie normalne, dość czysty owal twarzy i piękne, o długich rzęsach, oczy.

Liczne szczepy Bantu różnią się również temperamentem i upodobaniami.

Szczepy, mieszkające w lasach lub w bliskości mocznych puszczy, są usposobienia raczej ponurego. Skryci, mało gościnni, noszą na sobie piętno warunków w których żyją.

Natomiast szczepy ze stepów i płaskowzgórz cechuje żywsze usposobienie i gościnność. Są one naogół inteligentniejsze i bardziej pracowite od swoich leśnych sąsiadów.

Każdy szczep murzyński, zależnie od położenia topograficznego swych siedzib, oraz charakteru i upodobań ludności poświęca się zawsze jednemu tylko zawładowi lub rzemiosłu. A więc jedni są zawołanymi myśliwymi, którzy więcej czasu spędzają na łowach niż w domu, — inni rybakami, jeszcze inni rolnikami. Są szczepy zdolnych tkaczy lub garncarzy, kowali lub rzeźbiarzy i niezrównanych wioślarzy. Istnieją wreszcie plemiona pasterskie i koczownicze.

Niektóre szczepy kongolańskie tworzyły ongiś potężne państwa feodalne jak np. szczep Lunda i Bakuba. Przed pojawieniem się Europejczyków w Środkowej Afryce, czarni królowie byli panami życia i śmierci swoich poddanych. Ich władza absolutna ograniczona była do pewnego stopnia przez ciała doradcze, złożone z notablów szczepu.

Wyrokowali oni wspólnie z monarchą w ważniejszych sprawach kradzieży, morderstwa, zdrady małżeńskiej, obrazy majestatu, — karanych zwykle śmiercią.

Kara śmierci przez ścięcie szeroko była ongiś stosowaną, i niewiadomo, czy nie znaleźlibyśmy jej i dziś jeszcze wśród pewnej kategorii tradycji murzyńskich, nietolerowanych przez władze kolonialne.



Typ „ucywilizowanej” murzynki z grupy Bantu połudn.-wschodniej

22847/II



Pomimo wspólnego pochodzenia, szczepy Bantu nie żyły z sobą w przykładowej zgodzie. Wojny były na porządku dziennym. Mówiąc, że murzyni kongolańscy wzajemnie się mordowali i... zjadali, nie użyjemy zbyt mocnego określenia.

Zjawienie się Europejczyków położyło kres wojnom. Ludożerstwo przetrwało jednak okres podboju Kolonii. Niewątpliwie istnieje ono i dziś jeszcze w zapadłych zakątkach kraju, gdzie Europejczyk, kupiec lub rolnik jeszcze nie dotarł, a gdzie władze Kolonialne zjeżdżają raz na rok w celu zebrania podatków a więc na bardzo krótko.

Wojny murzyńskie rzadko miały na celu zdobycze terytorjalne. Szczepy tubylcze dość mając miejsca na obszarach Konga, nie znały sporów granicznych.

Natomiast zbrojne wyprawy miały na celu grabież mienia, lub uprowadzanie jeńców.

Pewne szczepy, mniej okrutne, tworzyły z nich klasę niewolników, wyręczających ich w ciężkiej pracy, inne zabijały jeńców i zjadały, podobnie jak i uniesionych z pola bitwy poległych wrogów. Miało to być zemstą, odebraniem nieboszczykowi prawa do pogrzebu uroczystego, zgodnego z tradycją jego plemienia.

Jeszcze inne szczepy uprowadzały jeńców, aby ich następnie sprzedać sąsiednim plemionom ludożerców.

Pierwsi Europejczycy którzy pojawili się na ziemiach Konga, uznani zostali przez murzynów za wrogów, złych duchów i czarodziei. W okresie jednoczenia Konga padali oni często ofiarą mściwych i dzikich szczepów.

Najokrutniejsi z nich jak Bandzo, Budża, Bangala i inne, zamieszkujące wybrzeża średniego biegu Konga oraz okolice rzeki Ubangi i Sanga, pozostawiły krwawą kartę w dziejach bohaterskiego okresu podboju Konga.

Ogólnie znanym jest gromadne mordowanie całych ekspedycji, jak np. porucznika Pomayrac, który został zabity i zjedzony razem z towarzyszącymi mu 45-ioma czar-

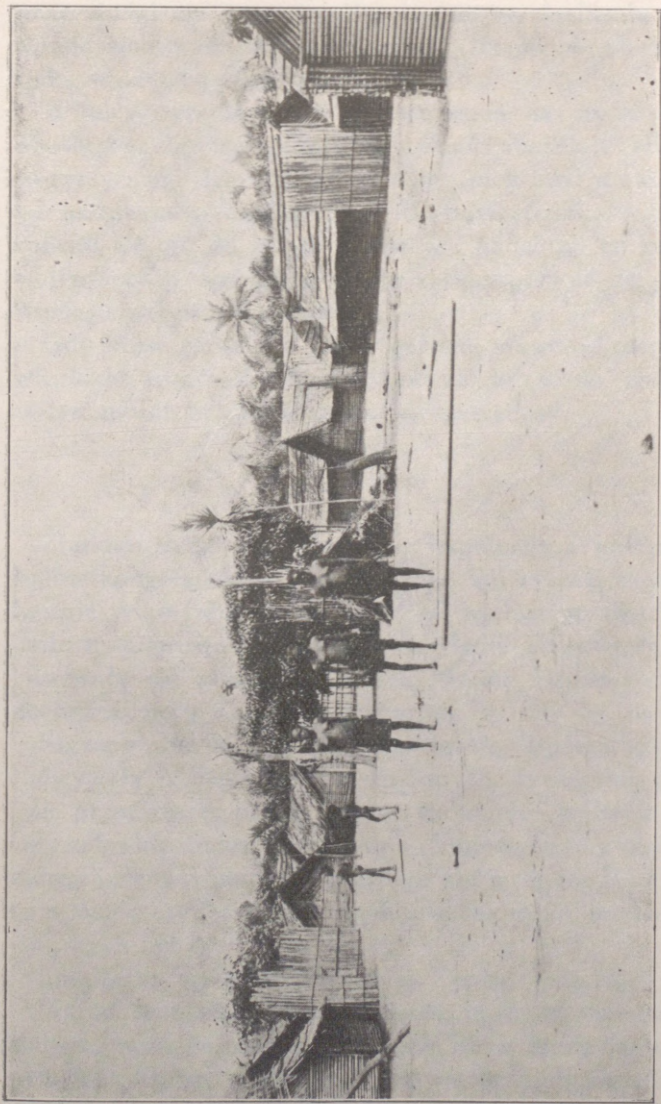
nymi żołnierzami i tragarzami nad rzeką Ubangi, która dziś stanowi granicę między Kongiem francuskim a belgijskim, — jak wymordowanie całej karawany belgijskiej w górnym biegu rzeki Kongo przez ludożerców, którzy rozpoczynając ucztę od kierownika konwoju, z wyrafinowaniem okrucieństwem odcinali, piekli i jedli w jego oczach jego własne ręce („Monseigneur Augouard, explorateur et missionnaire” — Georges Goyan — w „Revue de deux Mondes” z 1 i 15 Lipca 1926 r.).

Do 1909 r. podróżowanie po rzece Kongo i jej wielkim dopływie Ubangi było bardzo niebezpieczne z powodu wielkiej dzikości ludności nadbrzeżnej.

W okolicach osady Lisala, niedalej jak 19 lat temu (w 1908 r.), parowiec „Ville de Bruges”, uszkodzony podczas burzy, zaczął tonąć. Europejczycy, znajdujący się na pokładzie, próbowali przebyć rzekę w pław, ale krajowcy ze szczepu Budża, krążący w swych pirogach około ginącego parowca i czatujący na wybrzeżach, wyłapali, pozabijali i zjedli nieszczęśliwych rozbitków. Około 40-u murzynów, towarzyszących europejczykom, spotkał ten sam los. Jedynie mechanik okrętowy zdołał uciec z życiem.

Przykładów takich znalazłoby się więcej. Jednak te trzy wystarczą, aby dowiedzieć, jak dzikie są jeszcze te ludy kongolańskie, z którymi europejczyk ma żyć zgodnie i współpracować.

Wśród szczepów kongolańskich istnieje zwyczaj t. zw. bratania się. Tradycja ta utrzymała się do dnia dzisiejszego w stosunkach poszczególnych rodów jako forma adopcji, zanikając natomiast jako akt o doniosłości politycznej, którego spełnienie kładło kres walce dwóch wrogich szczepów lub likwidowało jakiś spór między dwoma władcami.



Środkowy dziedziniec we wsi Baszilele

23847/II



To zbratanie odbywało się zazwyczaj bardzo uroczyście przy dudnieniu tam-tam'ów i gongów, trąbieniu rogów i radosnem wyciu zgromadzonych tłumów — starszyny, ludzi wolnych i niewolników.

Władcy, wysmarowani na czerwono na znak radości, obwieszani bransoletami i fetyszami, zasiadali tak, aby wszyscy mogli ich widzieć. Każdy z nich miał u swego boku nadwornego czarodzieja. W odpowiednim momencie zbliżali się oni do swych władców i nadcinali im ramiona w ten sposób, aby krew mogła z ran spływać do podstawionego w tym celu naczynia.

Gdy krew mieszała się w garnku, wówczas monarchowie lekko nacierali sobie nią policzki lub czoło, stając się w ten sposób braćmi krwi na wieczne czasy.

* * *

Zjadanie ludzi nie miało nic wspólnego z wierzeniami ludów kongolańskich. Nie było ono ani rytuałem ani wyłącznie tylko tradycją wojenną. W wielu wypadkach chodziło tu po prostu o zaspokojenie głodu. Te krwawe uczty odbywały się zawsze uroczyście. Tańce i śpiewy, trwały do późnej nocy i kończyły się orgią.

Szczepy ludożercze niejednokrotnie dłuższy czas zachowywały u siebie jeńców wojennych, żywiąc ich dobrze i nie przeciążając pracą. Była to racjonalna hodowla ludzi. Gdy zabrakło „mięsa które mówi”, kupowano je u sąsiadów, którzy jeńców wojennych nie jedli ale wymieniali na „mięso z lasu”, czyli zwierzynę, lub większą ilość „mięsa z wody”, czyli ryby.

Ludożercy nie gardzili również i psiem mięsem.

Wśród robotników miałem grupę murzynów ze szczepu Bakete, zwanego również Basala M'Pasu, który mieszka na południu Kolonji i kiedyś, jak twierdzą ich sąsiedzi, nie gardził mięsem ludzkim.

Bakete przybyli z rodzinami, żonami i dziećmi; odzna-

czali się niechlujstwem, usposobieniem kłótliwem i wprost fenomenalnym apetytem. Jedli wszystko; zielska i dzikie owoce zbierane w lesie, gąsienice żyjące w pniach palm, nawet myszy leśne, które przy wycinaniu puszczy znajdowali w większych ilościach i zabijali. Po skończonej pracy nieśli je do osady, radzi ze zdobytego „mięsa” na wieczkę.

Udając się w krótsze, kilkodniowe podróże, zabierałem zazwyczaj część moich Bakete do niesienia bagaży. W drodze naogół z żywnością jest dość trudno i czasem tylko gdy trafi się na dobry humor naczelnika, tragarze mogą choć połowicznie głód swój zaspokoić.

W takich razach Bakete zajęci byli warzeniem posiłku już od rana i do późnego wieczora zapychali się szpinakiem i chlebami z manioku i kukurydzy. Szczęki ich pracowały niestrudzenie cały dzień. Nigdy podobnego obżarstwa u innych szczepów nie zauważyłem.

Pewnego razu, podczas parodniowego postoju we wsi Moanakadi, należącej do plemienia Baszilele, zjawił się przed moim namiotem naczelnik tej wsi, imieniem Kanonda, i zakomunikował, że on i jego ludzie nie chcą, abym nadal z Bakete do wsi ściągał i że na przyszłość odmawia dostarczania im żywności. Znałem Kanonda z dobrej strony. Był to murzyn spokojny i posłuszny i dlatego czułem się tym ultimatum dość niemile zaskoczony. Zażądałem wyjaśnień.

Wówczas Kanonda opowiedział mi następującą historję:

W dniu mojego przybycia zdechł we wsi pies. Zakopano go kilkaset metrów za osadą.

Nie uszło to uwadze moich tragarzy Bakete. Wieczorem, gdy wszyscy ludzie we wsi siedzieli przy ognisku, grzejąc się i omawiając wydarzenia dnia, kilku Bakete z zapalonemi łuczycami wymknęło się z zagrody. Nikt na to specjalnej uwagi nie zwrócił. Ale następnego dnia, gdy jeden z mieszkańców wsi, idąc do strumienia dróżką wiodącą przez gąszcze, zauważył na małej polance świeżo wydep-

tane trawy, resztki ogniska i obgryzione kości, a w dole brak zakopanego w przeddzień psa, wszystko się wyjaśniło. Bakete w nocy psa wykopali, poćwiartowali, upiekli i... zjedli.

Udałem się na miejsce uczty, gdzie nietrudno było stwierdzić prawdziwość słów Kanonda.

Bakete na razie się wypierali, w końcu jednak pięciu przyznało się do winy.

Stali przedemną z bezradnie zwieszonymi ramionami przestępując z nogi na nogę i patrząc na mnie wzrokiem tęnym, bezmyślnym, nie zdradzając ani skruchy, ani wzruszenia. Pod czarnym pancerzem mocnej piersi drżało tylko wylęknione serce...

Zdawało się, że nie różnią się oni niczem od swych przodków z czasów Stanley'a.

Wiele jednak od tej pory się zmieniło, bo oto wnukowie kanibalów stoją dziś posłusznie przed Europejczykami, a zaprowadzeni do „Bula Matadi”, bez protestu zniosą chłostę za jedzenie „złego mięsa”.

Pierwszy najtrudniejszy krok został zrobiony: murzyn Kongolański uznaje władzę białych najeźdźców i poddaje się ich wyrokom. Czy to posłuszeństwo jest istotne, czy też tylko przyczajeniem się dzikiej bestji, kryjącej zemstę — przyszłość pokaże.

* * *

Z drugiej strony mamy w Kongo t. zw. pół i ćwierć-ucywilizowanych krajowców (les quarts - civilisés).

Należą oni do plemion łatwiej przyswajających sobie kulturę europejską i chętnie emigrują do innych dzielnic i do centrów przemysłowo - handlowych.

Ale ci neofici kultury, gdy im się bliżej przypatrzymy, nie budzą w nas zbytniego zaufania.

Dotrzegamy bowiem odrazu pod warstwą powierzchow-

nej cywilizacji, takiego samego murzyna, jakiego widzieliśmy w głębi kraju, w zapadłej wsi tubylczej, ze wszystkimi przywarami i atawistycznymi skłonnościami jego rasy.

Pozatem nietrudno zorientować się co do gatunku typu europejskiego, który noszą na sobie.

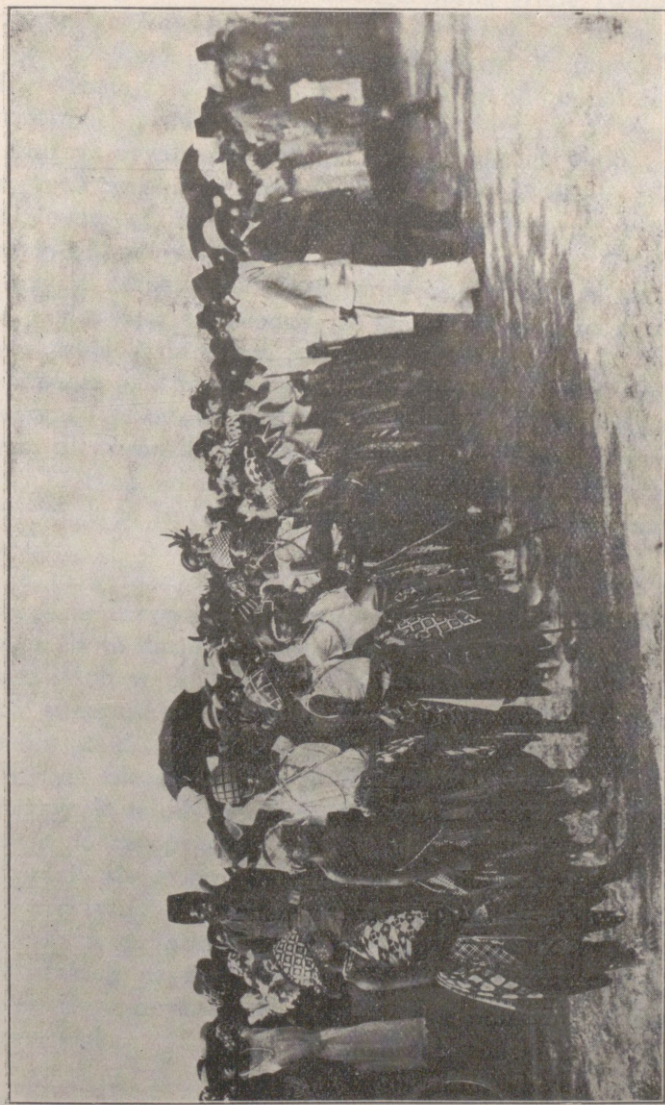
Ubranie europejskie niczego nie dowodzi. Jest ono tylko dowodem niebywałej zdolności do naśladownictwa. Trzeba uznać, że murzyn okazuje się tutaj mistrzem i nie potrzeba nawet dwóch pokoleń, aby czuł się w białym, płóciennym garniturze, butach i kołnierzyku zupełnie swobodnie.

Dla całkowitego dogodzenia swym pierwotnym instynktom i zmysłom przejmuje najchętniej wady i nałogi rasy białej, które w połączeniu z jego dziedziczną skłonnością do łatwego życia. stwarzają aljaż o bardzo wątpliwej wartości.

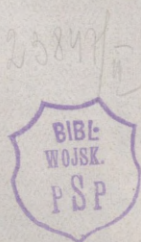
Nawrócenie murzyna na Chrystjanizm jest — rzecz jasna — aktem ściśle formalnym, mającym głębszą treść i znaczenie tylko dla udzielającego chrztu misjonarza. Dla murzyna kongolańskiego ideje abstrakcyjne są nieuchwytnie. Rozum jego jest wrażliwy tylko na zjawiska materialne, których źródła zresztą nie bada. To tylko utrwała się w umyśle krajowca, co już uprzednio znalazło swoje odbicie w siatkówce jego oczów. Dlatego też najprostsze nawet dogmaty religijne lub teorie społeczne są przez cywilizujących się murzynów tłumaczone opacznie i nie zawsze wprowadzane w życie zgodnie z myślą i intencjami tych, którzy je rozpowszechniają.

Najjaskrawszym tego dowodem był t. zw. Kibangizm, ruch wrogi Europejczykom, który poważnie w swoim czasie zaniepokoił władze kolonialne.

Kibango, murzyn z okolic Thysville'u, nawrócony i wychowany przez misjonarzy protestanckich, ogłosił się prorokiem czarnych ludów, nawołując do zrzucenia jarzma narzuconego im przez Europejczyków i podburzając do oporu władzom. Ruch ten miał charakter religijno - spo-



Przygotowanie do tańca w zeuropei zowanej osadzie. Tancerki obwieszane kolorowymi chustami



łeczny i zgrupował koło Kibanga liczną grupę zwolenników, zorganizowanych w tajną sektę.

Władze kolonialne w porę spisek odkryły i „prorok” zesłany został na osiedlenie do odległych, południowo-wschodnich prowincji Konga.

Murzyn cywilizujący się zaczyna od naśladowania europejczyka w ubiorze. Kapelusz widzimy już dosyć często na głowie dzikusa, osłaniającego jeszcze biodra szerokim pasem z tkaniny tubylczej.

Użycie koszuli lub europejskiego perkaliku do owinięcia bioder będzie dowodem, że murzyn wszedł już na drogę szczebel drabiny społecznej.

Spodnie dają mu nie tylko prawo do wkładania rąk do kieszeni i mierzenia pogardliwym wzrokiem gorzej ubranych, ale i możliwość utrzymywania stosunków „towarzyskich” z tymi, co noszą kompletny ubiór europejski w którym nie brak już ani kołnierzyka, ani krawata, ani nawet laski.

Te najwyższe sfery ćwierć i pół-ucywilizowanych zamieszkują zazwyczaj większe centra handlowe i przemysłowe. Są to dozorczy robót, służba europejczyków w obowiązku lub w poszukiwaniu pracy, sprzedawcy w bazarach europejskich, rzemieślnicy, alfonsi, złodzieje i niebieskie ptaki...

W tym niezwykłym rogu obfitości nie brak mulatek i murzynek, młodych i dorodnych, ubranych całkiem, lub prawie po europejsku.

Trudnią się one przynajmniej w pięćdziesięciu procentach prostytucją. Młode dziewczyny uprawiają nierząd zawodowo, a mężatki przy każdej sposobności.

W takich osadach murzyńskich choroby weneryczne szerzą się zastraszaюще, a cyfra narodzin jest znikomowprost niską.

* * *

Zjawienie się europejczyka we wsi bardziej oddalonej i położonej gdzieś na uboczu, wywołuje zawsze nieco za-

mięszania i zakłóca porządek codziennego trybu życia krajo-
jowców.

Jednorazowy przejazd przez szereg nawet wsi niczego nas nie nauczy.

Murzyn, z natury niedowierzający i płochliwy, za naszym zbliżeniem się milknie i odkłada robotę, jeżeli coś dla swego domowego użytku fabrykował. Przybiera on pozycję nieruchomą i przykucnąwszy czeka, aż europejczyk nie odejdzie.

Wypytywanie się o szczegóły życia, jakie we wsi pędzą, jest zazwyczaj bezcelowe, gdyż murzyn, któremu to zawsze wydaje się jakimś śledztwem, kryjącem niezrozumiałe dla niego zamiary, dawać nam będzie albo odpowiedzi bardzo lakoniczne, o niczem nas nie objaśniające, albo, o ile jest sprytnym, wykrętne i kłamliwe.

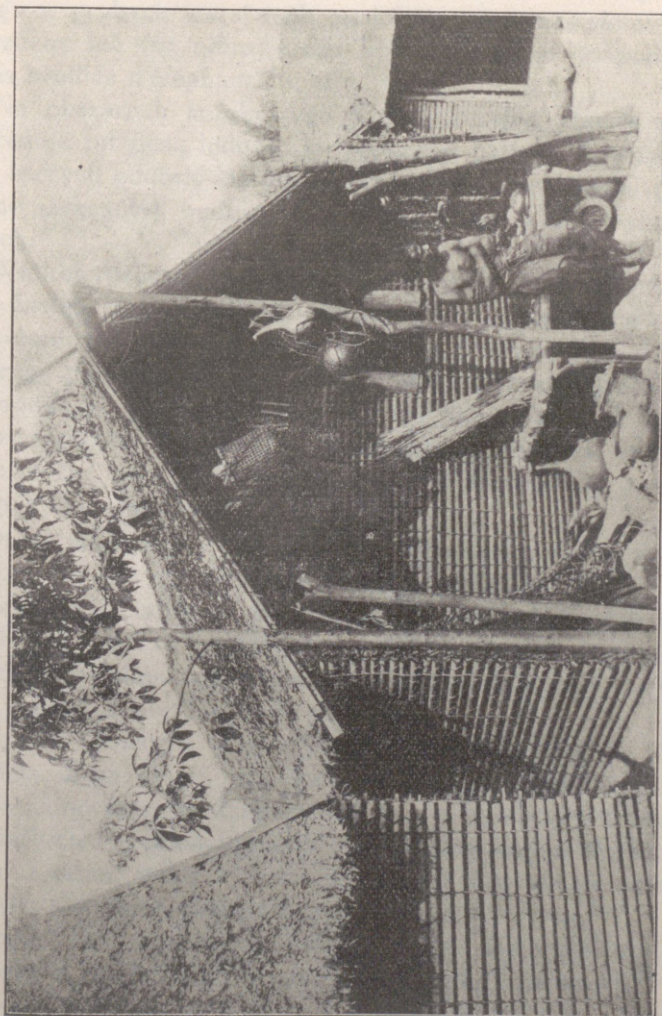
Stąd, aby móc dokładnie poznać tubylców i ich zwyczaje, trzeba wśród nich mieszkać dłużej. Obserwując i chwytając przy każdej sposobności szczegóły ich codziennego życia, będziemy mogli w rezultacie odtworzyć mniej więcej pełny obraz ich bytowania.

Wsie murzyńskie budowane są wzdłuż drogi, jak to widzimy np. u myśliwskiego szczepu Bankuczu, lub w formie kwadrata, jak np. u szczepu Baszilele i Bakuba.

Ten ostatni typ osady posiada jeszcze jedną właściwość a mianowicie — obrotne ogrodzenie.

Pewne plemiona bowiem, mając jeszcze świeżo w pamięci wojny międzyszczepowe, ogradzają wsie wysokim płotem z bambusów w ten sposób, że poszczególne domy są połączone tym ogrodzeniem niby siecią pajęczą, tworzącą istny labirynt. Umiejętnie porozmieszczane wejścia, zazwyczaj bardzo wąskie i niskie, utrudniają wtargnięcie większej ilości ludzi naraz i ruchy ich wewnątrz osady.

Domy są czworokątne, budowane bądź z gliny, bądź z bambusów. Glinianki spotykamy prawie wyłącznie



Typ chaty Badinga

23847/-



w okolicach bezlesistych. Posiadają one dachy w kształcie piramidy. Są kryte specjalnym gatunkiem siana, zszywanego w grubych warstwach, podobnie jak u nas słomiane strzechy lub też olbrzymimi liśćmi, zwanymi pospolicie „les oreilles d'éléphant”.

Na obszarach środkowego Kasai szczepy, stanowiące rdzennie tubylczą ludność tej prowincji (jak np. Baszilele, do których odnosić się będą prawie wszystkie poniżej podane szczegóły), budują domy z bambusów i liści palmowych.

Włókna roślinne, (rafja i liany), elastyczne i bardzo mocne, zastępują murzynowi gwoździe, których użytku nie zna zupełnie. Bambusowe ściany domu są przywiązywane do szeregu pali wbitych w ziemię, z których cztery grubsze, wkopane w rogi domu, zastępują fundamenty, a dwa inne, wyższe i bardzo silne, umieszczone pośrodku ściany frontowej i tylnej, stanowią oparcie dla spadzistego, zszytego z liści palmowych, dachu.

Domy murzyńskie posiadają zazwyczaj tylko jedno wejście, które jest jednocześnie oknem i kominem.

Schronisko takie w ciągu kilku lat wytrzymuje dobrze wichry i deszcze tropikalne, a gdy się zawali, murzyn buduje sobie inne, na tym samym miejscu lub obok, zwykle jednak w obrębie swej zagrody.

Sprzęty domowe w naszym rozumieniu właściwie nie istnieją. Dom służy przede wszystkim do spania i posiada jedno szersze nieprzenośne łóżko z bambusów i parę wąziutkich i niskich tapczanów. We dnie korzystają murzyni z domu tylko w razie niepogody, warząc wówczas posiłek nie przed chatą ale w izbie.

Środek wsi, niezabudowany i zawsze starannie oczyszczony z zielska, służy im za miejsce narad i zabaw.

Pozatem w chacie krajowca znajdziemy: maty z kory bambusowej lub słomianki z włókien palmowych, niskie zydle, koszyki różnej wielkości, instrumenty muzyczne jak rogi, grzechotki, fujarki, tam - tam'y, sieci na ryby i zwie-

rzyne, fetysze, garnki z suszonej gliny, kubki z drzewa, kalabasy i t. p.

Kalabas jest owocem z rodziny dyniowatych, Po wysuszeniu na słońcu i wypróżnieniu, używa go murzyn do noszenia wody i wina palmowego.

Koła murzyn nie zna, stąd ani wozów ani taczek nie wyrabia. Zbiory z pola i drzewo na opał nosi w dużych koszach zawsze na ramieniu, plecach lub na głowie. Nie widziałem nigdy krajowca, aby niósł jakiś cięższy przedmiot w rękę. Murzynki nawet kubek do wody, jajko lub owoc, najchętniej umieszczają na głowie.

Dawniej murzynka, dobra gospodyni, utrzymywała w swojej chacie ogień bez przerwy, aby zaoszczędzić sobie trudu przy rozniecaniu nowego. Zwyczaj ten jednak powoli zanika, odkąd wśród murzynów zaczęły się rozpowszechniać zapałki. Jest to artykuł europejski, który w Kongo znalazł wielu zwolenników i odrazu zdobył sobie rynek tubylczy.

Ognisko na którym gotuje się pożywienie, jednocześnie zastępuje murzynowi lampę.

Z okazji uroczystości lub tańców, na środkowym dziedzińcu rozpala się wielkie ognisko, lub kilka mniejszych; wokoło nich skupia się cała ludność wsi biorąca udział w zabawie.

Murzyn kładzie się spać późno, nawet bardzo późno, zwłaszcza, gdy noc jest ciepła i księżycowa.

Podczas uroczystości tańce i śpiewy trwają do 1-ej nawet 2-ej nad ranem, a normalnie jeszcze około północy słyszy się gawędy i dyskusje, prowadzone u wejścia do chaty przy powoli wygasającym ognisku.

Murzyn wstaje około 8-ej rano, gdy mgła zejdzie i rosa nieco obeschnie.

Wychodzi z chaty skurczony i zziębnięty, gdyż w nocy, nie znając okrycia wełnianego, śpi nago lub przysłonięty

tylko tkaniną z włókien palmowych, niedostatecznie chroniącą od nocnego chłodu.

Zdejmuje on swój mały kalabas lub kubek do wina palmowego, bierze czasem łuk i parę strzał, raczej z przyzwyczajenia aniżeli z potrzeby i, wsunawszy głowę w ramiona, śpieszy na miejsce, gdzie zazwyczaj wspólnie z innymi murzynami przywykł raczyć się winem ściąganiem z palmy rafiowej (*raphia viniferas*).

Słodkie i musujące spływa ono w ciągu nocy z nadciętej palmy do podstawionego już w przeddzień naczynia. Murzyni siadają w bliskości drzewa winodajnego, wokoło ogniska i milcząc popijają małymi łykami ulubiony napój.

Niewielka ilość alkoholu, zawarta w tym winie, wystarcza w zupełności aby ich ogrzać i rozwiązać im języki. Powracają więc do tematów i sprzeczek z dnia poprzedniego lub omawiają sprawy bieżące.

Kwestje przyszłości rzadko są tematem rozmów. Murzyn, o to **co będzie**, nigdy się nie troszczy.

Przeszłość ogranicza się do najbliższego okresu z przed paru lub kilkunastu dni i tylko wtedy zaprzęta na dłużej myśl jego, o ile związana jest z jakimś nieukończonym sporem lub zajęciem, którego konsekwencje jeszcze na nim ciążyą.

Murzyn żyje z dnia na dzień.

W tym czasie, kiedy mężczyźni gwarzą przy winie palmowym, kobiety we wsi już pracują. Jedne z nich udają się na plantacje, aby zebrać kukurydzę lub ukopać nieco manioku. Inne, uczyniwszy to już w przeddzień, przygotowują z nich mąkę i robią chleby. Zanim jednak murzynka do swych zajęć domowych przystąpi, zamiata wnętrze chaty i obejście, karmi dzieci, które następnie powierza starszemu dziecku, bez względu na płeć, lub ojcu, gdy wróci z lasu.

Do kobiety również należy przyniesienie wody z pobliskiego strumienia oraz drzewa z lasu na opał.

Kobiety i starsze dziewczęta tłuką maniok i kukurydzę na mąkę w dużych moździerzach, wydrążonych w pniach z twardego drzewa. Z otrzymanej mąki robią chleby, ale ich nie pieką, tylko gotują. Chleb taki jest podobny do wielkiej kluski, którą murzyni jedzą na gorąco lub zimno. Stanowi on podstawowe pożywienie krajowców.

Jedzą oni pozatem: zwierzynę, wędzone ryby, kozy, kury, jaja wbijane do chlebów, grzyby, liście manioku drobno posiekane i ugotowane, różne leśne owoce, banany, pataty, oliwę palmową i wogóle wszystko, co jest tłuste, więc nawet uskrzydłone świerszcze i termyty...

Świerszcze wielkości małego palca, po oberwaniu skrzydeł i głowy murzyni wędzą, termyty zaś chwytają całymi garściami w chwili, gdy pod wieczór wychodzą z ziemi i jedzą je na poczekaniu, surowe i żywe.

Mięso, zarówno z hipopotama jak i słonia lub małpy, uważane jest za smakołyk. Murzyni nie gardzą nim nawet, gdy jest już silnie nadpsute.

Europejczyk próżno starałby się wytłómaczyć im szkodliwość spożywania cuchnącej zwierzyny.

Murzyni mają wtedy gotową odpowiedź: — „Panie, my przecież nie jemy zapachu, tylko mięso!”

Widząc jednak na stole europejczyka majonez, rzodkiewki lub ser przegniły, odwracają się od tych potraw ze wstrętem.

Murzyni lubią bardzo sól, która podobnie jak i zapałki jest artykułem już znanym i poszukiwanym nawet wśród plemion bardzo jeszcze zacofanych.

Mają oni wprowadzić własny sposób otrzymywania soli z pewnego gatunku traw rzecznych, fabrykacja jednak takiej soli nie wszędzie jest możliwą (tylko nad większymi rzekami) i wymaga sporo zachodu.

Trawę rzeczną ścina się, następnie suszy i wreszcie pali. Potem układa się popiół na sitach i polewa wodą. Popiół

spływa z wodą, pozostawiając cienką warstwę brudnej soli.

Murzyni dodają pozatem do potraw czerwonego pieprzu, który rośnie na całym obszarze Kolonji.

Gorących napojów murzyn nie używa. Wody pije niewiele i nigdy podczas jedzenia, natomiast często po posiłku, ale tylko kilka łyków.



Kosze zastępujące sieci na ryby

Około dziesiątej przedpołudniem posiłek jest gotowy. O tej porze mniejwięcej powracają mężczyźni z lasu. Jedzą oni pierwsi, przed chatą lub przykucnąwszy w pobliżu zagrody, w cieniu bananów i drzew raflowych. Kobiety, drobne dzieci i dziewczęta posilają się ostatni i czynią to zwykle wewnątrz domu.

W razie gdy zapowiedziane są wielkie łowy, porządek dnia zastosowany jest całkowicie do wyjścia i powrotu myśliwych. Łowcy wychodzą albo o świcie albo około południa i zależnie od tego wracają bądź na posiłek południowy, bądź też dopiero wieczorem.

Gdy jednak ani wyprawa myśliwska, ani połów ryb, ani

wreszcie praca na plantacjach nie oderwie murzyna od zagrody, spędza on swoje popołudnie na błogiej sjeście, lub.... flircie, gdzieś w mało uczęszczanym zakątku lasu.

Tylko bardzo nieliczne wyjątki zastaniemy przy pracy.

Jeden buduje sobie nową chatę, inny zajęty jest naprawą strzał lub łuków, wreszcie jakiś „artysta” rzeźbi kubki z drzewa lub lepi garnki.

Gawędząc i paląc nargile, pracują bez pośpiechu i bez nadmiernego wysiłku.

Murzyn bowiem nie spiesz się nigdy, zarówno w pracy jak i w jedzeniu i podróży. Pojęcie najkrótszej drogi dla krajowca nie istnieje. Od wsi do wsi idzie ścieżką, wydeptaną przez szereg pokoleń murzyńskich. Ścieżka ta wije się jak wąż, omijając każdy wzgórek, każdą termitjerę, każde drzewo. Ileż to razy, idąc na czele mojej karawany przez wyschnięte sawanny, z nieopisanym zdziwieniem spostrzegalem ostatniego tragarza wprost przedemną, obydwa bowiem znajdowaliśmy się na końcach wielkiego U, zakreślonego przez drogę, którą wszyscy szliśmy gęsiego.

Jeżeli burza wyrwoci na ścieżkę drzewo, murzyn go nie usuwa, ale będzie obchodził tak długo, aż nowej drogi nie wydepcze.

Pod wieczór wszyscy mieszkańcy wsi ściągają do swych zagród. Kobiety krzątają się znów około domowego gospodarstwa, a mężczyźni idą... na wino palmowe.

Piją go o tej porze znacznie więcej niż rano i wracają do wsi późno po zachodzie słońca, podnieceni i weseli.

Wieczерzę spożywają już przy ogniskach.

* * *

Większość szczepów kongolańskich nie posiada religji. Obok szlachty, ludzi wolnych i niewolników, nie widzimy klasy kapłanów. Nie spotykamy ani bożków, ani świątyń, ani obrządków religijnych.

Wśród murzynów jednak, prawdopodobnie już bardzo dawno, zaczęły się kształtować pewne wierzenia. I tak np. wierzy on w istnienie wyższej istoty, niewidzialnej i panującej nad żywiołami. Ale ani nie składa jej ofiar, ani się do niej nie modli. Nie zajmuje się nią zupełnie, gdyż jest ona nieuchwytna dla zmysłów i dlatego zupełnie mu obca.

Wierzy również murzyn w istnienie dobrych i złych duchów. Każdy wypadek lub zjawisko, którego nie umie sobie wytłumaczyć, przypisuje duchom.

Wieś spłonie, piorun zabije człowieka, polowanie się uda, kury zaczną zdychać we wsi, kobieta okaże się bezpłodną, przyjdą na świat zdrowe dwojaczki — wszystko jest dziełem duchów.

Każde plemię posiada swojego czarodzieja-lekarza, który nie tylko leczy choroby, ale także udziela wskazówek, jak zjednać sobie dobrego ducha, a unieszkodliwić złego. W tym celu rozdaje on różnorodne amulety i fetysze, które w terminologii murzyńskiej oznaczają często to samo co lekarstwo i mają mieć moc magiczną odstraszania złych duchów.

Są nimi: liście suszone zawinięte w szmatkę, kamyczki, kawałki kości lub drzewa, muszelki, zęby krokodyla i lamparcie i t. p. Noszą je murzyni na szyji, u pasa lub na ręku, przy bransoletach.

Czarodziej ogłasza czasem pewne przedmioty i stworzenia jako „tabu”. Dotykanie ich, często nawet i patrzenie na nie jest murzynom zabronione, nie dlatego jednak, że uznane są za święte i nietykalne, jak to ma miejsce np. u ludów polinezyjskich, ale że są to „rzeczy nieczyste”, przynoszące klęski i nieszczęścia.

U wejścia do wsi murzyni ustawiają garnki, napełnione jakimś płynem lub zielskiem, drągi ze szmatami, nawet bramy, na środku których zawieszają koszyczki z fetyszami. Przedmioty te podobnie jak amulety, mają bronić osadę przed niewidzialnymi, złemi mocami.

Wśród tubylców, mieszkających nad środkowym Kasai, nie spotkałem się nigdy nawet ze szczątkiem legendy o powstaniu świata i ludzi. Pytań, jakie im na ten temat zadawałem, nawet dobrze nie rozumieli i wszyscy, zarówno Baszilele jak i Bandżari, Baczoko jak i Badinga, odpowiadali:

„Nie wiemy, to jest sprawa wielkiego Ducha (Boga)”.

Dopiero w mej powrotnej podróży z Konga, zwiedzając ważniejsze miejscowości nadbrzeżne Francuskiej Afryki Ekwatorialnej i Zachodniej, między innymi i Kontonu (w Dahomeju), miałem sposobność usłyszenia tam następującej legendy o pochodzeniu rasy białej i czarnej.

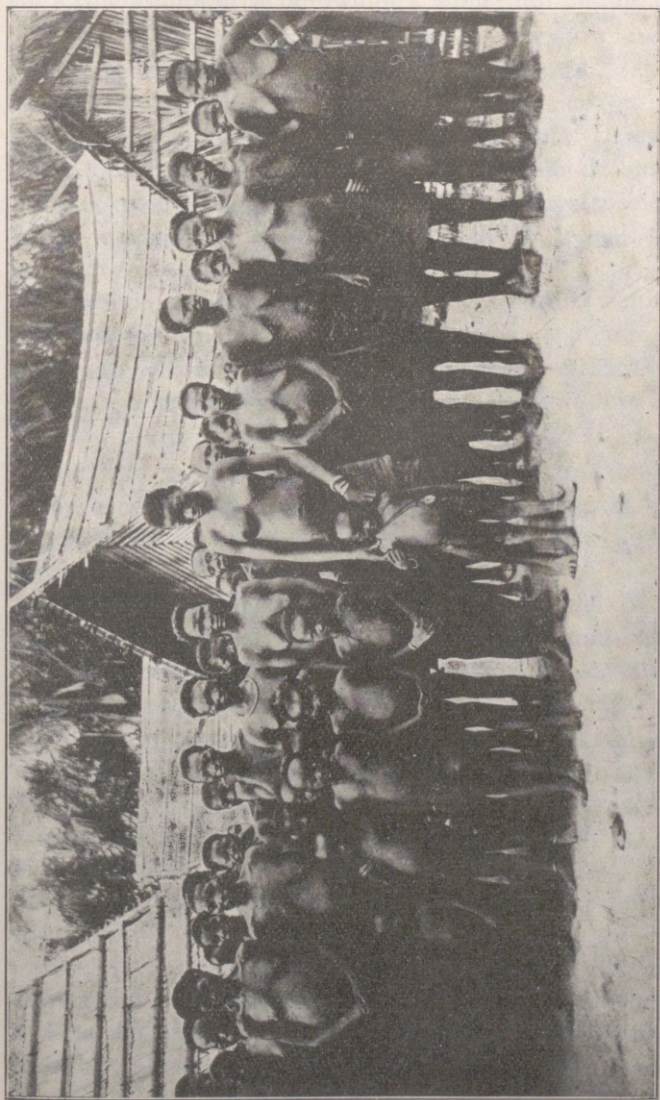
„Na początku świata wszyscy ludzie byli czarni. Prowadzili oni między sobą ustawiczne walki i spory, mordując się i trując tak, że Stwórca rozgniewany zesłał na nich mór, od którego wszyscy zginęli za wyjątkiem dwóch braci i ich żon”.

„Kiedyś bracia ci, będąc w podróży zapragnęli ochłodzić się w wodzie. Gdy znużeni daremnie poszukiwaniem, strumienia chcieli ruszyć w dalszą drogę, ujrzeni nagle wytryskujące źródło, które wnet zmieniło się w małą sadzawkę. Starszy wskoczył do wody pierwszy, zanurzając się w niej cały. I oto skóra jego ciała, nawet włosy, stały się jasne, co widząc młodszy również zapragnął użyć tej cudownej kąpieli. Woda jednak zaczęła szybko opadać, tak że zdążył on zaledwie zamoczyć spód dłoni i nóg. Reszta ciała, niezanurzona w wodzie, pozostała czarna”.

„Od tych dwóch braci wzięły początek dwie rasy ludzi: białych i czarnych”.

* * *

Niema nic rozkoszniejszego jak dziecko murzyńskie. To czarne stworzonko, zawsze z bardzo wypukłym brzuszkiem, dużo się śmieje, a rzadko płacze i biega po zagrodzie tak, jak je Pan Bóg stworzył, brzęcząc bransoletami na



Grupa kobiet Baszilele z dziećmi

20847/1



tłustych rączkach i nóżkach. Gdy nieco podrośnie, bawi się z rówieśnikami w polowanie i wojnę lub buduje domki.

Dziewczęta, podczas gdy chłopcy używają swobody, pomagają matkom w gospodarstwie domowym, zaprawiając się zawczasu do pracowitego trybu życia.

Chłopców poddaje się operacji obrzezania. Dziewczęta, przed dojściem do dojrzałości, są sztucznie deflorowane.

Dziecko murzyńskie odznacza się dużą bystrością. Jego czarne oczy są łagodne i myślące. Z chwilą jednak gdy znacznie dorastać, umysł jego tępieje.

Wczesnie rozpoczęte życie płciowe, nadużywanie wina palmowego, palenie tytoniu i haszyszu z konopi, które wpływają niszcząco na władze umysłowe, wreszcie barbarzyńskie warunki, w których wzrasta, powodują przedwczesny zanik zdolności i dziczenie.

Murzyna w wieku dojrzałym charakteryzuje impulsywność, zarozumiałość i skłonność do kłótni, podczas których wyrzuca istne potoki słów, powtarzając wkółko jedną i tę samą myśl.

Słownik obelg murzyńskich jest bardzo ubogi. Nazwanie kogoś złodziejem lub kłamcą nie jest obrazą, natomiast nic bardziej murzyna nie jest w stanie rozdrażnić, jak ironja lub wyśmiewanie się z jego powierzchowności.

Murzyn odznacza się niebywałą cierpliwością i wytrzymałością na cierpienia fizyczne. Poddaje się bolesnym opatrunkom ciężkich nawet ran bez jęku, z istic stoickim spokojem. Ale najlżejsza dolegliwość wewnętrzna, przygnębia go i przeraża.

Uczucie miłości w naszym rozumieniu jest murzynowi nieznane.

Kochać znaczy chcieć, pragnąć, pożądać. Pewien instynktowny sentyment rodzicielski istnieje, zwłaszcza, dopóki dziecko jest jeszcze małe. Nigdy nie widziałem aby dziecko było bite. Przeciwnie, jest ono czule i troskliwe niańczone, nawet i przez ojca.

Pocałunek jest również nieznany.

Zaloty, choć mało skomplikowane, polegają na wypowiedzianiu całego szeregu komplementów, które murzynka bardzo lubi oraz na obietnicach podarunku, co zazwyczaj łamie, bardzo kruchy zresztą, opór czarnej piękności.

Murzynów cechuje duży egoizm w stosunku do obcych, ale wprost budujący altruizm w stosunku do bliskich i wysokie poczucie solidarności plemiennej.

Poziom życia jest jednakowy we wszystkich klasach. Potrzeby króla mało się różnią od potrzeb zwykłego śmiertelnika. Bogactwo, które ujawnia się przedewszystkiem w ilości posiadanych żon i dzieci, nie wpływa w niczem na zmianę powszechnie przyjętego trybu życia, chyba o tyle tylko, że ten co ma kilka żon, może pozwolić sobie na większą plantację i obfitsze pożywienie aniżeli ten, co ma tylko jedną, nie mogącą podołać wszystkim obowiązkom matki i robotnicy.

Z chwilą, gdy murzyn zapewni sobie minimum żywności na pewien okres czasu, gdy zbuduje chatę i zdobędzie nieco tkaniny dla siebie i rodziny, uważa swe obowiązki za wyczerpane i oddaje się próżniactwu, pozostawiając codzienną pracę i kłopoty żonie.

Polowanie, połów ryb, taniec i kłótnie wypełniają mu życie.

Gorączkowa działalność europejczyków jest dla niego niezrozumiała.

Murzyn, nawet z zapadłej wsi, uznaje wprawdzie wyższość białej rasy, ale ani nie czuje potrzeby zmienienia swego prymitywnego życia na inny, zbliżony do europejskiego, ani nie widzi jasno celowości tego wszystkiego o co europejczycy zabiegają i co tworzą, dzięki nieustającej aktywności.

Mówi się często, że tubylcy są naogół dobrymi kupcami. Jest w tem dużo przesady.

Każda transakcja między murzynami polega na tem, że jeden drugiego chce wyprowadzić w pole, oszukać. A że murzyn umie sprzedać, ale nie umie kupić, zwłaszcza, je-

żeli chodzi o przedmiot, którego bardzo pożąda, więc nie-trudno odgadnąć, kto tu jest wilkiem, a kto owcą.

Drobni kupcy europejscy, znając tę słabą stronę tu-bylców, bardzo umiejętnie ich wyzyskują.

Oto murzyn zjawia się u „mundele na magazin” — białego co ma sklep — i przynosi mu np. koszyk orzechów palmowych, proponując kupno. Pertraktacje odbywają się w sklepie zawałonym towarami: rondlami, szklankami, talerzami, bielizną, tkaninami, kapeluszami i t. p. Czego tam nie ma! Oczy murzyna błędzą po tych cudach i budzi się w nim chęć nieprzeparta kupienia sobie np. koszuli. Wie, że to dużo kosztuje, 30 franków a może nawet i więcej. Postanawia więc za swój produkt wytargować jaknajwyższą cenę. A ceny rynkowe zna dobrze, bo nim tu przyszedł, to już się poinformował, co za palmowce płacą inni kupcy.

„Mundele na magazin” odgaduje myśli klienta i ku jego radości, po długich targach, daje dobrą cenę, ofiarowując jeszcze, jako „matabisz” (prezent), garść soli.

Murzyn czuje się teraz panem sytuacji i zaczyna oglądać towary. Siedzi w sklepie pół dnia i po długich dyskusjach kupuje wreszcie upatrzoną koszulę, zostawiając wszystkie pieniądze, które przed chwilą zarobił.

Nie potrzebuję nadmieniać, że kupiec tak cenę koszuli wykalkulował, żeby stratę, poniesioną przy kupnie palmowców, wielokrotnie sobie przy tej drugiej transakcji powetować.

Czas dzielą krajowcy na miesiące (od pełni do pełni), lub sezony (suchy i deszczów). Nie zadają sobie jednak nigdy trudu, aby je liczyć, gdy chodzi o wiek dzieci lub ich własny.

Porę dnia wskazuje murzynowi ruch słońca. Jeżeli znajdzie się on zmuszonym do bliższego określenia jakiegoś momentu dnia, wówczas wskazuje wyciągniętą ręką miejsce, które w danej chwili słońce na niebie zajmowało.

Murzyn rzadko kiedy umie doliczyć do stu. Tyciąc jest już dlań pojęciem często nieuchwytnem. Do dziesięciu liczy na palcach, powyżej pomaga sobie n. p. kreśleniem na piasku kresek równoległych, z których każda oznacza jednostkę. Potem grupuje kreski po dziesięć; osiemnaście np. nazwie dziesięć i osiem, trzydzieści dwa — trzy dziesiątki i dwa i t. p.

W narzeczu Kituba np. 87 brzmi „makumi muanda mukulu na muanda mutekete”. (makumi = dziesiątków, muanda mukulu = osiem, na = i, muanda mutekete = siedem).

Krajowiec mnożenia ani dzielenia nie zna, przy odejmowaniu ściera tyle kresek, ile jednostek chce ująć, potem pozostałe kreski dodaje ponownie.

Pisma murzyni nie stworzyli. Znajomość narzecza przechodzi z pokolenia na pokolenie drogą tradycji.

Opowieści i bajki murzynów kongolańskich są bardzo rozwlekłe i naogół mało interesujące. Występują w nich z reguły zwierzęta, których charakterystyczne cechy usposobienia są dość trafnie uchwycone i porównane z zaletami i przywarami ludzkiemi. Ale to stanowi całą wartość tych utworów, które zazwyczaj żadnej przewodniej myśli ani morału nie zawierają.

Natomiast w dziedzinie sztuki rasy Bantu wykazały dość oryginalną twórczość.

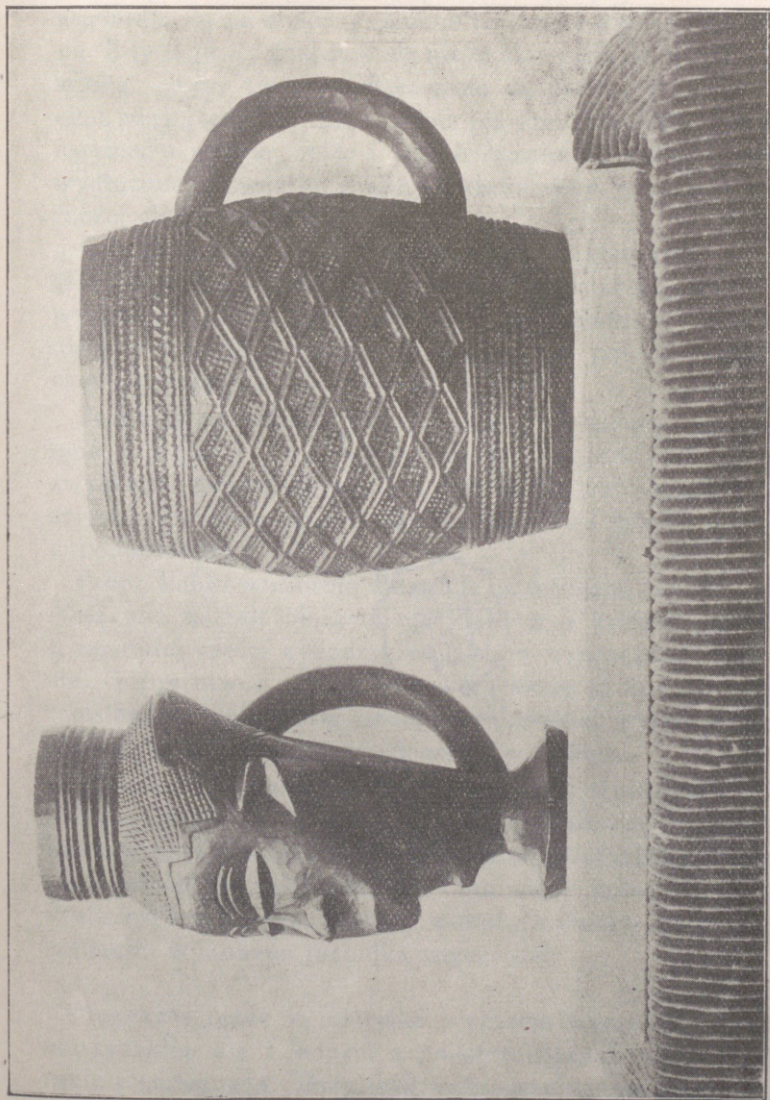
W okolicach zlewiska Kasai i Sankuru szczep Bakuba wysuwa się na czołowe miejsce (rzeźba i inkrustacja w drzewie, tkactwo).

Pozatem Baczoko słyną jako bardzo zdolni rzeźbiarze i koszykarze.

Basongomeno, zwani również Bankuczu, wyrabiają strzały o bardzo pomysłowym rysunku.

Baszilele znani są jako zręczni rzeźbiarze. Wyrabiają oni oryginalne bardzo kubki z czarnego lub czernionego drzewa.

Kubki te wyobrażają głowę ludzką i mają kształt lekko



Kubki z drzewa (Baszilele)

Wojna i Cywilizacja (Warszawa)

23847/-



jajowaty. U dołu są ścięte, aby można było je postawić, lub wspierają się na nóżce, podobnie jak nasze kielichy do wina. Z tyłu głowy znajduje się niewielkie ucho do trzymania kubka. Rysy twarzy odtwarzane są bardzo poprawnie, choć zazwyczaj nie mają w sobie murzyńskiego. Twarz owalna, o wąskim nosie i ustach oraz oczy, przymknięte, wydłużonego kształtu, i jakby lekko skośne, przypominają raczej głowy egipskie.

Gdy przyjrzymy się całemu szeregowi takich kubków — głów, rzeźbionych każdy inną ręką, zauważymy, że choć wyobrażają one naogół jeden typ, to jednak bynajmniej nie są do siebie podobne, ani rozmiarami poszczególnych części twarzy, ani jej wyrazem.

Jedne są jakby błogo uśmiechnięte, inne smutne, jeszcze inne chmurne i złe. Trudno osądzić, czy jest to dziełem zwykłego przypadku, czy też rezultatem świadomej woli artysty. Pierwsza ewentualność wydaje się jednak prawdopodobniejszą.

Prócz kubków rzeźbią Baszilele przesłiczne tam-tam'y. Mają one kształt olbrzymiego kielicha o krótkiej nodze a wysokiej części cylindrycznej, która wewnątrz jest pusta. Górny otwór obciągnięty skórą służy za bęben. Boki tam-tam'ów pokrywają ozdoby snycerskie, wyróżniające się bardzo czystym i pomysłowym rysunkiem.

W szczepie Baszilele kobiety trudnią się często garncarstwem. Garnki te są różnej wielkości. Małe zastępują talerze, większych używają do gotowania. Wszystkie jednak mają kształt urn pękatych, mniej lub więcej spłaszczonych. Posiadają ornamenty biegnące wokoło w dwóch lub więcej rzędach i wykonane techniką snycerską.

Muzyka i tańce są nie tylko wyrazem nastrojów duszy murzyńskiej, ale i jednym z najistotniejszych elementów życia plemiennego. Wszystkie ważniejsze zamierzenia, powstałe bądź w łonie małej wioski, bądź całego szczepu, zanim zostaną zrealizowane, muszą przejść przez chrzest

muzyki i tańca. Wszystkie ważniejsze wypadki, zarówno wesole jak i smutne, oznajmiane są biciem w tam-tam'y a wieńczone z reguły tańcem.

Głuchemu dudnieniu bębnowi towarzyszą często i inne instrumenty jak: rogi, piszczałki lub grzechotki.

Tańczący śpiewają chórem na dwa lub parę głosów. Ustawieni w koło, w jednym szeregu, obchodzą ognisko gęsiego albo też posuwają się naprzód bokiem, mając twarze zwrócone do środka koła. Nogi wybijają takt zgodnie z tam-tam'em. Całe ciało pręży się konwulsyjnie. Kobiety tańczą oddzielnie, ale w podobny sposób jak i mężczyźni, kołysząc biodrami i wprawiają w ruch wężowy ręce zwieszone wzdłuż ciała.

Taniec brzucha nie wszystkim szczepom jest znany. Popisują się nim zawsze kobiety młode i dorodne, wychodząc wtedy z szeregów i tańcząc w środku koła obok muzykantów, którzy chodzą przed tancerkami podniecając je krzykiem i coraz gwałtowniejszym biciem w bębny (n. p. u szczepu Baczoko).

Twarze tańczących zawsze poważne, często nawet posępne oraz śpiew monotony, pełen melancholii i jakby ukrytej skargi, stanowią dziwnie drażniący kontrast z żywiołowym, ogłuszającym warkotem bębnowi i brutalnym, dzikim i zmysłowym tańcem.

Ubranie tubylcy środkowej Afryki, choć bardzo prymitywne, ma jednak wiele odmian, zależnie od szczepu. Jedni noszą sukienki fałdowane z falbanami (Bakuba), inni zawieszają poprostu dwie szmatki, jedną z przodu, drugą z tyłu, przyczepiając je do sznurka, którym są opasani, (kobiety Baczoko), albo noszą długie spódnice do kostek (mężczyźni Baczoko). Są wreszcie plemiona, gdzie całym strojem jest sznurek, zawiązany w pasie i przyczepiony doń kawałek tkaniny, przyciągnięty między nogami od przodu do tyłu (Basala M'Pasu). Jedne szczepy używają do okrycia się tkanin, inne skór. Najbardziej jednak po-



Dwugłowy kubek z drzewa (Baszilele)

23842/11



spolitym ubiorem jest tunika z tkaniny tubylczej, ściągnięta powyżej bioder, a sięgająca do kolan (Baszilele, Bandzari, Badinga).

Wielką również różnorodność widzimy w ozdobach. Bransolety i naszyjniki z kutego żelaza lub miedzi i muszelek, stożkowate czapeczki, plecione z włókna palmowego, pióra białe i czerwone wtykane we włosy, skóry lamparcie i inne, dopełniają stroju szczepów kongolańskich.

Kobiety z plemienia Boloko noszą np. ciężkie kilkudziesięciokilowe koła miedziane na szyi. Gdy kobieta umrze, spadkobiercy, aby móc zdjąć to cenne „bijou“, odrębuja jej głowę. (John H. Weeks, „30 years in the Kongo“).

Ponadto każde plemię ma swój sposób tatuowania ciała i twarzy, mniej lub więcej ozdobny.

Baszilele np. tatuują się bardzo nieznacznie na piersiach i na policzkach. Rysunek tatuowania przypomina desenie, jakie spotykamy na garnkach i tam-tam'ach przez nich wyrabianych. Charakterystyczne dla tego szczepu są dwie sztuczne brodawki, wielkości grochu, znajdujące się po obu stronach twarzy poniżej skroni, powstałe przez napuszczenie pod skórą roztopionego kauczuku.

Okaleczanie się dla podniesienia „urody“ praktykowane jest powszechnie. Jedne szczepy dziurawią uszy (Baczoko, Basongomeno, Babua), nosy (Budzia) i wargi, aby umieszczać w otworach kolczyki lub przedmioty z drzewa, inne wyjmują dwa przednie górne zęby (Baluba, Baszilele) lub spiłowują je w trójkąt (Bankuczu).

Wiele czasu i zachodu poświęcają uczesaniu, zwłaszcza kobiety. Nie jest bowiem rzeczą łatwą opanować twarde i kręjące się włosy i ująć je w tak skomplikowaną fryzurę, jakiej wymaga moda i tradycja pewnych szczepów murzyńskich.

U Baczoków i Baluba kobiety splatają włosy w małe, wysmarowane tłuszczem, warkoczyki, które spadają dookoła głowy; mężczyźni Baczoko noszą olbrzymie czupryny, puszyste i starannie podstrzyżone z przodu i z tyłu. Mężczyźni z plemienia Basongomeno noszą takie same warkocz jak kobiety u Baczoków, a Baluba i Lulua podgalały głowy „po sarmacku”.

Bardzo misterne jest uczesanie niektórych Baszilele. Mianowicie zarówno mężczyźni jak i kobiety splatają włosy po obu stronach głowy w króciutkie warkoczyki przylegające do skóry, na środku zaś głowy, między dwoma rozdziałkami, począwszy od czoła biegnie wąski, ale gruby warkocz, przypominający grzebień koguci. Kończy się on z tyłu głowy, nieco ponad karkiem, zakręconym haczykiem długości kilku centymetrów.

Uczesanie to, wysmarowane oliwą, jest bardzo trwałe i wystarcza na szereg miesięcy.

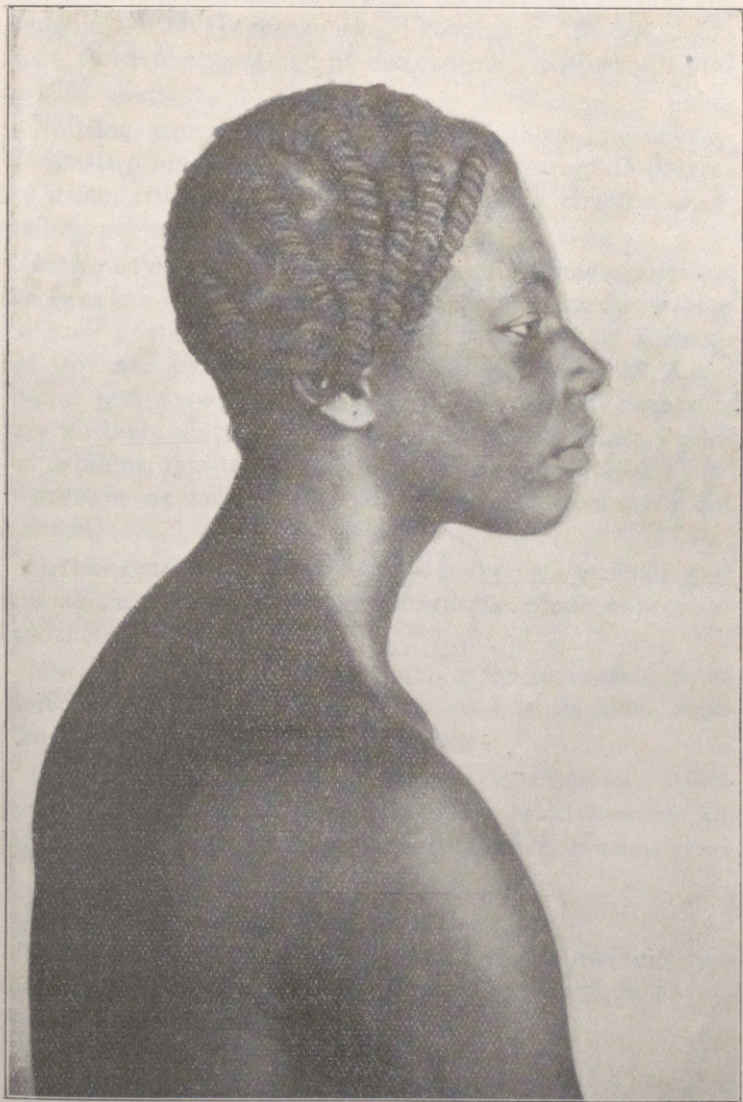
Włosy murzyńskie pozostawione same sobie nie wyrastają. Zarówno mężczyźni jak i kobiety o ile chcą mieć długie włosy, umożliwiające ozdobne uczesanie, muszą splatać je w warkocz silnie ściągnięte i przylegające do skóry. Włos, wyprostowany w ten sposób, rośnie. Manipulację tą powtarzają tak długo, dopóki włosy ich nie dojdą przynajmniej do ramion.

* * *

W łonie poszczególnych szczepów murzyńskich istnieją plemiona a nawet wsie nie uznające króla szczepowego i żyjące pod władzą swych bezpośrednich naczelników.

Wieś taką to niejednokrotnie jedna rodzina, złożona z kilkunastu lub nawet kilkudziesięciu głów. Ambicją każdego jest wzmocnienie swego prestige'u w rodzie przez liczne potomstwo i posiadanie potrzebnych rąk do pracy na plantacjach i w zagrodzie.

Środkiem do osiągnięcia tak jednego jak i drugiego celu



„Modne” uczesanie

12887/5



jest małżeństwo. Kobieta bowiem nietylko jest matką, ale, zgodnie z tradycją murzyńską, i robotnicą. Aby być dobrą żoną murzynka musi być płodną, zdrową, posłuszną i pracowitą.

Rodzinę murzyńską stwarza więc egoizm mężczyzny. Potomstwo nigdy nie jest dla murzyna ciężarem. O potrzebie dzieci troszczy się matka, córki zaś w chwili zamążpójścia przynoszą ojcu t. zw. posag.

Małżeństwo nie jest niczem innym jak kupnem kobiety. Dziewczyna musi iść posłusznie za wolą rodziców, którzy związek postanawiają gdy jest jeszcze dzieckiem i często już wówczas przyjmują od narzeczonego „zadatek”. Cena kupna jest zazwyczaj długo dyskutowaną. Gdy wreszcie targ zostanie ubity i ilość kóz, tkanin, sztab żelaza i miedzi ustalona, tam-tam zaczyna warczyć na dziedzińcu i rozpoczynają się tańce, trwające co wieczór przez parę dni z rzędu.

Dziewczyna, wyszedłszy z pod władzy ojca wchodzi pod władzę męża. Staje się jego własnością. Może on rozporządzać nawet jej życiem.

Murzyn żyje w monogamji tylko z konieczności. O ile środki mu na to pozwalają, nie zadawalnia się jedną żoną i kupuje ich dwie, trzy, a nawet kilka.

Pokrewieństwo nie jest przeszkodą małżeństwa. Tylko związki między bratem i siostrą są nie praktykowane, co jednak nie wyklucza stosunków płciowych między nimi w braku innej sposobności.

Rozwód jest dość powszechny.

W razie zerwania związku, rodzice muszą zwrócić mężowi „posag”, t. zn. cenę kupna żony, bez względu na to, po czyjej stronie jest słusność.

Organizacja społeczności murzyńskich posiada dotąd jeszcze szczątki ustroju matryarchalnego. I tak, w razie rozvodu, dzieci idą za matką, a po śmierci ojca nie dzie-

dziczą jego zstępni, ale brat lub najstarszy syn jego najstarszej siostry.

Dziedziczenie władzy oparte jest na tych samych zasadach. Po śmierci króla lub naczelnika dziedziczy brat jego lub siostrzeniec. I tylko w braku rodzeństwa dziedziczy najstarszy syn.

Charakterystycznym dla tego ustroju quasi-matryarchalnego jest t. zw. „Musziszombe”.

Jest to kobieta, która, uroczyście wybrana pośród najdorodniejszych dziewcząt, poświęcana bywa kilku młodzieńcom, nie posiadającym jeszcze żon. Jeden z nich, uznany za pierwszego, ma ten przywilej, że mieszka wspólnie z „Musziszombe”, która prowadzi całe jego gospodarstwo domowe. Inni są jakby jej „legalnymi” kochankami. „Musziszombe” oddaje się im tylko poza



Głowa rodu

obrębem swojej zagrody lub odwiedza ich w chacie, gdzie wszyscy wspólnie mieszkają.

Posiadanie wielu mężów jest zaszczytnym przywilejem dla kobiety i wyróżnieniem jej z pośród wielu.

Powodów do rozwodu jest dużo. Dla kobiety przyczyną do niezadowolenia jest albo złe traktowanie jej przez męża, albo zaniedbywanie jej dla innej kobiety.

Rywalką może być równie dobrze obca kobieta, jak i jedna z żon, o ile murzyn żyje w poligamji. Wówczas ma on obowiązek odwiedzania swoich żon w określonym po-

rządku, bądź codzień, bądź w ciągu pewnego okresu czasu.

Swojej „kolejki” przestrzegają żony solidarnie i zazdrośnie i biada tej, co zdobędzie jakieś specjalne względy swego pana i władcy.

Sprawa jednak znacznie poważniej się przedstawia, gdy w grę wchodzi kobieta z innego gniazda.

Jeżeli „uwiodła” męża dziewczyna, awantura wybucha między kobietami, czemu mąż zazwyczaj dość spokojnie się przypatruje. W razie gdy zdradzona żona nie zadowolni się podrapaniem swej rywalki i poskarży się ojcu, ten interwenjuje w obronie swego dziecka. Czasem doprowadza on do pojednania z mężem, czasem odbiera córkę, zwracając posag.

Nieporozumienie staje się jednak wielką sprawą, która porusza dwa rody, gdy kochanką żonatego mężczyzny jest kobieta zamężna. Wówczas czarny Don Juan ma przykrą rozmowę nie tylko z ojcem żony ale i z mężem kochanki, żądającym wynagrodzenia za uszkodzenie jego własności, za jaką uważana jest żona. To odszkodowanie zapłacić musi, bo w razie gdy się wykręca i targuje zbyt długo, naczelnik plemienia lub wsi ingeruje, rozstragając zawsze na korzyść poszkodowanego.

O ile, ze względu na specjalne zalety lub wysoką cenę kupna kobiety „uwiedzionej”, odszkodowanie jest tak duże, że przekracza możliwości materialne skazanego, rodzina płaci za niego grzywnę solidarnie.

Pojęcie szkody moralnej jest murzynowi nieznane. Kara za wyrządzone szkody materialne, do których murzyn zalicza zarówno kradzież jak i zabójstwo, jest ustalana z reguły w formie grzywny, bądź przez powołanego do rozstrzygnięcia sporu naczelnika i notablów, bądź polubownie. O ile zasądzony nie jest w stanie kary zapłacić, to podobnie jak w wypadku „uszkodzenia” kobiety, czyni to za niego ojciec, bracia i siostrzeńcy, nigdy od udzielenia ta-

kiej pomocy się nie uchylając. W razie jednak, gdy sami będąc w biedzie, wykupić skazanego na grzywnę nie mogą, wówczas traci on wolność i staje się niewolnikiem poszkodowanego i musi tak długo u niego pracować, aż należności nie wyrówna.

Grzywny zarówno jak i cena kupna żony, ustalane są jeszcze dotąd w naturze, jak: sztabach żelaza lub miedzi, sztukach tkanin; kości słoniowej i t. p.

Powodem do rozwodu dla mężczyzny jest zaniedbywanie się żony w pracy, niesposłuszeństwo, chroniczna choroba lub niepłodność.

U plemienia Baczoko istnieje przesąd, że piersi jędrne nie sprzyjają płodności. Dlatego też już młode dziewczęta starają się, sztucznie je opuścić i czynią to przy pomocy sznurka, którym się opasują i ściągają mocno powyżej brodawek.

Wśród szczepów Bena - Lulua spotkałem się z dziwnym bardzo zwyczajem. Gdy po skończeniu uroczystości ślubnych i tańców, matka rozstaje się ze swą córką u drzwi chaty mężowskiej, mówiąc: „Idź do swego człowieka, bo mu samemu spać zimno”, — nie może już od tej chwili.... spojrzeć na swego zięcia. Gdy więc wypadkiem spotkają się na drodze lub na dziedzińcu osady, odwraca ona głowę i zamyka oczy, a rozmawia z nim obrócona doń tyłem.

Pytałem się dlaczego ten zakaz. Odpowiedziano mi, że: „Nie dobrze jest, gdy teściowa patrzy na zięcia, a zięć na teściową”!

Życie murzynki jest bardzo ciężkie. Spędza je w pracy, rodząc i obiegając dzieci, które karmi bardzo długo.

Poronienia są na porządku dziennym. Przyczyną — nadmierne przeciążenie pracą tych biednych istot, które jeszcze w przeddzień porodu widzimy, jak krzątają się około domu, a nawet noszą drzewo na opał i wodę ze strumienia.



Wybryk natury

23847/2



Gdy przyszłą matkę chwycą bóle porodowe, kobiety starsze i doświadczone otaczają łoże i wśród śmiechów i gawęd oczekują rozwiązania. Mężczyznom wstęp do chaty jest wzbroniony.

Narodziny dziecka, czy śmierć kogokolwiek z rodu, są okazją do tańców, trwających nieraz szereg dni. Zależy to od stanowiska, jakie w plemieniu ojciec dziecka zajmuje lub zamożności i znaczenia zmarłego.

Jak narodzinom towarzyszą wesołe kumoszki, tak przy konającym zjawiają się płaczki. Ma on możliwość stwierdzenia zanim rozstanie się z tym światem, jak bardzo jest żałowany. Gdy skona, do płaczek dołączają się inne kobiety, które śpiewają pieśni, wychwalając żywot i bogactwa zmarłego.

Ceremonie pogrzebu są długie. Nieboszczyk jest zawijany w tkaniny i umieszczany w chacie, gdzie leży często całe miesiące. Aby go lepiej zakonserwować, murzyni układają go na sieci i... wędzą. Gdy okres ciężkiej żałoby minie, grzebią go ostatecznie w obrębie lub w bliskości wsi.

Chata po zmarłym i cały jego majątek ruchomy, do którego wchodzi między innymi i niezamężne córki, niewolnicy oraz żony, dziedziczy brat lub synowie siostry.

Pojęcie indywidualnej własności ziemskiej nie jest murzynowi znane. Ziemia jest wspólną własnością rodu, plemienia lub szczepu.

* * *

Gdy przysła małe chwyci biele porochove, kobiety
stare i doświadczone otaczają ją i wstyd śmiechów
i gawęd oczekują rozwiązania. Mężczyzna wstąpi do cha-
ty jest wstrząśnięty.

Narodziła dziecko, czy śmierć kogokolwiek z rodu są
okazją do tańców, trwających nieraz sześć dni. Należy to
od stanowiska, jakie w społeczeństwie dziecko zajmuje
lub samotności i znaczenia zmarłego.

Jak narodzinom towarzyszą wesole tańce, tak
przy konaniu zjawiają się płaczki. Ma ona mocność
stwierdzenia, że nie można się z tym walczyć, jak bardzo
jest niekiedy. Gdy słucha do płaczek dochodzą, nie inne
kobiety, które śpiewają pieśni, wywołując żywy i do-
kładny zmarłego.

Ceremonie pogrzebu są długie. Nieporozumień jest zwi-
żany w tłumie i umieszczany w chacie, gdzie leży często
całe miesiące. Aby go lepiej zakonserwować, muszą
układać go na siedząco, wzdłuż ciała ciętą żółtą
mianą, grzebień go ostatecznie w odczynie lub w białej woi-
Ciała po zmarłym i cały jego majątek ruchomy, do kio-
tego wchodzi między innymi i niezamiatane cokoły, niewol-
nicy oraz tony dzieł sztuki, które lub synowie siostry.

Pojęcie indywidualności własności ziemskiej nie jest mu-
rzynowi znane. Ziemia jest wspólną własnością rodu, ple-
mienia lub klanu.

ROZDZIAŁ VI

O KOLONISTACH I PRZEDSIĘBIORSTWACH

Dwa typy kolonji — Misje — Władze kolonjalne — Przedsiębiorstwa kolonjalne — Wolność czy przymus pracy — Rzut oka na stosunki sanitarne — Obserwacje i znaki zapytania.

ROZDZIAŁ VI

O KOLONIZACJI I PRZEDSIĘWZIĘCIACH

Dwa typy kolonii — Miścis — Władze kolonizacyjne — Przewidywania
dla kolonizacji — Władze czy prywatna sprawa — Różnice między
kolonizacją a osiedleniem — Osiedlenie i kolonizacja.



Rozróżniamy dwa typy kolonji: osadnicze i eksploatacyjne.

Taką kolonję, gdzie czas pobytu Europejczyka z zasady jest ograniczony koniecznością odpoczynku w klimacie umiarkowanym i gdzie nie może być

mowy o powstaniu rodów osadniczych, w których łonie praca kolonizatorska mogłaby mieć zapewnioną ciągłość z pokolenia na pokolenie — nazywamy kolonją eksploatacyjną.

Innym typem jest kolonja osadnicza. Tu Europejczyk może się osiedlić na długie lata a nawet na stałe, bez uszczerbku dla zdrowia.

Tutaj przyczyną wzrostu ludności europejskiej jest nie tylko imigracja, ale również normalny stosunek ilości rodzin do śmiertelności.

Wewnętrzny rozkład sił, poruszających organizm gospodarczy tych dwóch różnych typów kolonji nie jest jednokowy.

W kolonjach osadniczych, drobny rolnik, kupiec lub przedsiębiorca jest zjawiskiem powszechnem i stanowi element, na którym, zwłaszcza w początkach, opiera się cała przyszłość nowo zdobytej dla cywilizacji ziemi.

Z czasem w tych kolonjach powstaje ludność tubylcza europejskiego pochodzenia, która prócz zdobyczy materialnych, zakreśla sobie także cele bardziej idealne i stwarza własne ośrodki intelektualne, uważając tę jeszcze do niedawna obcą ziemię za własną ojczyznę.

W kolonjach eksploatacyjnych miejsce tysięcy osadników zajmują wielkie organizmy handlowe, rolnicze lub przemysłowe, powstałe w celu eksploataowania niejednokrotnie całych prowincji.

Wielkie kapitały, któremi operują oraz specjalna organizacja kadr urzędniczych, odnawianych i zmienianych co pewien z góry przewidziany okres, gwarantują tym przedsiębiorstwom normalne funkcjonowanie i niezbędną ciągłość pracy i eksploatacji.

Oczywiście, że obok tych potężnych przedsiębiorstw istnieją i inne, o skromniejszym zakresie działania; spotyka się również kupców i rolników zainstalowanych na własny rachunek.

Stanowią oni jednak w ogólnej cyfrze emigrantów odsetek stosunkowo bardzo drobny i przebywają w Kolonii tak długo, dopóki nie zbiorą okrągłej sumki, dającej im możliwość stworzenia własnego warsztatu pracy w Europie lub wycofania się do życia rentjerskiego.

Możliwość utraty zdrowia, a więc i ewentualność przedwczesnego powrotu do Europy, istnieje zawsze. Stąd w działalności tej grupy osadników przejawia się więcej nerwowości i pośpiechu, niż stałości i ciągłości, więcej względów dla celów wyłącznie osobistych, niż dla sprawy ogólnej.

Kongo Belgijskie, położone po obu stronach Równika, nie posiada klimatu odpowiedniego dla osadnictwa.

Pomimo, że w ostatnich latach stan zdrowotny tej kolonii poprawił się znacznie, a to dzięki podniesieniu się ogólnego poziomu cywilizacji, wzmożonej akcji sanitarnej i wprowadzeniu nowych, skutecznych metod w leczeniu letargu i febry, — **zaliczamy Kongo do rzędu kolonii eksploatacyjnych.**

Nieliczne i niewielkie dzielnice Konga, gdzie klimat jest zdrowszy i bardziej umiarkowany, nie mogą oczywiście być brane w rachubę przy tej klasyfikacji.

W Kongo więc, rozwijają działalność na polu gospodarczym w pierwszym rzędzie wielkie spółki, trudniące się importem, eksploatacją bogactw neutralnych i ich eksportem oraz handlem na terenie kolonii.

Lwią część przybywających lub odpływających z Konga Europejczyków stanowi personel tych instytucji, posiadający swą hierarchję oraz różnorodne rozgałęzienia fachowe.

Drugą grupą są funkcjonariusze państwowi, zasilający kadry administracji terytorjalnej, sądownictwa i armji — gdzie szarże oficerskie są wyłącznie zarezerwowane dla Europejczyków — oraz marynarki rzecznej, kolejnictwa, służby sanitarnej i nielicznych przedsiębiorstw górniczych i rolniczych, prowadzonych przez państwo.

Trzecią grupę wreszcie stanowią: prywatni przedsiębiorcy i kupcy oraz misjonarze.

Przyjrzyjmy się każdej z tych trzech grup z bliska.

* * *

W ślad za Lewingstonem i Stanley'em zjawili się na obszarze Centralnej Afryki misjonarze.

Przybyli na ten nowy ład aby walczyć w imię Ideału z dziką, do głębi dusz zakorzenioną ciemnotą czarnych ludów i aby budować materialne podstawy, niezbędne dla egzystencji przyszłych warowni wiary.

Niczem nie zrażeni, ani niedostatkiem, ani epidemjami, które w ich szeregach bolesne czyniły wyrwy, ani wizją męczeństwa, które niejednokrotnie znajdowali u kresu swej krzyżowej drogi, pracowali z zaparciem się siebie, wierząc w skuteczność wysiłku i celowość poświęceń.

Wysiłek misjonarzy nie ograniczał się jednak jedynie do zdobyczy natury duchowej, do nawracania i szerzenia chrystjanizmu wśród murzyńskich szczepów.

Poważny bowiem plon przyniosły ludzkości również i studia lingwistyczne, etnograficzne i przyrodnicze, prowadzone w łonie misji kongolańskich, będących zawsze i niezmiennie schronieniem dla najpiękniejszych tradycji naukowych.

Walka z epidemją letargu, tą największą plagą Konga,

prowadzona jest bardzo skutecznie przez misje, a nauczanie powszechne i zawodowe tubylców spoczywa nadal i — jak dotąd — wyłącznie w rękach misjonarzy.

W szkołach misyjnych dzieci murzyńskie uczą się nie tylko religii, ale przedewszystkiem czytać, pisać i rachować. Nie zapomniano również o wykładach elementarnych zasad higieny. Ze szkół zawodowych wychodzą rzemieślnicy wykwalifikowani i odznaczający się dużą zręcznością.

Ale to nie wszystko. Aktywność misji na polu gospodarczem jest również bardzo wszechstronną i owocną i nie można pominąć jej milczeniem.

W pierwszym okresie powstawania kolonii, okresie podboju wojskowego, są misje bezsprzecznie jedynym elementem ekonomiczno - twórczym i pobudzają do życia wszystkie źródła kolonialnego organizmu, kształtującego się uciążliwie i powoli.

Później, w okresie podboju ekonomicznego, musiały misje w pewnych dziedzinach życia kolonialnego ustąpić pierwszeństwa silniejszym finansowo spółkom eksploatacyjnym.

Ich wartość jednak, jako wzorowych jednostek gospodarczych, nic na tem nie ucierpiała. Oparte na wypróbowanych systemach pracy i zdrowej organizacji, są misje nadal pięknym symbolem kolonizatorskiego dzieła i stałości celów.

Misje kongolańskie, swą wszechstronną działalnością cywilizacyjną i gospodarczą, zasłużyły sobie na porównanie z opactwami wczesnego średniowiecza.

Powstały z niczego. Ich prototypem była lepianka i szafas.

Dziś są to rozległe, dominujące nad okolicą, osady, zbudowane prawie wyłącznie z cegły i kamienia. Mieszkania misjonarzy, kościoły, szkoły, szpital, warsztaty stolarskie, ślusarskie, nawet krawieckie i szewckie, prowadzone przez misjonarzy fachowców, obszerne ogrody owocowe, warzywne i kwietne,—dalej plantacje kawy, tytoniu i ana-



"Kropła mleka" w Misji Kat. w Kisanu

23847/11



nasów, — wszystko to świadczy, że reprezentanci Kościoła w kolonjach są nie tylko misjonarzami, ale i kolonistami ze szczerego, prawdziwego powołania.

Istnieją oczywiście i dziś jeszcze misje, wyglądające skromnie, nawet ubogo. Położone w okolicach słabo zaludnionych i niezdrowych, wśród szczepów wrogich europejczykom, pędzą one ciężki żywot, oczekując wytrwale lepszego dnia.

Istnieją wreszcie i misje tak bogate i tak wspaniałe zorganizowane, że sława ich rozchodzi się szeroko poza granice Konga. N. p. misja O. O. Jezuitów w Kisantu, która posiada kilkaset klm. własnych dróg bitych, kilkadziesiąt szkół wiejskich w okolicy, własną drukarnię, prosperujące warsztaty rękodzielnicze, sierociniec oraz ogród botaniczny. Ogród ten, założony przed 30 laty i prowadzony dotąd przez jednego i tego samego misjonarza, Brata Gillet, posiada wielką ilość bardzo rzadkich okazów roślin i dał swemu twórcy sławę wszechświatową.

Misja katolicka w Kongo składa się z pięciu wikariatów i ośmiu prefektur apostolskich oraz z szeregu kongregacji: Jezuitów, Białych Ojców, Trapistów, Dominikanów, Benedyktynów, Redemptorystów i wielu innych.

Istnieją również zakony żeńskie jak Sercanki, Kanoniczki, Siostry Białe i t. d.

Pracują pozatem w Kongo i misje protestanckie: szwedzkie, angielskie i amerykańskie, nieco słabsze liczebnie od katolickich.

* * *

Gdy pewien oficer marynarki francuskiej zwrócił się z zapytaniem do biskupa Augouard'a, misjonarza, geografa i podróżnika, czy długo jeszcze zamierza żyć w okropnych warunkach wśród dzikich, północnych szczepów kongolańskich, ks. Augouard, wówczas jeszcze misjonarz bez wyż-

szych święceń, odpowiedział: — „Monsieur, nous ne venons pas ici pour vivre, mais pour mourir“.

I rzeczywiście. Każdy misjonarz, po przybyciu na Czarny Łąd tak się w swojej nowej siedzibie instaluje, jak gdyby nigdy już nie miał zamiaru jej opuścić. Z przysługujących co siedem, czy nawet dziesięć lat „urlopów“, niezawsze misjonarze chcą korzystać i dopiero po kilkunastu latach, gdy nadszarpnięte zdrowie upomni się o wypoczynek, wyruszają do Europy, czyniąc to jednak nie zawsze chętnie. Po powrocie do Kolonji podejmują przerwane zajęcia i sędziwa starość zastaje ich jeszcze przy pracy i w pełnej aktywności.

W mej powrotnej podróży z Konga w 1927 r. spotkałem pewnego protestanckiego misjonarza, który znał jeszcze... Stanley'a i odwiedzał go w ówczesnej stolicy Konga, Vivi (koło Matadi).

Starzec ten, pomimo bez mała pół wieku spędzonego w Centralnej Afryce, wyglądał bardzo krzepko, miał doskonały apetyt, którego niejeden kongolanin mógłby być mu pozazdrościć i wyborny humor.

Mieszkał on w Kongu z całą rodziną. Dzieci jego tu przyszły na świat i tu się osiedliły, spędzając w Europie tylko kilkoletni okres czasu, poświęcony na uzupełnienie studiów.

A więc — powie niejeden — to wszystko co się o Kongu rozgłasza, strasząc zabójczym klimatem i koniecznością przerywania pobytu w Kolonji co parę lat na kilka choć miesięcy, jest zwykłym wymysłem, skoro są ludzie, co się w Kongu osiedlają i pracują tam aż do późnej starości.

Tak, ludzie ci istnieją, ale są to zarówno wśród misjonarzy jak i reszty kolonistów niestety tylko wyjątki.

Zdrowy i bardzo odporny organizm i życie wstrzemięzliwe i higieniczne są bezsprzecznie warunkiem nieodzownym dla tych co zamierzają poświęcić się pracy w kolonjach, z góry jednak nikt nie może przewidzieć jak ten klimat zniesie. Spotykamy emigrantów, którzy cieszą się jak-

najlepszem zdrowiem pomimo, że, w ciągu szeregu lat spędzonych w Kongo, prowadzili tryb życia nie znający żadnych ograniczeń. Odwrotnie inni, pomimo bardzo rozsądnego i higienicznego regime'u, zaledwie mogą dobrać do końca dwu lub trzy - letniego okresu.

Ilu jednak wraca wcześniej, nie mogąc znieść zabójczych promieni słońca kongolańskiego! A nie zapominajmy, że każdy emigrant, zanim opuści Europę, badany jest przez lekarza, który udziela swego „placet” na wyjazd tylko kandydatom normalnie rozwiniętym i zdrowym.

Fakt jednak, że spotyka się emigrantów o organizmach tak wyjątkowo odpornych, że czują się pod Równikiem równie dobrze, jak w strefie umiarkowanej — nie może zmienić ustalonego poglądu na klimat Centralnej Afryki.

Z reguły więc pobyt Europejczyka w Kongo musi rozpadać się na względnie krótkie, kilkoletnie okresy, pomiędzy które wstawia się urlopy wypoczynkowe „spędzane w Europie. Długość tych okresów pracy zależy od wytrzymałości i dobrej woli danej jednostki jak również i klimatu dzielnicy w której przebywa.

Kongo bowiem jest Kolonią tak wielką, że na jej obszarach można odnaleźć okolice zdrowsze a nawet zakątki, gdzie osadnik, już uprzednio zaprawiony do życia kolonialnego, może osiąść na długie lata.

* * *

W grupie państwowych urzędników kolonialnych bardzo ważne miejsce zajmują funkcjonariusze administracji terytorjalnej, czyli t. zw. „Bula Matadi”.

Imię „Bula Matadi” nadane zostało przez murzynów Centr. Afryki już Stanley'owi i oznacza dosłownie: „ten, co rzuca kamienie”.

Odkrywca Konga, będąc niejednokrotnie zmuszonym do posiłkowania się bronią palną, uważany był przez tubylców za czarownika, który w tajemniczy sposób wyrzuca z kija śmiercionośne kamienie.

Nazwa ta przeszła na kierowników wypraw wojskopolitycznych, nie szczędzących kul i stryczka, gdy zachodziła tego potrzeba i wreszcie, po opanowaniu kraju, na funkcjonariuszy państwowych wogóle.

To imię pozostało dotąd synonimem władzy i siły.

* * *

Na czele olbrzymich prowincji — a jest ich w Kongo pięć — stoją gubernatorowie. Władzę wykonawczą pełni w imieniu króla generalny gubernator. Każda prowincja dzieli się na szereg terytoriów, powierzanych administratorom terytorjalnym.

W osobie administratora łączą się liczne bardzo funkcje. Jest on urzędnikiem państwowej administracji kolonjalnej i jednocześnie burmistrzem w większych zgrupowaniach europejskich. Pozatem sprawuje on nadzór policyjny na całym terytorjum swego okręgu i pełni funkcje: sędziego pierwszej instancji, poborcy podatkowego, kierownika więzienia i poczty, oraz dowódcy oddziału wojskowego, przydzielonego do jego osoby.

Przedewszystkiem jednak ciąży na nim obowiązek czuwania nad rozwojem gospodarczym powierzonych mu obszarów, oraz nad kształtowaniem się zgodnego współżycia dwóch ras, w myśl hasła:

„Ukształtować czarnych tak, aby pod naszym nadzorem sami się rzadzili“! (Mowa ministra kolonji w parlamencie belgijskim z dn. 24 listopada 1920 r.).

Chodzi tu jednak nietylko o uzgodnienie działalności władz z istniejącymi już zasadami polityki kolonjalnej i tubylczej, ale o szukanie, w razie potrzeby, nowych podstaw, bardziej odpowiadających danej okolicy i danej rasie.

W tym wypadku teoretyczna znajomość przepisów, ustaw i instrukcji już nie wystarcza. W zakresie spełnia-

nia tych właśnie, tak słabo określonych obowiązków, zjawiają się pierwsze trudności. Sposób jednak, w jaki administrator rozwiązuje zagadnienia polityki kolonjalnej oraz zręczność, z jaką łągodzi i likwiduje zatargi, decydują o jego wartości jako urzędnika i kolonisty.

W grupie urzędników państwowych nie widzimy już takiej jednolitości idei i pracy kolonizatorskiej jak np. w szereгах misjonarzy.

Zdawałoby się, że ci ludzie, przeznaczeni do czuwania nad ładem, bezpieczeństwem i postępem Kolonji, powinni właśnie rekrutować się z najlepszych elementów emigranckich i odznaczać wysokim poczuciem odpowiedzialności w spełnianych obowiązkach.

Ale tak jak wszędzie, tak i w Kongo są dobrzy i źli urzędnicy. Źli niestety jednak przeważają. Przyczyny należy szukać w tem, że wewnątrz rozbudowa organizmu kolonjalnego Konga *nie odbywała się w drodze normalnej ewolucji*.

Odkryte w epoce niebywałego rozrostu sił ekonomicznych Europy, a jednoczone politycznie w okresie, kiedy prawa ludów czarnych zaczęły być już szeroko dyskutowane i broniące, Kongo idzie od etapu do etapu tak szybko, że bezpośrednio po okresie podboju i organizacji politycznej, wchodzi do okresu, znajdującego się na końcu wszelkiej ewolucji kolonjalnej: do epoki panowania prawa.

Okres ekonomicznej ekspansji i kształtowania się stosunków między Europejczykami i tubylcami na podstawie wzajemnych interesów i potrzeb, okres, w którym wytwarza się odpowiednia atmosfera, i przygotowują odpowiedni ludzie do wielkich pojęć i idei prawniczych, — był znikomo krótki.

Stąd pierwsi emigranci, podoficerowie i emisariusze, wprost z pod namiotu wojskowego przeszli do biur, gdzie na stołach znaleźli dzienniki ustaw, rozporządzenia i ko-

deksty, z którymi dotąd nic wspólnego nie mieli i których ducha nie rozumieli.

Z drugiej strony obojętność społeczeństwa belgijskiego dla Kolonji tamowała emigrację bardziej odpowiednich elementów. Z konieczności więc stanowiska w administracji terytorjalnej nadal obsadzone były przez ludzi niedostatecznie uformowanych do nowych zadań zarządu kolonialnego.

Jednak wśród tych funkcjonariuszy starego autoramentu nie brak było i chlubnych wyjątków. Zaszli oni w karierze kolonialnej wysoko, pełniąc swe funkcje zgodnie z duchem czasu, nie wyrzekając się równocześnie dawnych metod żelaznej ręki.

Dlatego też utarło się powiedzenie, że kierowali oni murzynami żelazną dłońią ale... w rękawiczkach.

* * *

Jakie właściwie są wady tak powszechnego jeszcze w Kongo ujemnego typu funkcjonariusza terytorjalnego?

Grzeszą oni przede wszystkim krótkowzrocznością przy załatwianiu bardziej skomplikowanych spraw bieżących. Dalej, nie wszyscy rozumieją, że nigdy jeszcze i nigdzie nie udało się urzędnikom państwowym, bez współudziału osadników, dokonać kolonizatorskiego dzieła.

Grzeszą oni ponadto niedostateczną bezstronnością i za mało okazują życzliwości dla poczynań jednostek słabszych finansowo. Są zarozumiali i zdradzają często skłonność do protegowania przyjaciół i współziomków.

Jako koloniści również nie posiadają wystarczających kwalifikacji i powołania. Ograniczając się do zajęć wyłącznie biurowych, za mało szukają kontaktu z tubylczą wsią, a tolerując próżniaczą, bezproduktywną jej egzystencję, opóźniają rozwój gospodarczy oddanej im pod opiekę dzielnic. Inicjatywy posiadają niewiele i nie lubią jej u innych.

Niżsi urzędnicy, którymi wyręczają się administratoro-

wie terytorjalni, bardzo rzadko interesują się nawet najbliższym otoczeniem własnych domów, gdzie, zamiast drzew owocowych i kwiatów, rosną wysokie, jak na stepie, trawy, dające schronienie wilgoci i moskitom. Czasem jakiś energiczniejszy zwierzchnik wtrąci się do tej sprawy i każe zrobić koło domu nieco porządku, czasem z racji przyjazdu jakiegoś dygnitarza, gubernatora, ministra lub następcy tronu niszczy się zielska i dla upiększenia powstałego pustkowia, sadi na poczekaniu nieco palm, oczywiście już dobrze wyrosłych, które w kilka dni po wyjeździe wysokiego gościa, schną i wkrótce nikną w szybko odrastającym stepie...

System robienia oszczędności, bez redukowania jednak własnych potrzeb, wytwarza w ich życiu prywatnem atmosferę egoizmu i chciwości. Nie pogardzają więc drobnymi darami w postaci drobiu lub zwierzyny, które tubylcy im znoszą. Płacą dla pozoru jakąkolwiek śmiesznie drobną kwotę, bez porównania niższą od cen rynkowych. Nadużywają oni w ten sposób swego stanowiska i władzy i kompromitują się w oczach ludności europejskiej.

Murzyni natomiast na ten system się nie skarżą, gdyż tak samo odnoszą się do własnych naczelników i królów, znanych z chciwości, obdarowując ich przy każdej sposobności dla zjednania sobie ich łaski i względów.

„Bula Matadi” jest syty, więc i murzyn cały, traci tylko... Kolonja.

Za taki stan rzeczy nie możemy składać winy całkowicie na mianujące kandydatów władze w Brukselli, gdyż, jak już zaznaczyłem, w napływających podaniach nie miały one dotąd zbyt wielkiego wyboru. A coraz to nowe postępowania wakowały!

Dopiero w ostatnich czasach, dzięki powstaniu Uniwersytetu kolonialnego oraz intensywnie prowadzonej propagandzie za Kongiem, skłaniającej coraz większe zastępy młodzieży, kończącej wyższe studia, do obierania karier kolonialnych, — sytuacja zmieniła się na lepsze.

Szczupła dotąd garstka dzielnych i zdolnych funkcjonariuszów, ginąca w tłumie miernot urzędniczych, zasilana jest teraz przez element bardziej odpowiedni, dzięki czemu poziom intelektualny i moralny tej klasy emigrantów powoli, ale stale się podnosi.

* * *

Prócz misjonarzy i funkcjonariuszy państwowych posiada Kongo jeszcze jedną grupę emigrantów. Są nimi urzędnicy i kierownicy różnych przedsiębiorstw, oraz liczni kupcy i osadnicy pracujący na własny rachunek.

Wśród osadników, pracujących na własny rachunek, znaczny bardzo odsetek stanowią cudzoziemcy. Są to przeważnie Portugalczycy i Włosi.

Trudnią się oni prawie wyłącznie handlem i eksportem naturalnych produktów Kolonii. Zaczynają karierę z bardzo skromnymi zasobami. Pracowici i wytrwali w dążeniu do zdobycia majątku nie wybierają w środkach.

Ograniczając się do zaspokajania niezbędnych tylko potrzeb, żyją i mieszkają nie lepiej od tubylców. Ale tylko do czasu.

O ile zdrowie i powodzenie dopisze, już po kilkunastu latach opuszczają swą gliniankę, służącą im za mieszkanie i jednocześnie za sklep i skład towarów i wynoszą się do większych afrykańskich centrów handlowych. Tam instalują się już jako zamożni kupcy.

Przedsiębiorstwa kongolańskie, zwłaszcza w powojennym okresie, rozwinęły bardzo intensywną działalność we wszystkich dziedzinach gospodarstwa kolonialnego.

Praca ich ma wszelkie cechy wysiłku skoordynowanego, z góry ułożonego, kierowanego sprężystością i wytrwale.

Ale organizacja techniczna eksploatacji i eksportu to jeszcze nie wszystko. Przedsiębiorstwa kongolańskie muszą prowadzić w stosunku do tubylców, wśród których się instalują i wśród których mają działać, pewną politykę, podobnie jak to czynią misjonarze i władze kolonialne. Muszą one szukać podstaw dla zgodnego współżycia z tubylcami, których czynnego poparcia zawsze będą potrzebowały.

Kupcy i towarzystwa handlowe zabiegać muszą o życliwość tubylców, gdyż są oni nabywcami różnorodnej tandety europejskiej i dostawcami cennych produktów jak: kość słoniowa, kauczuk, kopal i orzechy palmowe. Silnie wzrastająca na tym polu konkurencja wymaga tym większej czujności i zręczności w zjednywaniu sobie rynku lokalnego.

Przedsiębiorstwa rolniczo-przemysłowe potrzebują, i to w szerokiej mierze, współudziału w produkcji tubylców, np. przedsiębiorstwa eksploatujące palmy olejne (elais). Nie ograniczają się one do zbiorów z własnych plantacji, powstających bardzo powoli, na miejscu wycinanej stopniowo puszczy, i, w celu powiększenia produkcji, skupują owoce palmowe — służące do wyrobu oliwy i tłuszczów — wśród ludności tubylczej wsi okolicznych.

Skłonienie jednak, a potem przyzwyczajenie murzynów do systematycznej eksploatacji palm elaisowych, rosnących dziko i w wielkich zgrupowaniach w lasach kongolańskich, kauczuku lub bawełny, wymaga zorganizowanej akcji wychowawczej i bezpośredniego nadzoru.

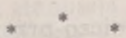
Wszystkie jednak przedsiębiorstwa, zarówno opierające swój byt na czynnym współudziale tubylców w produkcji, jak i eksploatujące naturalne bogactwa Kolonji samodzielnie (kopalnie miedzi, djamentów), posługują się wyłącznie miejscową ręką roboczą.

Tej ręki roboczej dostarcza wieś tubylcza, nie mająca jednak do tego żadnego formalnie istniejącego obowiązku.

Przeciwnie, ze stanowiska prawnego, praca w Kongo jest wolną.

Niski poziom cywilizacyjny ludności czarnej oraz głęboko zakorzeniona niechęć do systematycznej pracy, zmuszają jednak władze kolonjalne, w wyjątkowych wypadkach, do niestosowania tej ustawy i udzielania przedsiębiorstwom kongolańskim daleko idącego poparcia przy werbowaniu robotnika.

Zawsze jednak złe usposobienie tubylców dla tego lub innego przedsiębiorstwa bardzo ten werbunek utrudnia. W takim wypadku ręka robocza, pomimo ingerencji władz i nawet stosowanego przez nią przymusu, napływa opornie i w niedostatecznej ilości, a cierpi na tem zawsze intensywność i ciągłość pracy w przedsiębiorstwie.



Metody jakimi różne grupy emigrantów posługują się przy wciąganiu tubylców do udziału w eksploatacji Kolonii nie są jednakowe.

Nie są one również zawsze skuteczne.

Systemy, które zasadzają się na wytrwałem przekonywaniu tubylców do idei pracy mają tę złą stronę, że dają rezultat bardzo późno, często nawet pozostają wogóle bez skutku. Grzeszą one bezwładnością, znajdując słabe uznanie wśród tych, co przybyli do Kolonii ażeby działać, pracować i tworzyć. Metoda ta odpowiada bardziej ideologii misjonarzy niż producentów.

Z drugiej strony systemy oparte na stosowaniu przemocy i burzeniu spokoju i zwyczajów murzyńskich, nie są systemami trwałymi, wychowawczymi. Jako zbyt gwałtowne i noszące wyraźne piętno bezprawia, nie są tolerowane przez władze.

Należy więc szukać innego wyjścia. Kluczem do niego mógłby być jedynie prawny przymus pracy.

Ale Kongo w swym zawrotnym biegu rozwojowym na tę

drogę nie weszło. Dzisiaj, aby powrócić na ominięte szlaki jest już zapóźno.

Kolonja od blisko lat 20-tu usiłuje więc żyć pod znakiem wolności pracy.

Dziki rasy murzynów kongolańskich, wprowadzone zostały pod opieką postępowych ideji prawno - społecznych wyrosłych na innym kontynencie i przeznaczonych dla społeczeństw, mających już tysiącletni okres dziejów za sobą.

Wolność indywidualna, na którą ludy europejskie czekały setki lat, podnosząc się w znoјnej pracy na coraz wyższe szczeble cywilizacji i ideałów, dana została mieszkańcom Centralnej Afryki darmo.

Za dostateczną zasługę poczytano im, że pozwolili się odkryć dopiero u schyłku XIX wieku.

Przed kilku laty jeden z wielkich działaczy kolonialnych, będąc już u kresu swego pełnego zasług życia, pisał:

„Trzeba podnieść murzynów z upadku, w którym żyją od tylu wieków, **ale narazie należy się strzec wynoszenia ich do poziomu europejskiego**, gdyż to mogłoby być dla nich samych zgubą”. (Brulion niedokończony biskupa-misjonarza Augouard z 1921 r.).

* * *

Zwolennicy ustawy o wolności pracy w Kongo utrzymują, że murzyni dzięki niej tylko ocalili od całkowitej zagłady. Ich zdaniem bowiem murzyn nie tylko dlatego nie lubi zaciągać się do przedsiębiorstw, że czeka go tam praca, ale przede wszystkim dlatego, że musi porzucić w tym celu swoje środowisko, swoją wieś i rodzinę i emigrować w nieznane mu strony do często wrogich jego rasie szcze-pów.

Nowe środowisko jest dlań całkiem obce, życie jakie tam pędzi zadaje gwałt jego upodobaniom i zwyczajom, a sposób traktowania go zazwyczaj nie grzeszy nadmia-

rem względów. I wszystkie te ofiary ponosić musi za nędzne, niewystarczające wynagrodzenie.

Dalej dowodzą oni, że aczkolwiek „Karta Kolonialna” zabrania wyraźnie zmuszania tubylców do pracy na rachunek lub na korzyść osób trzecich, to jednak nie zabrania bynajmniej **kazać** pracować murzynowi na własny rachunek.

Wreszcie dochodzą do teorii takiego podziału ról na polu gospodarstwa kolonialnego: — dla murzynów rolnictwo, dla Europejczyków handel, banki, transporty, roboty publiczne, kopalnie, przemysł przetwórczy, wolne zawody. (W tym sensie p. O. Louwers, członek Rady Kolonialnej, w artykule „La politique de la main-d'oeuvre au Congo” pomieszczonym w „L'essor colonial et maritime” z dn. 5 czerwca 1926 r.).

Poglądy powyższe nie pozbawione są logiczności i łatwo mogą przekonać tych co obserwują Kongo z daleka. Uwodzą one obrazkiem idealnego społeczeństwa, gdzie każdej rasie, zarówno białej jak i czarnej, rezerwuje się odpowiednie pole do pracy i rozwoju.

Są jednak zbyt powierzchowne i jednostronne i za mało liczą się z rzeczywistością.

Murzyn, opuszczając swą wieś i rodzinę, czuje się być może nieszczęśliwym, co jednak nie może być dostateczną przyczyną dla zostawienia go w spokoju. Zresztą robi się wszystko, aby mu los na tym „wygnaniu” uczynić jaknajbardziej znośnym. A więc:

rekrutuje się zazwyczaj tubylców młodych i zdrowych, najchętniej kawalerów lub nie obarczonych liczną rodziną; tworzy się z nich grupy, obejmujące ludzi, należących do tego samego szczepu, a nawet pochodzących z tej samej wsi;

wyznacza się z pośród nich „starszego”, czyli t. zw. kapiteł, który będzie ich bezpośrednim zwierzchnikiem przy pracy oraz pośrednikiem między nimi a Europejczykiem, u którego pracują.



Na targu w Kinhasa. — Grupa „kumoszek”

23847/II



Odbywają oni podróż i pomieszczeni są zazwyczaj razem i tworzą w dużej osadzie robotniczej szereg dzielnic, gdzie mają wszelką możliwość urządzenia sobie życia wedle własnych upodobań i wymagań szczepowej tradycji. Żonaci zabierają na tę „emigrację”, która trwa zwykle tylko rok, swe żony a nawet i dzieci.

Roczna rozłąka z wsią rodzinną nie może ich moralnie spacyć, a praca, wykonywana w warunkach ośmiogodzinnego dnia pracy, z uwzględnieniem niedzieli i świąt uroczystych, nie może fizycznie ich zniszczyć.

Pobyt murzyna w centrach przemysłowych ma raczej swoje dobre strony: oswaja się on z widokiem i metodami pracy europejczyków. Ma on również sposobność zbliżenia się do lekarza, którego zazwyczaj jego współplemieńcy, zamieszkali w głębi lądu, boją się i unikają, oraz możliwość naocznego przekonania się o skuteczności lekarstw europejskich.

Idealny podział pracy, oddający wolne zawody, kopalnie, transport, banki i t. p. w ręce europejczyków, a rolnictwo rezerwujący wyłącznie dla tubylców, produkujących na własny rachunek pod kierunkiem europejczyków, jest koncepcją sztuczną i wysoce niesprawiedliwą dla osadników, którzy potrafili stworzyć w zdrowszych dzielnicach Konga wzorowe i prosperujące farmy.

Natomiast słusznie może czyni się pewnym przedsiębiorcom zarzut, że niedostatecznie wynagradzają kontraktowanych robotników a i tu kwestja wymaga paru wyjaśnień.

Wynagrodzenie robotnika składa się: z pensji stałej, wypłacanej w końcu miesiąca oraz racji żywnościowej, wydzielanej przy końcu tygodnia. Jeżeli chodzi o pensję, to mamy tu otwartą drogę do dyskusji, co należy uważać za małą, a co za dostateczną płacę, skoro koszula jest już zbytkiem, a buty i kapelusz są przywilejem jedynie półcywilizowanych.

Natomiast t. zw. racje żywnościowe, które stanowią drugą część wynagrodzenia robotnika-murzyina, uznane są powszechnie za niedostateczne.

Kongo posiada za mało plantacji manioku i kukurydzy i jak w dobie podboju tak i dziś jest „cesarstwem, które cierpi głód”.

Czyja wina? W pierwszym rządzie spada ona na ludność murzyńska, która trwa w uporze uprawiania minimalnych ilości tych roślin i ściśle na własny użytek, — a następnie na władze kolonialne, które wywierają niedostateczny nacisk, aby produkcję powiększyć. W tym wypadku mogą przecież zastosować przymus, gdyż chodzi tu o produkcję na własny rachunek i w dziedzinie przeznaczonej teoretycznie wyłącznie dla tubylców.

Sytuacja wytworzona istnieniem ustawy o wolności pracy, komplikuje się coraz więcej. Otacza ją sprzyjająca zawsze nadużyciom, atmosfera zdenerowania dwóch obozów, gorąco zwalczających lub broniących jej celowości.

Zanim jednak z tego ścierania się różnych teorii i poglądów wykrzesze się jakaś skuteczna rada, ustawa ta będzie zawsze, tak dla funkcjonariusza państwowego, jak i dla producenta kongolańskiego, twardym orzechem do zgryzienia.

Funkcjonariusz państwowy, który, przy rekrutowaniu ręki roboczej dla przedsiębiorstw kongolańskich, otrzymuje milczące zezwolenie swoich zwierzchników na niestosowanie się do niej, będzie musiał nadal uciekać się do sankcji karnych w wypadku, gdy osadnik lub urzędnik prywatnego przedsiębiorstwa, sam sobie radząc, o istnieniu tej ustawy choć na chwilę zapomni.

Producent kongolański, który cierpi na chroniczny brak ręki roboczej, będzie musiał nadal manewrować, niezawsze jednak z równym szczęściem, między widmem tej nieodpowiedniej na gruncie kongolańskiego ustawy, a drzemią-

cym w cieniu palm i bambusów murzynem, który za małe ma potrzeby, aby, nie widząc perspektywy głodu, dał się skłonić do pracy.

A niezapominajmy, że murzynowi, aby wyżywić siebie i swoją rodzinę w ciągu całego roku, wystarczy tyle dni pracy, ile dni świątecznych przysługuje robotnikowi na Starej Ziemi, pracującemu po 6 dni w tygodniu i 8 godzin na dobę...

* * *

Coraz częściej w prasie kolonialnej odzywają się głosy kompromisowe, wskazujące na to, że brak ustawy o przymusie pracy możnaby zastąpić wprowadzeniem następującej reformy systemu podatkowego:

1-o. powiększenie podatku poglównego, który dziś ma raczej charakter polityczny (znak hołdu, poddania się) niż społeczny i fiskalny, — i wynosi śmiesznie małe sumy, np. w kraju Baszilele 10 frs. 50 ctm. rocznie od tubylcy kawalera. Suma ta przedstawia wartość dwóch kur lub 20 jaj, albo płacę tygodniową niewykwalifikowanego robotnika czarnego, pracującego w przedsiębiorstwie europejskiem..

2-o. bardzo silne opadatkowanie niepracujących i nieprodukujących, z wyłączeniem oczywiście naczelników, notablów i królów.

3-o. zwolnienie od wszelkich świadczeń tubylców, którzy wykazali się okresem np. trzymiesięcznej pracy kontraktowej w roku.

* * *

Rząd, który na polu ustawodawstwa robi od szeregu lat tak śmiałe posunięcia, dotąd nie rozwinął szerzej, a tak koniecznej, akcji na polu sanitarnem.

Tu bowiem potrzeba ofiar i to nietylko materialnych, bo oprócz kapitałów na zorganizowanie państwowej służby zdrowia, prócz sum odpowiednich na pokrycie kosztów jej

utrzymania i studjów, trzeba znaleźć siły lekarskie i pomocnicze, stojące na wysokości zadania.

Ciężar ten prawie w całości ponoszą przedsiębiorstwa prywatne oraz misje.

Im to kolonia zawdzięcza, że letarg zginął z pewnych okolic całkowicie, że śmiertelność wśród emigrantów nie przekracza od szeregu lat półtora procent i że stan zdrowotny osad robotniczych jest naogół zadawalniający.

A wsi murzyńskiej?

Daleko gorzej. Ludność Konga nie wymiera wprawdzie, ale zdaje się i nie wzrasta. Przyczyną, — wielka śmiertelność wśród dzieci, brud, ciemnota, zabobony...

Na 100 wypadków śmierci wśród dzieci murzyńskich, połowa przypada na choroby płucne i żołądka, resztę skonów powoduje zupełny brak higieny przy zabiegach położniczych i obieganiu noworodków.

* * *

Kongo posiada około setki lekarzy, wliczając i tych, co spędzają swe urlopy służbowe w Europie i chwilowo są nieobecni.

Aptekarzy liczy Kongo zaledwie dziewięciu („Annuaire du Congo" z 1923 r.) i podobno jedną... akuszerkę. Mówiło się również dużo w ostatnich czasach o pewnym dentyście, który po paroletnim pobycie w Kongo, spędzonym w ustawicznych podróżach, powrócił w lecie 1926 r. do Europy, nie zdradzając jednak chęci kontynuowania swej kolonialnej kariery. Wiem, że w chwili wyjazdu jeszcze nie miał zastępcy...

Dla uzupełnienia tej statystyki dodam, że Kongo posiada 10 milionów ludności tubylczej, z których bardzo poważny odsetek żyje jeszcze w okropnych warunkach higienicznych i jest dziesiątkowany przez dyzenterję, syfilis i letarg, — że ludność biała, dosięgnąwszy już poważnej cyfry 20.000, w czym kilkaset kobiet i dzieci, dopomina się

a zaprowadzenia gęstszej sieci posterunków sanitarnych, niezawsze oddalonych o tydzień czy parę dni marszu.

Wreszcie jeszcze jeden charakterystyczny szczegół: stanowiska lekarzów zajmowane są w większości przez Włochów i Luksemburczyków, natomiast Belgowie przeważają w szeregach personelu pomocniczego.

* * *

Wyżej skreślony obraz życia tubylczego i charakterystyka białego kongolanina nie byłyby kompletne bez paru jeszcze uwag na temat akcji kulturalnej pewnych przedsiębiorstw i warunków bytu jakie stwarzają one dla swego personelu europejskiego i robotnika — murzyna.

Przedsiębiorstwa kongolańskie zakreślają sobie cele wyłącznie lukratywne.

Powstają i pracują dla zysku.

Władze jednak czuwają nad tem, aby przedsiębiorstwa ciągnące olbrzymie korzyści z eksploatacji naturalnych bogactw Kolonii, równocześnie prowadziły pewną akcję kulturalną i stwarzały tem samem odpowiednie podwaliny dla lepszej egzystencji przyszłych pokoleń murzyńskich, wyrzniętych z trudem z bezwładu i ciemnoty.

Ta kulturalna działalność przedsiębiorstw kongolańskich pozostaje więc w ścisłej łączności z pewnymi ideałami i wyższą misją społeczeństw ucywilizowanych i dlatego musi być prowadzona nie tylko umiejętnie, ale i uczciwie.

Brak konsekwencji w stosowaniu metod i ukryte intencje przy obdarowywaniu murzyna dobrodziejstwami kultury dają tylko ujemne rezultaty.

Murzyn będąc z natury nieufnym i bardzo spostrzegawczym, łatwo w takiej sytuacji się zorientuje i odtąd wszystko co europejczyk by przedsięwziął dla poprawy jego losu, w jaknajuczciwszych nawet zamiarach, uważać będzie za sprytny podstęp obmyślony jedynie dla łatwiejszego wykorzystania go i skrzywdzenia.

Nieliczne są w Kongo te przedsiębiorstwa, którym środki materialne pozwalają na szerzej zakresloną akcję sanitarno - kulturalną, a jeszcze mniej liczne te, które wzięwszy na swe barki tą odpowiedzialną misję, przeprowadzają ją bez zastrzeżeń i wszechstronnie.

Naogół za wiele wysiłku i pieniędzy zużywa się na akcję w granicach samej osady przemysłowej, a za mało się działa w kierunku poprawienia stanu zdrowotnego i bytu wsi murzyńskiej. Pozatem w akcji sanitarno - kulturalnej zbyt wyłącznie uwzględnia się potrzeby murzynów, chcąc tą gorliwością zjednać sobie władze kolonialne, a za mało roztaacza opieki nad pracującymi w przedsiębiorstwie europejczykami, którzy związani po mistrzowsku zredagowanymi umowami, traktowani są przez zwierzchników z nieusprawiedliwioną bezwzględnością.

Przykłady które podam poniżej zaczerpnięte są z „życia” pewnej **nie belgijskiej** spółki akcyjnej, która posiada olbrzymie koncesje aż w czterech prowincjach Konga i należy do najbogatszych przedsiębiorstw kongolańskich.

Jest ona znana na całym obszarze Kolonii nie tylko ze swych wspaniałe zabudowanych osad, ale i ze swych dość specjalnych systemów polityki tubylczej, bardzo niepopularnej wśród krajowców i silnie krytykowanej przez belgijski odłam społeczeństwa kongolańskiego.

Nazwijmy tę spółkę przedsiębiorstwem „X”.

* * *

Zabudowania fabryczne — biura — szpitale — ambulatorjum. Wszystko z palonej cegły, kryte blachą, opasane cienistymi werandami.

Nad brzegiem wielkiej, spławnej rzeki czerwienią się dwie obszerne wille z tarasami. To siedziby dyrektora i lekarza.

Nieco dalej, przy drodze wiodącej w głąb lądu, dwa domy mieszkalne, zajęte przez budowniczego i wyższego funkcjonariusza biurowego.

W tej samej linii, co willa dyrektora i lekarza, buduje się jeszcze inna, tego samego typu, przeznaczona dla jakiegoś szefa, jakiejś specjalnej służby, jeszcze nieistniejącej i bliżej nieokreślonej.

A inni urzędnicy, zatrudnieni w biurach, w fabryce, na plantacjach?...

Gdzie i jak oni mieszkają?

Jedni w starych glinianych domach, inni, o ile funkcje ich wymagają częstych objazdów koncesji towarzystwa, wogóle własnego kąta nie mają. Przechodzą z jednej wsi do drugiej, w celu utrzymania ludności tubylczej w karności i równomiernym produkowaniu, mieszkają bez przerwy, i to w ciągu 3 lat, pod namiotem, nie mając możliwości spędzenia nawet jednego dnia w miesiacu pod własnym dachem.

Na bagaże, które ze sobą z Europy przywieźli, nie daje im się żadnego schowka. Zostawiają je zazwyczaj na przeczyszczeniu u jakiegoś poczciewego kolegi, mieszkającego w lepiance, w towarzystwie skorpjonów i zgłodniałych szczurów, gdzie zawartość tych kufrów, ubrania i bieliznę, niszczą mole i karaluchy.

Gdy trzecia willa zostanie ukończona, Spółka dalszych prac budowlanych i to w ciągu szeregu lat, nie projektuje.

Fundusze na ten cel zostały podobno wyczerpane.

Buduje się jednak i powiększa w dalszym ciągu osadę robotniczą, gdzie, w schludnych murowanych domkach, mieszka wygodnie parę setek murzynów.

Piękne obszerne wille dla dyrekcji, szefów i kierowników, murowane domki z gankami dla murzynów, a co dla białych... murzynów?

Nawet władze kolonjalne tak daleko w trosce o los tubylcy nie zaszczyli.

Budują przede wszystkim odpowiednie, higieniczne mieszkania dla funkcjonariuszów, bez względu na rangę, a potem dopiero robotnicze osady. Są one prawie wyłącznie budowane z gliny i kryte strzechą z liści palmowych lub siana. W tych domach murzyn czuje się lepiej, niż w murowanych z blaszanym dachem, gdzie jest mu w nocy chłodno, a we dnie za gorąco.

Władze kolonjalne, które opiekują się ludnością tubylczą i czarnym robotnikiem, żądają dla nich domów czystych i higienicznych. Dlaczego jednak tak mało interesują się losem europejczyka, którego zdrowie i życie tak Kolonii jest potrzebne? Dlaczego nie wymaga się od wzorowego przedsiębiorstwa „X”, aby dało europejczykowi, przynajmniej takie same mieszkania, jak robotnikom — murzynom?

Murzyn-robotnik z reguły co niedzielę jest wolny. Jeden dzień w tygodniu jest mu ustawowo zarezerwowany na wypoczynek. Może spać, może tańczyć lub iść w odwiedzinę do wsi nawet bardziej oddalonej, byle tylko stawił się do apelu w poniedziałek o 6-ej rano.

A europejczyk?

Z reguły pracuje i w niedzielę.

O uroczystych świętach narodowych nawet się nie mówi, gdyż przedsiębiorstwo X, pomimo że zatrudnia 50% Belgów, świąt takich wogóle nie uznaje.

Jakieś dodatkowe raporty i statystyki, jakieś rachunki i zestawienia, które na oznaczony dzień muszą być w Centrali w Kinshassa, jakaś pilna podróż do wsi, która zaniedbuje się w pracy, — zawsze coś się znajdzie, ażeby zakłócić urzędnikowi spokój niedzielny.

Urzędnik, który mając wyjątkowo wolną niedzielę, chce udać się spacerem do oddalonej o parę kilometrów osady, aby odwiedzić znajomego lub przyjaciela, musi mieć na to

upoważnienie od dyrektora, a takie pozwolenie, z powodów nigdy wyraźnie nieokreślonych, jest mu bardzo często odmawiane.

Wszystkie towarzystwa belgijskie dają urzędnikom swoim do rozporządzenia t. zw. tipoj czyli lektykę i możliwość odbywania w niej podróży, podejmowanych w interesach spółki.

W przedsiębiorstwie „X” jest to surowo zabronione. Urzędnik rolny musi wszystkie podróże odbywać pieszo. W tropikalnym klimacie te przymusowe marsze, niejednokrotnie 10 i 20-to klm., powtarzane dwa, a nawet trzy razy w tygodniu i to w przeciągu 3 lat bez przerwy, muszą w rezultacie odbić się fatalnie na zdrowiu funkcjonariusza.

Przedsiębiorstwo „X” wydało ten zakaz ze względów oszczędnościowych, uważając wydatek paruset franków miesięcznie na płacę trażarzy za niewspółmierny z korzyścią, jaką aktywność urzędnika ewentualnie by przynieść mogła...

Urzędnikowi odbiera się również możliwość wynajęcia na własny koszt ludzi do noszenia lektyki, twierdząc, że wszelka wolna ręka robocza w granicach koncesji musi być oddana do dyspozycji przedsiębiorstwa...

W szpitalu, jasnym, przewiewnym stoją szeregi wygodnych, sprężynowych łóżek, przeznaczonych dla pacjentów o czarnej skórze.

Jedna, druga, trzecia sala, oddziały dla kobiet, dla zażenowanych. Serce rośnie na ten widok!

A gdzie sala czy pawilon dla europejczyków?

O tym nie pomyślano.

Europejczyk, który stale żyje pod namiotem, lokowany jest, w razie choroby, w t. zw. domku dla podróżnych, glinianym, ciemnym, wilgotnym i zapadającym się od starości w ziemię.

Jeżeli w tym domku rezyduje chwilowo funkcjonariusz,

przybyły z Centrali w jakiejś specjalnej misji, wówczas daje się choremu możliwość rozbicia w cieniu palm namiotu, gdzie na wąskim polowym łóżku tak samo przecież może powrócić do zdrowia, jak murzyn na wygodnych materacach.

A więc negrofilstwo?

Nie. Tylko interes.

Te wzorowe osady robotnicze, szpitale i ambulatorja mają być reklamą cywilizacyjnego wysiłku i jednocześnie parawanem dla wątpliwych systemów polityki tubylczej.

Od tych murów z cegły i cementu, wzniesionych dużym kosztem i widocznych już z daleka, mają się odbijać, jak od stalowego pancerza, wszystkie pociski, skierowane przeciwko działalności przedsiębiorstwa.

* * *

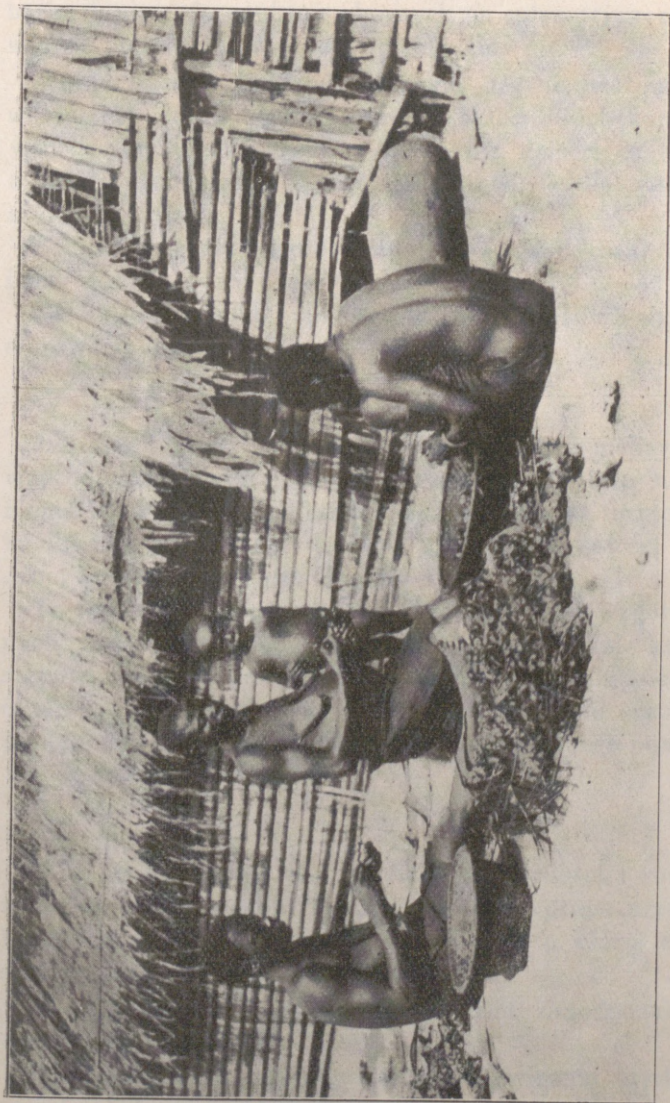
Wydobywanie na światło dzienne wszystkich zakulisowych spraw, które w większości wypadków znalazły już odpowiednią redakcję w raportach władz miejscowych, a nieodpowiednie pomieszczenie w teczce „ad acta” panów gubernatorów — byłoby może niedyskrecją.

Ograniczę się więc do paru szczegółów, które są dziś tajemnicą publiczną.

* * *

Wsie tubylcze, położone w głębi posiadłości spółki, dzięki ustawicznej i długoletniej presji, wywieranej przez władze kolonialne, przystąpiły wreszcie do współpracy z przedsiębiorstwem „X”.

Współpraca ta polega przedewszystkiem na dostarczaniu przedsiębiorstwu surowca. Surowiec ten t. j. owoce palm olejnych tubylcy muszą najpierw zebrać w okolicznych



Wyluskiwanie owoców palmowych we wsi Baszilele



lasach, potem oczyścić je z łuski, wreszcie na własnych barkach nieść do punktów zbornych na spławnej rzece lub wprost do zakładów przetwarzających.

Niekiedy wsie bardziej oddalone organizować muszą w tym celu formalne karawany; w skład takich karawan wchodzi nieletni, kobiety w ciąży i z dziećmi u piersi, a wszyscy obarczeni są ciężkimi, kilkunastokilowymi koszami z owocem.

Podróż, zależnie od przestrzeni trwa jeden, dwa, nawet i trzy dni.

Co w tym wypadku pilniejsze, droga automobilowa, czy murowana osada?

Już przed paru laty pewne zadawalniające maksimum w produkcji tubylczej zostało osiągnięte. Był to sukces niemały, zważywszy, że ludność zamieszkała na terytorjum spółki należy do rasy zacofanej i jeszcze w całości władzom kolonialnym niepoddanej.

To jednak nie wystarczyło dla zaspokojenia wygórowanych żądań przedsiębiorstwa „X”. Nie licząc się ani ze stopniem rozwoju rasy, ani z bardzo słabym zaludnieniem okolicy, ani wreszcie z ograniczonymi źródłami surowca, podjęło ono energiczną akcję w kierunku dalszego powiększenia dostaw tubylczych.

W celu utrzymania wsi tubylczej w karności i równomiernem produkowaniu, istnieje specjalna grupa urzędników, t. zw. agentów rolnych, ta właśnie, o której wspomniano przy budowie domów i szpitala.

Na nich spoczął teraz cały ciężar akcji, zmierzającej do wzmożenia produkcji.

Funkcjonariusze ci, niepokojeni ustawicznie cyrkularzami i listami dyrekcji, wiecznie niezadowolonej z produkcji, poprawiającej się w ich pojęciu za wolno, szybko

wyczerpują legalne środki w zmuszaniu tubylców do intensywniejszej pracy.

Aby zadośćuczynić żądaniom swej bezpośredniej władzy chwytają się środków bardziej bezwzględnych, nawet gwałtownych.

Ze strony dyrekcji również nic nie zostało zaniedbanem, aby tubylcę na długie lata wrogo dla wszelkiej współpracy z europejczykiem usposobić i aby zniszczyć tę odrobinę zaufania, na jaką ciemna i dzika istota zdobyć się może.

Spokój wsi murzyńskiej został zburzony, a produkcja zamiast wzrastać, ledwo, że utrzymuje się na poziomie z przed paru lat.

Agent rolny stał się żandarmem, spełniającem swe obowiązki bez przekonania i z rezygnacją.

Ale rola jego nie kończy się na tem. W pewnych wypadkach służy on przedsiębiorstwu X. za ofiarnego kozła. Gdy argument wzorowej osady przemysłowej nie wystarczy wobec zagniewanych władz kolonialnych i gdy osoba jednego z agentów rolnych znajdzie się pod zarzutem stosowania przymusu i gwałtu przy nadzorowaniu, w zasadzie dobrowolnej pracy tubylców, wówczas dyrekcja umywa ręce i na dowód, że potępia konduktę urzędnika, udziela mu dymisji bezzwłocznej i bez odszkodowania.

Już nazajutrz po wyjeździe odprawionego agenta ukazuje się nowy... cyrkularz, który w celu podtrzymania „ducha” u tych co pozostali, stwierdza niedostateczną energję personelu rolnego i zaleca specjalny wysiłek w kierunku podniesienia produkcji, „pozostawiającej wiele do życzenia”!

Nieprzebrane źródła bogactw naturalnych Konga sprzyjały dotąd nieustającemu wzrostowi eksploatacji i produkcji kolonialnej.

Pierwszą przeszkodą, jaką napotkały przedsiębiorstwa w swej pracy, były niedostateczne i niedorównujące im

w rozwoju środki komunikacyjne. Dzięki jednak poważnemu wysiłkowi Belgów na tym polu, sprawa ta została prawie całkowicie zlikwidowana i dziś, ewakuacja eksportu kolonialnego odbywa się coraz regularniej i coraz szybciej.

Zaledwie jednak te trudności zostały pokonane, pojawiły się nowe.

Oto ręka robocza tubylcza okazała się niewystarczająca.

Dało to powód do alarmujących pogłosek, że zaludnienie Konga jest tak słabe, że nie można nawet marzyć o racjonalnej eksploatacji Kolonii. Odzywały się nawet głosy, że ludność tubylcza Konga wymiera i że przyszłość tej Kolonii, wobec smutnej perspektywy wyludnienia, należy uważać za przesądzoną.

W rzeczywistości jednak nic podobnego Kongu nie grozi.

Jeżeli przedsiębiorstwa kongolańskie spotykają się z coraz poważniejszymi trudnościami przy rekrutowaniu ręki roboczej i jeżeli z powodu jej braku muszą ograniczać swą produkcję, to tylko dlatego, że rozwijały się zbyt szybko i nieogłędnie. Oto parę cyfr:

W okresie od 1922—1926 r. produkcja złota, miedzi, oleju i orzechów palmowych oraz bawełny wzrosła mniej więcej o 100%, djamentów zaś aż 6-ciokrotnie, tylko dla cyny, kości słoniowej, kauczuku, kopalu, kawy i kakao utrzymuje się w równowadze, lub wykazuje bardzo nieznaczne odchylenia.

Jasnym więc jest, że podaż ręki roboczej w tym samym stosunku i stale wzrastać nie mogła.

Mówi się, że Kongo ma 10 milionów ludności tubylczej. Jest to cyfra niesprawdzona i miarodajną dla nas być nie może. Za źródło bowiem ręki roboczej Konga można uważać tylko tę grupę krajowców, która płaci pogłównie t. j. podatek o charakterze politycznym, mający być dowodem poddania się i posłuszeństwa. Ta grupa krajowców nie obejmuje jednak jeszcze całej ludności murzyńskiej. Według bowiem statystyki urzędowej, władze kolonialne mają

kontrolę tylko nad niespełną 3 miljn. krajowców (2,284,563 mężczyzn i 639.375 kobiet).

Przedsiębiorstwa i osadnicy kongolańscy (włączając koleje i żeglugę, budowę dróg automobilowych i kolejowych) zatrudniają około 300.000 czarnych robotników, co stanowi ok. 13% ludności męskiej. Daleko więc jesteśmy od ewentualności wyczerpania źródła ręki roboczej.

Pomimo to władze kolonialne postanowiły na tym odse-
tku się zatrzymać.

Przedsiębiorstwa kongolańskie dostaną niezbędne minimum robotnika dla utrzymania produkcji, ale ani jednego murzyna więcej w celu dalszego jej powiększania.

* * *

Życie w krajach tropikalnych nie jest łatwe, zarówno ze względu na brak kompletny komfortu, do którego przywykliśmy w Europie, jak i na atmosferę wytężonej pracy, która wymaga ciągłego wysiłku woli i niezmężonej energii.

Z drugiej strony, Kolonia nie daje tych korzyści materialnych na jakie zazwyczaj emigrant liczy.

Kontraktowani urzędnicy mogą wprawdzie zrobić pewne oszczędności, ale tylko o ile żyją z kredką w ręku i nie w dużych centrach, gdzie życie „nad stan” należy do dobrego tonu.

Kupcy, rolnicy i producenci, którzy, posiadając pewien kapitał i doświadczenie kolonialne, instalują się na własny rachunek, mają już szersze pole do inicjatywy i więcej szans do zrobienia majątku, co jednak, nie zapominajmy, nie musi być regułą. Oszczędność, wytrwałość i nieco... szczęścia, oto warunki niezbędne dla powodzenia. Tak zresztą jak wszędzie, gdzie istnieje konkurencja i walka o byt.

Wszyscy ci jednak, którym nie dogadza skrajny podział pracy i zmechanizowanie życia na Starej Ziemi, znajdują niewątpliwie w kolonjach więcej swobody i więcej miejsca.

Będą oni mogli oddychać tutaj pełną piersią i wykazać maximum swej wartości moralnej i zawodowej.

* * *

Brak „powołania” do życia na Starej Ziemi nie jest jeszcze dostateczną kwalifikacją na dobrego kolonistę.

Emigranci, którzy udają się do odległych krajów zamorskich jedynie w celu szybkiego dorobienia się majątku, nie czując jednak najmniejszego upodobania do życia „en brousse” i twardego bytu w prymitywnych warunkach, zniechęcają się łatwo i, niczego nie dokonawszy, wracają do Europy, jeszcze mniej zdolni do pracy niż w chwili wyjazdu. Tych lepiej zawczasu uświadomić co do prawdziwego oblicza egzotycznych lądów.

Emigrant bowiem musi wiedzieć, że nigdy nie uda mu się przekształcić na kolonistę, w dodatnim sensie tego słowa, jeżeli nie potrafi żyć wśród niewygód, w znoјnej nieraz pracy i w bezpośrednim kontakcie z dziką przyrodą oraz nie zawsze życzliwą ludnością.

Tylko prawdziwe powołanie do zawodu kolonisty pozwoli mu nagiąć się do wymogów nowego życia i przezwyciężyć szereg trudności, — które, zwłaszcza w początkach kariery — piętrzą się na każdym kroku.

Wówczas nie będzie on uważał swego skromnego bungalow'u za zajazd, w którym nie warto wbić nawet jednego gwoźdźcia więcej, a pobyt jego, choć nie przekraczający przeciętnej normy kilku lat, nie będzie litewskim popasem, po którym pozostaje na pamiętkę nieco śmiecia i połamanych stołków.

Kolonja odradza, tworzy nowych ludzi i to dodatniego typu, szkoda tylko, że nawet najbardziej odporni i obdarzeni niezniszczalnym zdrowiem muszą porzucić w rezultacie ten kraj, który pokochali i dla którego długie lata cierpieli i pracowali.

Jak długo bowiem w Afryce Środkowej żyć będzie mo-
skit, wróg macierzyństwa i dziecka, tak długo emigrant,
pozbawiony możliwości stworzenia własnego ogniska do-
mowego i oderwany od swego gniazda rodzinnego, będzie
na tych obszarach tylko — przechodniem...

Algier, 27 stycznia 1928 r.

Rp. 636/39





9668/

1/1